

Andre Norton

Mroczny Muzykant

**Tytuł oryginału: Dark Piper
Tłumaczył: Piotr Kuś**

Rozdział pierwszy

Słyszałem, jak twierdzono, że taśma Zexro może przetrwać wieczność. Jednak wątpię, aby chociaż kolejna generacja znalazła w naszej historii coś godnego uwiecznienia. Z naszej kompanii Dinan, a także Gytha, która pracuje przy kompletowaniu wszystkich starych zapisów spoza tego świata, być może zechcą pamiętać o tej historii. Nie spodziewamy się po naszym przyszłym czytelniku, iż oczekiwać będzie technicznych informacji, gdyż nikt przecież nie wie, jak długo będą one cokolwiek warte. Sądzimy, że właśnie ta taśma i zawarte na niej przesłania pozostaną zapomniane przez długi czas, o ile po wielu wiekach od tej chwili ci spoza świata nie przypomną sobie o naszej kolonii. Być może nie zechcą poznać faktów dotyczących ich losów, ani nie znajdą się wśród nich ludzie zdolni do odbudowania maszyn, które uległy zniszczeniu w wyniku ciągłej walki o to, by dokonywać na nich właściwych napraw.

Mój zapis może nie przynieść żadnego pożytku również z tego powodu, że w ciągu trzech lat nasza mała kompania zrobiła ogromny krok do tyłu, od rozwiniętej cywilizacji, niemal do barbarzyństwa. A jednak, każdego wieczoru spędzam nad nim przynajmniej godzinę, radząc się wszystkich dookoła, gdyż nawet młode umysły mogą dodać do niego pewne spostrzeżenia. Jest to opowieść o mrocznym muzykancie, Grissie Lugardzie, który uratował kilka istnień swego gatunku po to, by ci, którzy są prawdziwymi ludźmi nie zniknęli na zawsze ze świata, który ukochał. My, którzy zawdzięczamy mu nasze życia, wiemy o nim tak niewiele, że w absolutnej zgodzie z prawdą możemy jedynie zawrzeć na tej taśmie nasze własne uczynki i działania oraz sposób, w jaki on z nami się związał.

Beltane była unikalną wśród planet sektora Skorpia w tym sensie, że nigdy nie przeznaczono jej do ogólnego zasiedlenia, lecz przygotowywano ją jako biologiczną stację eksperymentalną. Z powodu jakichś kaprysów natury, jej klimat w zupełności odpowiadał przedstawicielom naszego gatunku, jednak nie posiadała ona swego własnego inteligentnego życia, ani, prawdę mówiąc, żadnej innej nadmiernie rozwiniętej jego formy. Jej bogate w roślinność oba kontynenty oddzielone były szerokimi morzami. Na wschodnim kontynencie zawierało się właściwie wszystko to, co można by uważać za tamtejsze życie. Rezerwaty, wioski i farmy sztabu doświadczalnego umieszczone były natomiast na zachodnim kontynencie. Połączenie

z przestrzenią miały zapewnione wyłącznie dzięki jednemu portowi kosmicznemu.

Jako aktywna jednostka schematu Konfederacji, Beltane funkcjonowała przez cały wiek przed wybuchem Wojny Czterech Sektorów. Wojna ta skończyła się po dziesięciu latach planetarnych.

Lugard powiedział, że był to początek końca naszego rodzaju i jego władzy nad szlakami kosmicznymi. W różnym czasie mogą powstawać imperia gwiazd, konfederacje i inne rządy. Nadchodzi jednak czas, kiedy twory te stają się zbyt wielkie i zbyt stare, wskutek czego ulegają rozpadowi od wewnątrz. Wówczas pękają jak balony, kiedy ukłuje się je ostrym cierniem; pozostają po nich jedynie bezkształtne płaty. A jednak wiadomość o końcu wojny przywitano na Beltane z nadzieją na nowy początek, z nadzieją na powrót złotej ery „sprzed wojny”, na opowieściach o której wychowywała się najnowsza generacja. Być może starsi osiedleńcy czuli dreszcze nieprzyjemnej prawdy, która wkrótce miała się ziścić, jednak odtrącali te myśli, kryli się przed nimi, jak człowiek kryje się w szałasie, chcąc osłonić się przed burzą śnieżną. Ponieważ ludności na Beltane było niewiele — stanowili ją głównie specjaliści i członkowie ich rodzin — Służby drenowały ją z siły roboczej. Z kilku setek, które w ten sposób przymusowo opuściły planetę, powróciła na nią tylko garstka. Mojego ojca nie było wśród tych, którzy wrócili.

My, Collisowie, byliśmy rodziną z Pierwszego Statku, jednak, w przeciwieństwie do większości, mój ojciec nie był technikiem, ani biomechanikiem, lecz dowodził oddziałami Służb. Z tego względu już od początku nasza rodzina była oddzielona od reszty społeczności, a powodem tego podziału było zróżnicowanie interesów. Mój ojciec nie miał zapewne wielkich ambicji. Przeszedł odpowiednie przeszkolenie w oddziałach Patrolu, jednak nigdy nie starał się o awans. Wolał szybko wrócić na Beltane, co też uczynił, przejmując tu dowództwo nad Służbami i dowodząc nimi tak, jak kiedyś jego ojciec. Dopiero wybuch wojny, który spowodował, że nagle zaczęło brakować wyszkolonych mężczyzn, sprawił, iż dał się oderwać od swoich korzeni, które tak bardzo ukochał.

Niewątpliwie podążyłbym jego śladami, jednak te dziesięć lat konfliktu, podczas których byliśmy mniej lub bardziej odcięci od przestrzeni, sprawiło, że musiałem pozostać w domu. Moja matka, która pochodziła z rodziny techników, zmarła jeszcze zanim ojciec udał się w przestrzeń ze swoim oddziałem, a ja spędziłem dziesięć lat z Ahrenami.

Imbert Ahren był dowódcą stacji Kynvet i kuzynem mojej matki, jedynym

moim krewnym na Beltane. Był poważnym i szczerym człowiekiem, który do wszystkiego, co osiągnął, doszedł raczej dzięki mrówczej i ciężkiej pracy, niż dzięki błyskotliwemu intelektowi. Prawdę mówiąc, stanowisko jego wymagało ciągłej czujności i kontrolowania podwładnych, którzy rzadko przykładali się do pracy jak należy, jednak nigdy nie potrafił zdobyć się na surowość i był wobec nich bardzo tolerancyjny. Jego żona, Ranalda, była z kolei naprawdę doskonała w swojej dziedzinie i o wiele bardziej wymagająca wobec podwładnych niż Imbert. Rzadko ją widywaliśmy, ponieważ wciąż prowadziła jakieś skomplikowane badania.

Zajmowanie się gospodarstwem domowym wcześniej spadło więc na Annet, która była zaledwie rok młodsza ode mnie. Mieszkała jeszcze z nami Gytha, która całymi dniami czytała taśmy, a gospodarstwem domowym interesowała się jeszcze mniej niż jej matka.

To chyba specjalizacja, która stawała się coraz bardziej niezbędna dla mojego gatunku od momentu, kiedy skierowaliśmy kroki w przestrzeń, w pewnym sensie zmutowała nas, chociaż ludzie najbardziej nią dotknięci zapewne stanowczo oponowaliby przeciwko takiemu twierdzeniu. Mimo że miałem prywatnego nauczyciela i ponaglano mnie, bym wybrał zawód, który przydałby się w laboratoriach na stacji, nie miałem żadnych zdolności w tym kierunku. W końcu, bez większego przekonania, podjąłem studia, po których mógłbym wstąpić do Służby Strażniczej w jednym z Rezerwatów; Ahren uważał, że nadawałbym się do tej pracy. Tymczasem nastąpił ponury koniec wojny, która szczęśliwie bezpośrednio nikogo z nas nie dotknęła.

Nikt w niej właściwie nie zwyciężył; faktyczny remis oznaczał, że obie strony nie mają już sił do dalszej walki. Rozpoczęły się, bardzo długo trwające, „rozmowy pokojowe”, które zakończyły się kilkoma rozsądnymi ustaleniami.

Przedmiotem naszych obaw było to, że o Beltane jakby zapomniano siły, które spowodowały jej narodziny. Gdybyśmy dawno temu nie przystąpili do eksploatacji tej planety i nie korzystali z jej surowców, znaleźlibyśmy się teraz w desperackiej sytuacji. Nawet przybywające dwa razy w roku statki rządowe, do których ograniczył się w ostatnim okresie wojny nasz handel i nasza komunikacja, dwukrotnie spóźniły się. Radość z ich przybywania zamieniała się jednak w niechęć i wrogość, gdy okazywało się, że nie lądowały po to, aby uzupełniać nasze zapasy, lecz by zostawić pochodzących z Beltane ludzi, którzy walczyli w odległym konflikcie. Weterani ci wyglądali jak własne cienie, prawdziwie nieszczęśliwe, przeważnie okaleczone, ofiary

machiny wojennej.

Wśród nich był Griss Lugard. Chociaż dobrze znałem go w dzieciństwie i był zastępcą dowódcy w oddziale, wraz z którym udał się na wojnę mój ojciec, nie rozpoznałem go, kiedy kulejąc schodził po rampie pasażerskiej. Jego niewielki worek podróżny zdawał się zbyt wielkim ciężarem dla chudych ramion, pod jego ciężarem Griss wyraźnie chylił się na bok.

Przechodząc obok, nagle spojrzął na mnie i niespodziewanie rzucił worek na ziemię. Uniósł dłoń i wtedy usta na jego twarzy, na której widoczny był jeszcze ślad po świeżej bliźnie, wykrzywiły się w grymasie.

— Sim...

W tym momencie jego dłoń powędrowała ponad głowę i wtedy rozpoznałem go, po opasce na przegubie dłoni, teraz o wiele za luźnej.

— Jestem Vere — powiedziałem szybko. — A pan jest... — popatrzyłem na dystynkcje na kołnierzyku jego wypłowiałej i pogniecionej tuniki. — Kapitan Lugard! — wykrzyknąłem wreszcie.

— Vere — powtórzył moje imię i przez chwilę jego umysł jakby błędził gdzieś w czasie, próbując coś mu przypomnieć. — Vere, ty... jesteś synem Sima! Ale... ale przecież wyglądasz jak sam Sim. — Stał bez ruchu, wpatrując się we mnie, po czym nagle odwrócił się i zaczął oglądać nasze otoczenie. Dopiero teraz zdobył się na to; schodząc z rampy przez cały czas miał wzrok wbity w ziemię, jakby interesował go jedynie kurz tej planety, wzbijany przez podeszwy butów.

— Minęło wiele czasu — powiedział niskim, zmęczonym głosem. — Dużo, dużo czasu.

Przy grabił się i po chwili schylił po torbę, jednak uprzedziłem go.

— Dokąd, proszę pana? — zapytałem.

Po jego rodzinie pozostały stare baraki. Nikt tam nie mieszkał, już od dobrych pięciu lat, były właściwie jedną wielką rupieciarnią. Wszyscy członkowie jego rodziny poumierali lub opuścili planetę. Postanowiłem, że niezależnie od tego, ile u nas jest miejsca, Griss Lugard pozostanie na razie gościem u Annete.

On spoglądał jednak ponad moimi ramionami, w kierunku południowo—zachodnich wzgórz i rysujących się za nimi wysokich gór.

— Czy masz może przelatywacz, Sim... Vere? — zaraz poprawił się.

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Bardzo nam ich brakuje, proszę pana. Nie mamy części do ich naprawiania.

Mogę jedynie zdobyć helikopter operacyjny.

Wiedziałem, że złamię w ten sposób regulamin. Griss Lugard był jednak dla mnie kimś bardzo bliskim, należał do mojej przeszłości, a od jak dawna nie miałem kontaktu z nikim z mojej przeszłości?

— Proszę pana, gdyby pan zechciał zostać gościem... — kontynuowałem.

Potrząsnął przecząco głową.

— Lepiej nie — mruknął, jakby mówił wyłącznie do siebie. — Jeśli chcesz coś dla mnie zrobić, postaraj się o helikopter. Polecimy na południowy zachód, do Butte Hold.

— Ale tam są przecież tylko ruiny. Nikt z nas tam nie był od ośmiu lat.

Lugard wzruszył ramionami.

— Widziałem ostatnio wiele ruin, chciałbym jednak zobaczyć także i te. — Sięgnął dłonią pomiędzy fałdy tuniki i wydobyl z niej metalową tabliczkę, mieszczącą się na powierzchni dłoni. Tabliczka błysnęła w popołudniowym słońcu. — Dowód wdzięczności od rządu, Vere. Otrzymałem Butte Hold na tak długo, jak tylko będę chciał. Jest moje.

— Ale zaopatrzenie... — znów spróbowałem go zniechęcić.

— Co tam zaopatrzenie? To wszystko jest moje. Zapłaciłem za to poranioną twarzą, wysiłkiem wojennym; całkiem przyzwoita cena za Butte, chłopcze. Teraz więc chciałbym udać się... do domu. — Wciąż wypatrywał w kierunku wzgórz.

Podpisałem więc odbiór helikoptera na oficjalną podróż. Griss Lugard miał do niej prawo i byłem pewien, że w razie czego odrzucę wszelkie oskarżenia o bezprawne użycie maszyny.

Nasze helikoptery skonstruowano w celu poruszania się i prowadzenia poszukiwań w trudno dostępnym terenie. Gdy było to możliwe, jechały na kołach po powierzchni planety, ale gdy drogę zamykały przeszkody, których nie można było pokonać, mogły unosić się w górę i pokonywać krótkie odcinki w powietrzu. Nie należały do najwygodniej szych i nie były przystosowane do długich podróży; po prostu umożliwiały szybkie dotarcie do trudnych terenów. Zasiedliśmy teraz z Lugardem na przednich fotelach, przypięwszy się do nich pasami, po czym wyznaczyłem kurs na Butte Hold. W tamtych czasach należało trzymać ręce na sterownikach, ponieważ trudno było wierzyć automatycznym sensorom.

Od czasu wybuchu wojny, osiedla na Beltane zaczęły kurczyć się, zamiast rozwijać. Ubywało ludzi i peryferyjne osady pustoszały jedna po drugiej. Butte Hold

pamiętałem tylko sprzed wojny; słabo, bo ostatni raz byłem tam jako mały chłopiec.

Założono je na skraju wulkanicznego terytorium, które, dzięki potężnym wybuchom licznych i wysokich wulkanów, musiało w zamierzchłych czasach oświetlać spory szmat kontynentu. Dowody, iż przed wielu laty szalał tu żywioł, wciąż wywoływały ogromne wrażenie. Pozostawił on po sobie niesłychanie urozmaicony krajobraz, ogromne bryły zastygłej lawy, ostre jak noże grzbiety górskie i nadzwyczaj skąpą roślinność. Plotki głosiły, że oprócz naturalnych zasadzek, które kryje ta ziemia, na przybyszów czyhają tu także inne niebezpieczeństwa — mianowicie wielkie, dzikie bestie, które, uciekły ze stacji eksperymentalnych, znalazły dla siebie na tych zapomnianych i dzikich terenach idealne legowiska. Były to tylko plotki, ponieważ, jak do tej pory, nikt nie dowiódł istnienia bestii. A jednak ludziom weszło w krew, że wybierając się tutaj, na wszelki wypadek zawsze mieli ze sobą oszałamiacze.

Po krótkiej jeździe skręciliśmy w dróżkę tak niewyraźną, że nie zauważyłbym jej, gdyby nie wskazówki Lugarda. Prowadził mnie bardzo pewnie, jakby tędy jeździł codziennie. Wkrótce znacznie oddaliliśmy się od zamieszkanego terenu. Chciałem z nim porozmawiać, jednak nie ośmielałem się zadawać pytań, które mnie nurtowały. Lugard, w chwilach gdy nie zajmowało go wskazywanie mi drogi, całkowicie pogrążony był w swoich myślach.

Pomyślałem, że znalazłby dla siebie na Beltane o wiele lepsze miejsce, może nie całą osadę, ale coś o wiele bardziej interesującego niż zapomniane osiedle w niedostępnym terenie. W osiedlach na planecie brakowało mężczyzn; przecież wywożono ich stąd na wojnę, najpierw Strażników, potem naukowców, a na końcu techników. Ci, którzy tu pozostali, być może nieświadomie zmieniali ich atmosferę. Wojna nie przetoczyła się na tyle blisko, by wyrzucić jakiś większy wpływ na samą Beltane. Pozostała w konflikcie jedynie dostarczycielem pewnych surowców i ludzi. Ponadto budziła irytację, gdyż ci, którzy tutaj przyjechali w celach badawczych, nie mieli ochoty na kolejne dalekie podróże, by zabijać lub samemu ginąć w bezkresach przestrzeni. Przed pięciu laty doszło nawet na tym tle do ostrego sporu pomiędzy komendantem, a ludźmi takimi jak doktor Croson. Komendant wkrótce opuścił planetę i na Beltane znowu zapanował spokój.

Tutejsza ludność była z natury pokojowa. Do swojego pacyfizmu byli tak przywiązani, że zastanawiałem się, czy zaakceptują Lugarda, który w chwale powrócił z dalekiej wojny. Urodził się na Beltane, to prawda. Jednak, tak jak mój ojciec,

pochodził z rodziny tradycyjnie zakorzenionej w Służbie i nie wzenił się w żaden z klanów, zamieszkujących osiedla. Mówił, że Butte Hold należy do niego. Czy było to prawdą? A może przysłano go tu, żeby przygotował Butte Hold na przyjęcie garnizonu? Coś takiego nie spodobałoby się na planecie.

Nasza dróżka była tak pełna dziur i nierówności, że w końcu niechętnie poderwałem helikopter w powietrze, utrzymywałem go jednak na minimalnej wysokości nad powierzchnią. Jeżeli Lugard miał założyć tu garnizon, to oby wśród żołnierzy, którzy przybędą, znaleźli się technicy—mechanicy, potrafiący naprawić nasz wysłużony sprzęt. Helikoptery w podróży często zachowywały się nieobliczalnie.

— Unieś go trochę wyżej — polecił mi Lugard.

Pokręciłem głową.

— Nic z tego. Jeżeli rozleci się na tej wysokości, mamy przynajmniej szansę, że spadniemy na ziemię w jednym kawałku. Nie mam zamiaru ryzykować bardziej, niż to konieczne.

Lugard popatrzył najpierw na mnie, a potem zlustrował wzrokiem maszynę, jakby dopiero teraz widział ją po raz pierwszy. Jego oczy zwęziły się.

— To jest przecież wrak...

— Jedna z najlepszych maszyn na tej planecie — odparłem. — Maszyny same się nie naprawiają. A technoroboty praktycznie wszystkie zatrudniamy w laboratoriach. Nie otrzymujemy żadnych dostaw spoza planety od czasu, gdy komandor Tasmond opuścił ją z resztką garnizonu. Większość helikopterów, jakie jeszcze funkcjonują, to po prostu składaki, zestawione z wraków zepsutych maszyn.

Napotkałem jego badawcze spojrzenie.

— To jest aż tak źle? — zapytał cicho.

— To zależy w jaki sposób potraktujemy słowo „źle”. Komitet uważa, że w gruncie rzeczy jest dobrze. Cieszą się, że przestaliśmy otrzymywać rozkazy spoza planety. Partia Wolnego Handlu chce ogłosić całkowitą niepodległość. Żyje nam się gorzej niż przed wojną, jednak nikt, naprawdę nikt, nie chce, aby rozkazy dla nas docierały znów z przestrzeni.

— Kto ma tutaj władzę?

— Komitet, a właściwie przewodniczący jego sekcji: Corson, Ahren, Alsay, Vlasts...

— Corson, Ahren, rozumiem. A kim jest Alsay?

— On jest na Yethlome.

— A Watsill? Kto to taki?

— Przybył z zewnątrz. Podobnie Praz i Bomtol, jak zresztą i większość młodych. I niektórzy z tych błyskotliwych uczonych...

— A Corfu?

— On... zabił się.

— Co? — Lugard był wyraźnie zaskoczony. — Miałem wiadomość... — Potrząsnął głową. — Dlaczego?

— Oficjalny komunikat mówił o wyczerpaniu nerwowym.

— A nieoficjalnie?

— W plotkach powtarza się, że odkrył coś śmiertelnie niebezpiecznego.

Kazano mu nadal prowadzić badania. Odmówił. Naciskano na niego i bał się, że nie wytrzyma nacisku. Uciekł więc w śmierć. Komitet mówi, że to ostatnia nienaturalna śmierć na tej planecie i nigdy już nikt nie da tu nikomu bronii do ręki.

— Oczywiście, że nie — powiedział Lugard sucho. — Nie będą już mieli takiej szansy, mimo że zmagania trwają...

— Ale wojna już się skończyła!

Lugard potrząsnął głową.

— Formalna wojna, tak. Porozrywała ona jednak Konfederację na strzępy.

Prawo i porządek... w naszych czasach z pewnością czegoś takiego jeszcze długo nie zaznamy... — Wskazał ręką na niebo ponad naszymi głowami. — Nie zaznamy tego my i zapewne nie zazna również następna generacja. Szczęśliwe światy, które dysponują własnymi surowcami, one zdołają zachować cywilizację. Inne upadną, gdyż nie będzie komunikacji i handlu pomiędzy planetami. Wilki krążyć będą, niszcząc wszystko, co znajdzie się w przestrzeni...

— Wilki?

— To stare słowo, jakim określamy agresorów. Zdaje się, że nazywano nim zwierzę, które atakowało wielkimi stadami bezbronne ofiary. Ich okrucieństwo wciąż tkwi w pamięci naszej rasy. Tak, wilki znów będą atakować.

— Z Czterech Gwiazd?

— Nie — odparł Lugard. — Oni są tak samo wycieńczeni jak my. W przestrzeni pozostały jednak resztki rozbitych flot, statki, których światy macierzyste już nie istnieją, dla których nie ma portów, w jakich byłyby gorąco witane. Ich załogi prowadzić będą życie, jakie toczą od lat, gdyż innego nie znają. Nie będą już jedynie regularnymi oddziałami, ale bandami piratów. Bogate światy, o których będą

wiedzieli piraci, zostaną zaatakowane na początku. Zagrożone będą też miejsca, które mogłyby posłużyć piratom jako bazy...

Pomyślałem, że wiem już, dlaczego Lugard powrócił.

— A więc przybyłeś tutaj ściągnąć garnizon, żeby Beltane nie była bezbronna wobec zagrożenia...

— Chciałbym, Vere, chciałbym, żeby tak było. — Zaskoczył mnie żar, z jakim Lugard wypowiedział te słowa. — Jednak nic z tego. Przybyłem tutaj, ponieważ otrzymałem za moje wojenne zasługi Butte Hold od rządu. Butte Hold: wszystko, co na tej planecie mieści się pod tym właśnie pojęciem, należy do mnie. To jest jedyny powód, dla którego tu jestem. Poza tym, dlaczego właśnie tutaj... Cóż, urodziłem się tutaj i pragnę, żeby moje ciało pozostało po śmierci właśnie na Beltane. Teraz na południe...

Ślady starej drogi były prawie niewidoczne. Szybko zbliżaliśmy się do krainy lawy i napotykaliliśmy coraz więcej śladów dawnych katastrof. Roślinność stawała się coraz bardziej skąpa i dzika. Dawno minęła połowa lata i większość kwiatów już przekwitła, jednak co jakiś czas widzieliśmy je, odcinające się różnokolorowymi barwami na tle monotonii szarości i zieleni. Dwukrotnie dzikie, głodne króliki, wyjadające resztki roślinności, zerwały się do szaleńczej ucieczki, wystraszone przez helikopter.

Wkrótce ujrzeliśmy przed nami Butte Hold. Z ciekawością krążyłem przez chwilę nad potężną skarpą, u stóp której założono osiedle. Zachowało się wokół niego wiele śladów ludzkiej działalności. Szczególne wrażenie wywołały we mnie potężne umocnione posterunki dla wartowników, wykute w litej skale. Widziałem, że takie warowne posterunki budowano bezpośrednio po wylądowaniu na planecie Pierwszego Statku, kiedy nie mieliśmy jeszcze pojęcia, czego spodziewać się po tutejszej faunie, wzbudzającej szczególne obawy w tej krainie lawy. Chociaż wkrótce okazało się, że są one nieuzasadnione, to jednak przez wiele lat wykorzystywały je patrole.

Po chwili posadziłem helikopter na pasie do lądowania przed główną bramą osiedla. Piasek, który zaczął unosić się przy lądowaniu, wydał nieprzyjemny odgłos, uderzając o metalowe wrota, sprawiające wrażenie na stałe zaspawanych. Lugard wysiadł, poruszając się sztywno. Sięgnął po swój worek, jednak ja uprzedziłem go i wysiadłem za nim. Bagaż był lekki, jakby kapitan nie chciał obarczać się większymi ładunkami; a może ten fakt dowodził, że przyjechał tu tylko czasowo, zbadać sytuację. I wkrótce opuści naszą sekcję?

W milczeniu zaakceptował moje towarzystwo, jednak, nie oglądając się za mną, ruszył szybko przed siebie. Znów miał w dłoni metalową płytkę, którą pokazał mi w porcie. Podeszedłszy do podsypanej piaskiem bramy, zatrzymał się na długą chwilę, wpatrując we wrota fortecy, jakby spodziewał się, że zabite deskami luki strzelnicze staną otworem i ktoś z wewnątrz zaraz coś do niego zawoła. Wreszcie pochylił się, uważnie badając bramę. Przesunął dłonią po jej powierzchni, a drugą wsunął swoją tabliczkę do otworu z mechanizmem, blokującym zamek.

Właściwie to spodziewałem się ujrzeć na jego twarzy rozczarowanie, nie wierząc w trwałość urządzenia, które przez tak długi czas poddawane było niszczącemu działaniu przyrody. Pomyliłem się jednak. Czekaliśmy przez krótką chwilę, po czym ciężkie wrota rozsunęły się w ciszy. W tym samym momencie zapaliły się światła i znaleźliśmy się w długim hallu, mając po prawej i lewej ręce zamknięte drzwi.

— Powinien pan mieć jakieś zaopatrzenie, zapasy... — odważyłem się powiedzieć. Lugard odwrócił się do mnie i sięgnął po worek, który wciąż trzymałem w dłoniach. Uśmiechnął się.

— Cóż, masz rację. Zaraz przekonasz się, że coś niecoś mam. Proszę, wejdź do środka.

Przyjąłem zaproszenie, chociaż odgadywałem, że wolałby teraz być sam. Jednak ja znałem Beltane, a on nie. Gdybym wsiadł do helikoptera i pozostawił Lugarda samemu sobie, mógłby natrafić na kłopoty, którym by nie podołał, bo nie wiedziałby jak. A przede wszystkim, pozbawiony by został jedyne go środka transportu.

Ruszył przed siebie, w kierunku drzwi, znajdujących się na końcu hallu. Znalazłszy się przy nich, zdecydowanym gestem przyłożył płytkę do właściwego miejsca i drzwi otworzyły się. Stanęliśmy u progu ciemnego szybu. Lugard niespiesznym ruchem rzucił do szybu swój bagaż. Worek zaczął opadać, jednak powoli, jakby płynął w powietrzu. Winda grawitacyjna. Ujrzawszy to, kapitan spokojnie ruszył w ślady worka. Musiałem zmusić się, żeby postąpić tak samo; wciąż nie dowierzałem urządzeniom, których nie używano przez wiele lat.

Opuściliśmy się na dół o dwa poziomy; ta krótka podróż kosztowała mnie wiele strachu i potu. Nie ufając staremu urządzeniu, wciąż obawiałem się, że zacznę spadać i moje ciało roztrzaska się o dno szybu. Jednak nic złego nie wydarzyło się i wkrótce stąpaliśmy po osiedlowym magazynie z zaopatrzeniem. W półmroku

ujrzałem maszyny, opatulone brezentowymi narzutami. Zapewne myliłem się więc przypuszczając, że Lugard zostałby pozbawiony środków transportu, gdybym zostawił go samego. Nie zwrócił jednak uwagi na maszyny, podszedł za to do nisz, w których ustawione były kontenery i skrzynie.

— Jak widzisz, jestem doskonale zaopatrzony — powiedział, kiwając głową w kierunku tego budzącego podziw magazynu.

Rozejrzałem się dookoła. Po lewej stronie zauważyłem półki na broń, jednak w większości były puste. Lugard podszedł do jednej z maszyn i ściągnął z niej brezentowe przykrycie. Moim oczom ukazała się koparka z łopatą opuszczoną do ziemi. Moja początkowa nadzieja, że jest to bojowa maszyna latająca, natychmiast prysła. Cóż, skoro puste były półki, przeznaczone na broń, zapewne w magazynie nie było też żadnych maszyn bojowych.

Lugard odwrócił się od koparki i ujrzałem w jego oczach jakby nowo nabytą energię.

— Nie miej wątpliwości, Vere, to dla mnie doskonałe miejsce.

Ruchem głowy nakazał mi przejść do szybu, tym razem jednak popłynęliśmy w górę i znów znaleźliśmy się w hallu wejściowym. Szedłem z powrotem do drzwi, kiedy jego głos osadził mnie w miejscu.

— Vere...

— Tak? — odwróciłem się. Lugard patrzył na mnie, jakby wahał się, czy ma powiedzieć to, co go nurtuje. Odnosiłem wrażenie, że ciężko zmaga się sam ze sobą, by zwalczyć to wahanie.

— Wpadnij tu do mnie, jak będziesz miał okazję.

Na podstawie tonu jego głosu nie mogłbym określić tych słów jako serdeczne zaproszenie, a jednak, znając Lugarda, wiedziałem, że jest szczere i prawdziwe.

— Gdy tylko będę mógł — obiecałem.

Stanął przy drzwiach, obserwując jak powoli zbliżam się do helikoptera. Wystartowawszy, celowo zatoczyłem koło nad bramą i pomachałem mu na pożegnanie. Odpowiedział mi równie serdecznym gestem.

Obrałem kurs na Kynvet, pozostawiając ostatniego z żołnierzy Beltane samego w jego pustelni. Nie cieszyła mnie myśl, że zostawiłem go samego, otoczonego przez duchy tych,

którzy tam kiedyś mieszkali i nigdy już nie powrócą. Ale przecież taki był właśnie wybór Lugarda, wybór, którego nikt już nie był w stanie zmienić; wiedziałem

to dobrze, bo przecież dobrze wiedziałem, kim jest i jaki jest Griss Lugard.

Kiedy lądowałem w Kynvet, ujrzałem światło w otwartych drzwiach domu.

— Vere? — dotarł do mnie głos Gythy natychmiast, kiedy wyłączyłem silnik.

— Annet chce, żebyś się pośpieszył. Mamy towarzystwo.

Towarzystwo? Rzeczywiście, teraz zauważyłem kolejny helikopter z symbolem Yetholme na ogonie i zaraz potem maszynę Haychaxa; odniosłem wrażenie, że dzisiejszego wieczoru gościmy pół Komitetu. Ale dlaczego?

Przyśpieszyłem kroku i w mgnieniu oka zapomniałem o Butte Hold i jego nowym dowódcy.

Rozdział drugi

Tej nocy pod dachem Ahrena nie zgromadził się pełen Komitet, jednak zza zamkniętych drzwi docierały przytłumione głosy mężczyzn, którzy zawsze mieli w nim najwięcej do powiedzenia. Spodziewałem się, że będę musiał tłumaczyć się, dlaczego użyłem helikoptera, jednak nikt nie zwrócił nawet uwagi na moje lądowanie.

Annet, zajęta dotąd zmywaniem naczyń, podążyła za mną do gabinetu ojca i poinformowała mnie o przyczynie tego niecodziennego zgromadzenia. Statek, który przywiózł na planetę Lugarda i innych weteranów wojennych miał, jak się okazało, drugą, dodatkową misję. Kiedy zbliżał się do Beltane, z jego kapitanem skontaktował się dowódca statku, krążącego po orbicie wokół planety, z którego istnienia nie zdawaliśmy sobie dotychczas sprawy. Do Komitetu została wystosowana błagalna prośba.

Było tak, jak to przewidział Lugard, chociaż jego wizja była jeszcze bardziej ponura. Istniały statki bez portów macierzystych, ich własne światy były zniszczone lub skażone radioaktywnie do tego stopnia, że o żadnym życiu na ich powierzchniach nie mogło być mowy. Statek z uciekinierami z takiego właśnie świata krążył po naszej orbicie błagając o prawo do lądowania i miejsce do osiedlenia się dla stłoczonych na jego pokładzie ludzi.

Beltane była dotąd „zamkniętym” światem, a jej jedyny port otwarty był tylko dla uprzywilejowanych statków. Powody zamknięcia zniknęły jednak wraz z końcem wojny. Nasze osiedla zajmowały tak mało miejsca na powierzchni planety, że byliśmy dotąd zaledwie pionierami na planecie, mimo że w swoim czasie wokół portu powstało naprawdę sporo wiosek. Poza tym pusty był cały wschodni kontynent; wciąż czekał na swoich kolonizatorów.

Czy jednak stare, wojenne ograniczenia wezmą górę i Komitet nie wpuści statku? A jeśli stanie się inaczej, czy nie okaże się to zbyt wyraźną zachętą do lądowania dla innych rozbitków wojennych? Pomyślałem o przepowiedni Lugarda, że wilki zaczną krążyć po międzyplanetarnych szlakach, a te światy, które okażą się bezbronne, zostaną ograbione, a może nawet staną się ofiarami okupacji. Czy mężczyźni, teraz naradzający się z Ahrenem, brali i to pod uwagę? Przekonany byłem, że nie.

Zabrałem talerz z chlebem do maczania i zaniósłem go do długiego stołu.

Serworobotów już dawno na planecie nie mieliśmy, kilka ostatnich pozostało w laboratoriach. Cofnęliśmy się w czasie i znów używaliśmy rąk, nóg i siły naszych grzbietów do pracy. Annet była dobrą kucharką — z przyjemnością jadłem to, co gotowała w swoich garnkach i na patelniach, w przeciwieństwie do jedzenia w porcie, wciąż preparowanego przez roboty. Zapach przygotowanego przez nią jedzenia przypomniiał mi, że od południa, kiedy jadłem ostatni posiłek w porcie, minęło już wiele godzin i jestem bardzo głodny.

Kiedy powróciłem po tacę z miseczkami, pełnymi aromatycznych sosów, Annet wypatrywała przez okno.

— Skąd masz helikopter? — zapytała.

— Zabrałem z portu. Wiozłem pasażera na peryferie.

Popatrzyła na mnie, zaskoczona.

— Na peryferie? Kogo?...

— Grissa Lugarda. Chciał dostać się do Butte Hold. Właśnie wylądował na planecie.

— Grissa Lugarda? Kto to taki?

— Służył razem z moim ojcem. Poza tym zawiadywał Butte Hold przed wojną.

Przed wojną... Termin ten był dla niej jeszcze bardziej odległy niż dla mnie. Chyba była jeszcze w żłobku, kiedy dotarły do nas pierwsze wiadomości o konflikcie. Wątpiłem, czy pamięta jakiegokolwiek wydarzenia sprzed wojny.

— Dlaczego powrócił? Jest... był żołnierzem, prawda? Żołnierze, ludzie, którzy uczynili z walki swoją profesję, byli obecnie na Beltane postaciami tak legendarnymi, jak fantastyczne stwory z opowieści dla dzieci, zapisanych na taśmach.

— Urodził się tutaj. Otrzymał osadę...

— A więc znów będą tutaj żołnierze? Przecież wojna skończyła się. Ojciec... Komitet... przecież wszyscy przeciwko temu zaprotestują. Znasz Pierwsze Prawo...

Znałem Pierwsze Prawo, jakże by inaczej. Wystarczająco często wbijano mi je do głowy: „Wojna to marnotrawstwo; nie istnieją konflikty, których nie można by rozwiązać dzięki cierpliwości, inteligencji i dobrej woli, wyrażanych przez oponentów szczerze i otwarcie”.

— Nie, przyjechał sam. Nie ma już swojego oddziału. Był ciężko ranny.

— Zapewne też ciężko nienormalny — Annet zaczęła nalewać chochlą gulasz do czekających waz — skoro planuje zamieszkać na takim pustkowiu.

— Kto chce mieszkać na pustkowiu? — do kuchni wpadła Gytha, trzymając w opalonych rękach kilka chochli.

— Człowiek o nazwisku Griss Lugard.

— Griss Lugard... Och, wicekomendant Lugard! — Zaskoczyła mnie, jak to się jej często zdarzało, ale nie tylko mnie.

Widząc moje zdziwienie i Annette, skrzywiła usta w wesołym uśmiechu. Odgarnęła z policzka kosmyk włosów. — Co się dziwicie, umiem przecież czytać, prawda? Czytam nie tylko taśmy z powieściami. Dużo czytam o historii Beltane. Ze starych taśm informacyjnych można wiele ciekawego się dowiedzieć. Na przykład o tym, jak wicekomendant Griss Lugard przyniósł pewnego dnia z grot z krainy lawy jakieś przedmioty; że okazało się, iż znalazł przedmioty, należące do Prekursora. Potem Centrum Dowodzenia miało wysłać kogoś na miejsce dla zbadania sprawy, jednak wybuchła wojna i przestaliśmy się tym interesować. Przejrzałam wiele taśm, by przekonać się, czy rzeczywiście zaniechano dalszych poszukiwań. Założę się, że Lugard powrócił teraz, żeby znaleźć skarby — skarby Prekursora. Vere, może skoczmy do Butte Hold i pomożemy mu ich szukać?

— Rzeczy Prekursora? — skoro Gytha powiedziała, że o czymś czytała, nie sposób było kwestionować jej słów; nigdy nie kłamała. Ale przecież nigdy nie słyszałem, by po Prekursorze coś na Beltane pozostało.

Kiedy nasz rodzaj pierwszy raz wy dostał się z własnego systemu słonecznego, szybko zorientowaliśmy się, że nie jesteśmy sami w świecie bezkresnej przestrzeni. Równie szybko spotkaliśmy mieszkańców, pochodzących z innych planet, już od dawna swobodnie poruszających się na trasach pomiędzy systemami. Wyprzedzali nas o całe stulecia, jednak nie oni przecież byli pierwszymi, musieli kiedyś napotkać tych, którzy ich uprzedzili w zmaganiach z przestrzenią. Okazało się, że niezliczone generacje przeminęły od czasu, kiedy z planet oderwały się pierwsze przestrzenne statki Prekursora.

Handlowano pozostałościami po Prekursorze, głównie na planetach wewnętrznych systemów, gdzie poziom życia był najwyższy i różne VIP-y lubiły wydawać pieniądze na ciekawostki. Zakupów dokonywały często także muzea, jednak prywatni kolekcjonerzy zawsze gotowi byli płacić za znaleziska większe pieniądze. Jeżeli wszystko, co mówiła Gytha, było zgodne z prawdą, bez trudu byłem w stanie zrozumieć powód powrotu Lugarda do Butte. Otrzymałszy tę osadę, miał teraz legalne prawo do wszystkiego, co na niej znajdzie. Jednak, czy handel luksusowymi i

drogimi pamiątkami będzie możliwy? Nie, bowiem jeżeli sprawdziłyby się jego pesymistyczne wizje, mógłby posiadać nieskończoną ilość znalezisk po Prekursorze i nie odnieść z tego tytułu żadnych korzyści.

Myśl o skarbach, jak to zawsze bywa w takim wypadku, ożywiła mnie i nic w tym dziwnego, że zareagowałem jak Gytha: pragnieniem udania się na ich poszukiwanie.

Groty w krainie lawy stanowiły miejsce, do którego nikt rozsądny nie zapuszczał się, chyba że dysponował odpowiednio szeroką wiedzą o tym terytorium i odpowiednim wyposażeniem. Groty te nie powstały tak jak wszystkie inne, wskutek działania wody; początek dał im ogień. Ich długie korytarze ciągną się pod ziemią całymi milami. W krajobrazie ponad nimi widoczne są liczne dziury, tam, gdzie ich naturalne sufity zapadają się. Teren jest popękany, pełen kraterów i innych pułapek, które dla przypadkowego wędrowca czynią go właściwie niedostępnym.

— Pojedziemy tam, Vere? Może to wyprawa w sam raz dla Wędrowców? — Gytha zapaliła się do swojego pomysłu.

— Oczywiście, że nie! — Annet odwróciła się od kuchenki, z chochlą w ręce. — To niebezpieczna kraina, dobrze o tym wiesz, Gytha!

— Przecież nie pojedę tam sama — odparła Gytha, której zapal zdawał się z każdą chwilą wzmacniać. — Przecież pojedę razem z Vere, a może i z tobą. Będziemy trzymać się przepisów, nie zabłądzimy. Poza tym nigdy nie widziałam groty w krainie lawy...

— Annet! — zawołał Ahren z pokoju. — Śpieszmy się, córeczko!

— Tak, już idę. — Powróciła do napełniania waz. — Zabierz łyżki, Gytha. A ty, Vere, bądź tak dobry i porozstawiaj podstawki.

Jej matka nie wróciła jeszcze do domu. Nie było w tym niczego niezwykłego, gdyż eksperymentów w laboratorium nie można było uzależniać od posiłków. Annet z ciężkim westchnieniem odłożyła dla niej jedną porcję. To z jej powodu zazwyczaj jadaliśmy takie rzeczy, które można było łatwo dwukrotnie, a nawet trzykrotnie odgrzewać.

Goście i ich gospodarz siedzieli już u szczytu stołu, a my skorzystaliśmy z zaproszenia, by usiąść na przeciwny m końcu, i w żadnym wypadku nie przeszkadzać. Nie będąc członkiem Komitetu, zwykle nudziłem się, słuchając ich dyskusji. Dzisiaj jednak mogło być inaczej.

A nawet jeśli spodziewałem się usłyszeć coś więcej o statku z uciekinierami,

mocno się rozczarowałem. Corson jadł mechanicznie, nawet nie zauważając, co ma na talerzu, jakby duchem był kompletnie nieobecny. Milczał również Ahren. Tylko Alik Alsay prawił Annet komplementy, dotyczące jedzenia, w końcu zwrócił się do mnie: — Collis, twój raport o północnym zboczu był doskonały. Gdyby powiedział to Corson, byłbym zadowolony. Wiedziałem, że Alsay zupełnie nie interesuje się moim raportem i pochwalił mnie tylko po to, by podtrzymać przy posiłku gasnącą rozmowę. Wymruczałem podziękowania i na tym pewnie wszelka konwersacja przy stole by się zakończyła, gdyby Gytha nie postanowiła przyśpieszyć biegu wydarzeń. Znałem ją dobrze i wiedziałem, że gdy się na coś uprze, prędzej czy później znajdzie sposób, by zrealizować swoje zamiary.

— Vere był dzisiaj w krainie lawy — powiedziała. — Czy ty też tam kiedyś byłeś, Pierwszy Techniku, Alsayu?

— W krainie lawy... — urwał, a jego dłoń z filiżanką zamarła w bezruchu w połowie drogi do ust. — Ale po co? Przecież nie istnieje nawet mapa tamtych terenów. To są po prostu bezkresne nieużytki. Co cię tam przywiodło, Collis?

— Zawiozłem tam kogoś, kapitana Lugarda. Jest teraz w Butte Hold.

— Lugarda? — Ahren jakby zbudził się z głębokiego snu. — Grissa Lugarda? Co on robi na Beltane?

— Nie wiem. Mówi, że otrzymał Butte Hold...

— Jeszcze jeden garnizon! — Ahren odstawił filiżankę na stół tak gwałtownie, że rozlał gorącą kawę. — Nie, nie zgadzam się, żeby podobny nonsens miał miejsce ponownie na tej planecie. Wojna skończyła się! Nie ma potrzeby, żeby znów tu trzymać jakiegokolwiek siły Bezpieczeństwa. — Sposób, w jaki wypowiedział słowo „bezpieczeństwa”, sprawił, że zabrzmiało ono jak przekleństwo. — Nie ma tu przecież żadnego niebezpieczeństwa i nie życzymy sobie, żeby znów ktoś nas tutaj szpiegował. Im wcześniej to zrozumieją, tym lepiej. — Popatrzył na Alsaya i Corsona. — Ta informacja rzuca chyba nowe światło na całą sprawę.

Jaką sprawę miał na myśli, tego nie wyjaśnił, zażądał natomiast, żebym w całości zrelacjonował moje dzisiejsze spotkanie z Lugardem. Kiedy to uczyniłem, znów odezwał się Alsay:

— A więc Lugard otrzymał osiedle jako wypłatę.

— A może to tylko trick, który zastosował wobec chłopca? — Ahren był zdenerwowany. — Jego papiery portowe powinny coś nam powiedzieć. Poza tym — ponownie skierował uwagę na mnie — mógłbyś trochę go poobserwować, Vere.

Skoro przyjął twoją pomoc jeden raz, mógłby nie protestować, gdybyś pojawił się w Butte Hold ponownie...

Nie spodobało mi się to, co zasugerował, jednak nie mogłem powiedzieć tego głośno, w obecności jego gości, pod dachem jego domu, domu, który pozwolił mi traktować jak swój. W powrocie Lugarda było coś, co go w najwyższym stopniu wzburzyło; w przeciwnym razie nie posuwałby się do propozycji, bym szpiegował człowieka, który był przyjacielem mojego ojca.

— Ojciec — znów wtrąciła się Gytha, zmierzając do zrealizowania swych własnych zamiarów — czy Vere mógłby tam zabrać nas ze sobą? Wędrowcy nigdy nie byli w krainie lawy.

Spodziewałem się, że Ahren wybiję jej ten pomysł z głowy jednym groźnym spojrzeniem. Nie uczynił tego jednak, nie udzielił jej żadnej odpowiedzi. Przedłużającą się ciszę przerwał Alsay.

— Ach, Wędrowcy. Jaka była ich ostatnia przygoda, moja droga? — Był jednym z tych dorosłych, którzy nigdy nie rozmawiali swobodnie z dziećmi, więc jego głos zabrzmiał jak ukłucie sztyletem.

Gytha potrafiła być miła, kiedy tego chciała. Tym razem uśmiechnęła się słodko do najstarszego z Yetholmów.

— Byliśmy w wąwozie, który nazwaliśmy przełykiem jaszczurki, i nagraliśmy nasze własne okrzyki. — Nagrania posłużyły do eksperymentu komunikacyjnego doktora Draxa.

Mogłem tylko podziwiać jej spryt. Przypomnienie w tym momencie o roli, odgrywanej przez Wędrowców w przeszłości, z pewnością mogło tylko pomóc realizacji jej aktualnych zamiarów.

— Tak — przyznał Ahren. — To rzeczywiście była dobra robota, Alsay. Wykazali wtedy niezwykłą cierpliwość i dociekliwość. Teraz więc chcielibyście zobaczyć krainę lawy...

Byłem całkowicie zaskoczony. Czy on naprawdę się zgodzi? Zobaczyłem, jak Annet sztywnieje po drugiej stronie stołu. Jej usta poruszały się bezgłośnie, jakby chciała protestować, ale nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Alsay odezwał się jednak ponownie, tym razem do mnie.

— To jest naprawdę pożyteczna organizacja, Collis. Wiele dodajecie od siebie do taśm, z których uczycie się. Szkoda, że do tej pory nie mieliście okazji, by podróżować po przestrzeni. Jednak teraz, gdy skończyła się wojna, może i na to

przyjdzie czas.

Wątpiłem, czy mówi poważnie. Wędrowcy byli pomysłem bardziej Gythy niż moim. W swoim czasie zapaliła mnie do niego tak bardzo, że nie potrafiłbym go teraz porzucić, nawet gdybym bardzo chciał.

Kiedy osadnicy przybyli na Beltane, chcieli wychować swoje dzieci na kastę bezustannie dociekliwych naukowców. Eksperyment w dziedzinie takiego wychowania był w zasadzie częścią planu, który przywiódł nas na tę planetę. Jednak wojna przerwała ten eksperyment, jak i wiele innych. Każdy z nas z konieczności stawał się specjalistą w jednej wąskiej dziedzinie. Przeciwdziałanie temu procesowi stało się obecnie Jednym z najważniejszych zadań nauczycieli. Niestety, najlepsi z nich zginęli na wojnie lub zostali wcieleni do różnych służb. Ci, którzy pozostali, byli starzy i konserwatywni. Poza tym na Beltane było niewiele dzieci. W samym Kynvet było nas zaledwie ośmioro, poczynając od siedmioletnich bliźniaczek, Dagny i Dinan Norkot, kończąc na Thadzie Maky'm, który miał już czternaście lat i uważał się, wzbudzając naszą irytację, za prawie dorosłego.

Gytha wcześniej przejęła przywództwo nad tym towarzystwem. Miała bujną wyobraźnię i nadzwyczajną pamięć. Czytała każdą dostępną jej taśmę i chociaż nie pozwalano jej czytać taśm z laboratoriów, to, co przeczytała i zapamiętała, dało jej szeroką wiedzę. Dla młodszych dzieci była wprost niewyczerpanym źródłem mądrości. Zanim, zadali jakiegokolwiek pytanie dorosłym, zwracali się z problemami właśnie do niej, gdyż odpowiedzi i rady, jakie udzielała, były łatwiejsze do zrozumienia i, trzeba to przyznać, częstokroć trafniejsze.

Zorganizowawszy sobie grupę wpatrzonych w nią jak w obrazek wielbicieli, Gytha zaczęła pracować nade mną. I wkrótce okazało się, że często więcej czasu pochłania mi prowadzenie ekspedycji Wędrowców niż moje studia. Początkowo nie chciałem przyjąć tych obowiązków, jednak Gytha w grupie trzymała tak żelazną dyscyplinę, że przewodzenie wyprawom stało się przyjemnością. Poza tym, zacząłem być dumny z tego, że jestem właściwie nauczycielem dla grupki dzieciaków, które pragną nauczyć się czegoś więcej niż inne.

Annet tak naprawdę nigdy nie przyłączyła się do nas. Zawsze bała się o siostrę i wszelkie myśli o tym, że dobrowolnie naraża się ona na niebezpieczeństwo, wywoływały u niej ataki płaczu. Była trochę spokojniejsza, kiedy ja prowadziłem wyprawę Wędrowców, ponieważ nie miała wątpliwości, iż nigdy dobrowolnie nie wplączę takiej ekspedycji w niepotrzebne kłopoty. Od czasu do czasu przyłączała się

do nas, jednak jej rola podczas wypraw ograniczała się do maszerowania na końcu grupy i bezustannego powtarzania licznych ostrzeżeń. Nigdy natomiast, muszę jej to przyznać, nie skarżyła się, że jest jej zbyt ciężko.

Jednak jeśli chodzi o wyprawę Wędrowców do krainy lawy — nie, uznałem, że poprę Annet i nigdy nie zgodzę się, by taką wyprawę podjęli Wędrowcy. Tymczasem Ahren pochylił się ku młodszej córce i rzucił pytanie:

— Masz jakiś projekt na myśli? — Przynajmniej potrafił rozmawiać z młodszym pokoleniem. Pytanie zadał takim tonem, jakby rozmawiał z jednym spośród swoich kolegów.

— Jeszcze nie. — Gytha zawsze była szczerą. Nigdy nie starała się ukrywać bądź przekręcać faktów. — Tyle tylko, że byliśmy na bagnach i na wzgórzach już kilka razy, a nigdy w krainie lawy. A powinniśmy rozszerzać swe horyzonty... — Wiedziałem, jakie słowa padną za chwilę. — Chcielibyśmy więc zobaczyć także Butte Hold.

Odnutowałem w myślach, że nie wspomina ani słowem o skarbach Prekursora.

— Rozszerzać horyzonty, powiadasz? Co ty na to, Vere? Zdaje się, że podróżowałaś tam dzisiaj helikopterem. Co sądzisz o tym terenie?

Trafił w dziesiątkę. Nie mogłem wykręcić się od odpowiedzi, chociaż bardzo tego w tej chwili pragnąłem. Wystarczyłoby, że sprawdziłby zapis lotu maszyny, żeby poznać trasę mojej dzisiejszej wędrówki. Zresztą, z tonu jego głosu wyczułem, że właściwie podjął już decyzję. Chciał, żeby Wędrowcy udali się do krainy lawy, a przynajmniej do Butte Hold. Nie miałem wątpliwości, dlaczego: chodziło mu o Lugarda.

Z pewnością uznał, że dzieci są wystarczająco spostrzegawcze, by po powrocie złożyć mu dokładny raport.

— Krążyłem tylko wokół Butte. Nie zapuszczałem się dalej bez mapy.

— Gytha — Ahren popatrzył na córkę — czy podróż do Butte Hold wystarczająco rozszerzy wasze horyzonty?

— Tak! Kiedy? Jutro? — te trzy słowa wypowiedziała w jednej sekundzie.

— Jutro? Cóż, tak, myślę, że jutrzejszy termin jest całkiem odpowiedni. Annet — odezwał się do starszej córki — jutro odprowadzimy naszą ekipę do portu. Twoja matka będzie nam towarzyszyć. Przy okazji, sądzę, że Norkotowie i Wymarkowie udadzą się tam razem z nami, na ogólne zgromadzenie. Zrobimy więc sobie wypad na cały dzień. Zabierz jedzenie, które będziesz mogła przygotować w plenerze.

Znów byłem pewien, że Annet zaprotestuje. Ale wobec stanowczego tonu ojca nie ośmieliła się powiedzieć ani słowa. Gytha za to westchnęła z nie skrywaną radością. Przypuszczałem, że w myśli tworzy już listę ekwipunku, który będzie niezbędny do poszukiwania skarbów Prekursora.

— Pozdrów ode mnie kapitana — odezwał się do mnie Ahren. — Powiedz mu, że z radością spotkamy się z nim w porcie. Być może jego doświadczenie przysłużyłoby się nam w jakiś sposób.

Wątpiłem w to. Swoją opinię o żołnierzach i wojsku Ahren wyrażał już tyle razy, szczególnie w ostatnim okresie, że nie wyobrażałem sobie go przysłuchującego się pouczeniom Grissa Lugarda bez niechęci i zniecierpliwienia.

Ahren tak bardzo chciał, żebyśmy jak najszybciej wyruszyli w drogę, że pozwolił mi na użycie helikoptera zaopatrzeniowego, który został niedawno naprawiony i który zdolny był unieść całą naszą grupkę. Kiedy tylko skończyliśmy kolację, Gytha z prędkością światła wyskoczyła z domu, by uprzedzić całą swą załogę o czekających ich jutro przygodach.

Pomogłem Annet posprzątać ze stołu i ujrzałem jak marszczy czoło, stojąc przed zmywarką do naczyń na promienie podczerwone — jednym z nielicznych urządzeń domowych, jakie jeszcze dobrze funkcjonowały.

— Griss Lugard bardzo interesuje ojca — powiedziała niespodziewanie. — Nie ufa mu.

— Wystarczyłoby, żeby sam do niego pojechał i zadał mu kilka pytań. — Nie byłem zadowolony ze sposobu, w jaki Ahren chce nas wykorzystać. — Lugard z całą pewnością nie planuje zawładnięcia planetą. Zapewne chce jedynie, by zostawić go w spokoju. Nie sądzę, aby nasza jutrzejsza wizyta ucieszyła go.

— Czy dlatego, że ma coś do ukrycia?

— Nie. Dlatego, że pragnie ciszy i spokoju.

— Żołnierz?

— Nawet żołnierze mogą być zmęczeni po wojnie. — Nie pierwszy raz musiałem oponować, najdelikatniej jak potrafiłem, przeciwko jej uprzedzeniom. Wynikały z nauk, jakie pobierała przez całe życie. Moja sytuacja, bardziej gościa, niż członka rodziny, zmuszały mnie do ostrożności w mowie i zachowaniu już od najmłodszych lat. Wpojono mi tę konieczność, gdy miałem dziesięć lat i gdy pewnego dnia spróbowałem bronić swych poglądów przy pomocy pięści.

— Być może. — Nie była przekonana. — Czy naprawdę uważasz, że w tej

historii ze skarbem Prekursora jest ziarno prawdy? Brzmi to nieprawdopodobnie. Przecież nigdy nie znaleźliśmy po nim na planecie żadnych, nawet najmniejszych śladów.

— Może nie szukaliśmy ich zbyt uważnie? — powiedziałem, nie dlatego, że wierzyłem w skarby, ale ze zwykłej uczciwości. Prawdą było, że badaliśmy z powietrza większość zachodniego kontynentu, że sprawdzaliśmy raporty wszystkich grup badawczych, jednak nigdy nie prowadzono żadnych akcji pod kątem poszukiwań śladów po Prekursorze.

Cały kontynent był niezwykle szeroki i pusty. Być może, gdybyśmy pozwolili uciekinierom, znajdującym się teraz na statku krążącym po naszej orbicie, osiedlić się na Beltane, znaleźliby dla siebie dobre miejsce na północy, na południu, a może dalej na zachodzie i mogliby spokojnie żyć, bez konieczności zmieniania oblicza planety.

Zaczęliśmy przygotowywać się do wczesnego startu nad ranem, a jednak i tak wyruszyliśmy po wszystkich, którzy polecili do portu. Zakładałem, że odbędzie się tam nie tylko zebranie Komitetu w pełnym składzie, ale że zgromadzi się tak dużo ludzi, jak tylko Komitet zdoła poinformować o spotkaniu, a głównym jego tematem będzie prośba statku, krążącego po orbicie. Dla dzieci jednak ta sprawa miała drugorzędne znaczenie. Gytha jeszcze wieczorem zdołała zawiadomić wszystkich zainteresowanych o wyprawie do krainy lawy i wczesnym rankiem podniecenie przed podróżą sięgało zenitu.

W końcu usiadłem w fotelu pilota i gdy przekonałem się, że wszyscy moi pasażerowie zajęli już miejsca, odwróciłem się i wyjaśniłem im, że naszym celem jest Butte Hold, a nie dzika kraina, leżąca za osadą; do tej krainy nie zamierzamy w ogóle się zapuszczać. Poinformowałem ich też, że nie wolno zbliżać się do Lugarda, ani wkraczać na teren osiedla, jeżeli on nie wyrazi na to zgody, na co zresztą w skrytości liczyłem. Jeżeli okaże się mądry, po wylądowaniu helikoptera nie zareaguje i obejrzymy sobie jedynie mury osiedla.

Na osobności Gytha usłyszała ode mnie, że jeśli Lugard okaże się gościnnym gospodarzem i nas przyjmie, nie będzie jej wolno ani słowem wspominać o Prekursorze, o skarbach i o niczym innym tego rodzaju.

Zareagowała oburzeniem. Czy sędzę, że ona nie potrafi się zachować? Czy uważam ją za tak samo ograniczoną jak Annet? Bo jeśli tak, to ona nie chce mnie znać. Z trudem opanowałem jej wybuch i byłem niemal szczęśliwy, kiedy wreszcie uspokoiła się.

Lot z Kynvet był krótszy niż z portu. W dawnych czasach Kynvet było najbliższą osadą na drodze łączącej Butte z innymi skupiskami ludzi. Po podróży, która trwała krócej niż godzinę, dotknęliśmy ziemi starego lądowiska, wzbudzając tradycyjnie tumany piasku. Spodziewałem się ujrzeć zamkniętą bramę osiedla, jednak wrota stały otworem, a w blasku porannego słońca zobaczyłem sylwetkę Lugarda. Stał poza murami, jakby spodziewał się nas i zapraszał do siebie.

Posłuszni rozkazom Wędrowcy zostali w helikopterze, podczas gdy ja wyskoczyłem, żeby wyjaśnić powody naszej obecności. Nie minęła jednak sekunda i usłyszałem za sobą podniecone szepty. Weteran nie był sam. Dzieci znajdujące się w helikopterze zauważyły, że na ramieniu kapitana siedzi sokół, tak spokojnie i tak ufnie, jakby znał go od chwili, kiedy wyklął się z jaja. U jego stóp odpoczywał skalny kozioł. W ręce Lugard trzymał długi, prosty, ciemny kij. Nie powiedział ani słowa na powitanie, uniósł za to kij do ust. I nagle zaczął grać. Czyste, jasne dźwięki fujarki uniosły się w powietrzu. Sokół wydał poranny świst, a kozioł zakołysał się na czterech łapach, jakby muzyka wprawiła go w dziwny trans.

Nie wiem jak długo trwaliśmy w bezruchu słuchając muzyki, jakiej nikt z nas nigdy dotąd nie słyszał, muzyki fascynującej, wszechogarniającej. Nagle Lugard odsunął fujarkę od ust. Uśmiechał się.

— Magia — powiedział łagodnie. — Drufińska magia. Niespodziewanie sokół rozwinął skrzydła i pomknął ku niebu, a kozioł jakby w tej chwili dopiero nas zobaczył, zadrżał i pobiegł w kierunku swojej kryjówki wśród skał.

— Witam — Lugard wciąż uśmiechał się —jestem Griss, a wy?...

Dzieci, jakby uwolnione spod działania jakiegoś zaklęcia, wyskoczyły z helikoptera i pobiegły ku weteranowi, każde z nich z jego imieniem na ustach, jakby chciało dowieść, że rozpoznaje tego mistrza muzycznej magii. Powitał je wszystkie wesoło, po czym zaproponował zwiedzanie Butte. Gdy przeszły przez otwartą bramę, w hallu wejściowym powitały je po obu stronach szeroko pootwierane drzwi. Szybko jednak okazało się, że nasz gospodarz pamięta o poważnych sprawach. Gdy wszystkie dzieci zniknęły już wewnątrz Butte, w pewnej chwili popatrzył na mnie, potem na Annet i jeszcze raz na mnie, po czym rzucił pytanie:

— Statek z uciekinierami — powiedział stanowczo. — Mów, co zdecydowali w związku z tym statkiem?

— Nie wiemy. W porcie jest dzisiaj spotkanie.

— Pożycz mi swój helikopter. — Było to raczej żądanie niż prośba. — Chyba

nie będą tacy głupi, żeby pozwolić im na lądowanie...

Nie śmiałem o nic go pytać, stało się dla mnie bowiem jasne, że Lugard zna jakąś złowieszczą tajemnicę.

Po chwili był już w kabinie. Helikopter odrywał się właśnie od ziemi, kiedy z Butte wybiegła Annet, krzycząc:

— Vere! On startuje z całymi naszymi zapasami! Kiedy wróci? Zatrzymaj go!

Ponieważ było to już niemożliwe, złapałem ją za rękę i przyciągnąłem do siebie, aby osłonić przed miniaturową burzą piaskową, wznieconą przez maszynę przy starcie. Szybko wbiegliśmy przez wrota do Butte. Wtedy Annet zapytała mnie, dlaczego pozwoliłem mu odlecieć. Prawdę mówiąc, nie miałem żadnej rozsądnej odpowiedzi na to pytanie. Zdołałem ją jednak przekonać, że zapasy, które w Butte ma Lugard, wystarczą nam, a z pewnością nie obrazi się, jeżeli użyjemy ich w tych okolicznościach. Poza tym śpieszyłem się, by zobaczyć, co robią Wędrowcy, którzy znaleźli się we wnętrzu osady.

Rozdział trzeci

— To nie jest prawdziwa magia — usłyszeliśmy głos Gythy, dobiegający z jednego z pomieszczeń. — Czy ty naprawdę nigdy nie czytasz taśm. Prima? Wibracje, dźwięki, oddziałują na zwierzęta i ptaki. Nie wiem, co znaczy słowo „drufińska”; pochodzi pewnie z przestrzeni. Ale dźwięk, który wydaje ta fujarka... jest realny, przecież go słyszeliśmy. Chociaż z całą pewnością nikt na Beltane nie byłby w stanie wykonać takiego instrumentu.

Czasami kołatało się w mojej głowie pytanie: co właściwie jest realne, a co nierealne. Przecież to, co było realne dla jednego ludu lub gatunku, mogło być nierealne dla innego. Biblioteki na Beltane odmawiały wydawania materiałów, dotyczących innych światów; chyba że chodziło o prace badawcze. Słyszałem już jednak w życiu mnóstwo opowieści z ust ludzi, którzy podróżowali w przestrzeni i z pewnością nie wszystkie dziwy, o których opowiadali, opisywali jedynie po to, aby wstrząsnąć naiwnym słuchaczem. Nikt mi nie opowiadał jeszcze o drufińskiej magii, a jednak bez wątpienia wyjaśnienie Gythy było prawidłowe.

— Z taką fujarką — odezwał się Thad — można by codziennie wybierać się na polowanie i nigdy nie wracałoby się z pustymi rękami.

— Nie! — Gytha równie stanowczo zareagowała na te słowa, jak na spekulacje o nienaturalnym pochodzeniu dźwięku z piszczałki. — To jest pułapka i...

Wszedłem do pomieszczenia. Gytha, z zaczerwienionymi policzkami, stała naprzeciw Thada. Całe jej drobne ciało wyrażało najwyższe oburzenie. Za jej plecami stanęły młodsze dzieci, jakby chcąc czynnie ją poprzeć. A Thad miał tylko Iforsa Juhlana po swojej stronie. Podobne sprzeczki zdarzały się już wcześniej, więc musiałem spodziewać się ich i podczas tej wyprawy. Zapewne któregoś dnia, po kolejnym konflikcie z Gythą, Thad opuści szeregi Wędrowców. Był bardzo gwałtowny i rwał się do energiczniejszych działań, niż były w naszym zwyczaju.

— Drugie Prawo, Thad — odezwałem się teraz, chociaż słowa te postawiły mnie od razu po drugiej stronie barykady, wśród dorosłych. Jednak upomnienie poskutkowało i zadziorność, przynajmniej na jakiś czas, opuściła Thada.

Drugie Prawo: „Cenimy własne życie i dobrobyt, cenimy więc także wszelkie niższe formy życia. Nigdy nie będziemy zabijać bezmyślnie, dla spełnienia antycznego przekleństwa naszego gatunku, którym jest okrucieństwo i przemoc”.

Na Beltane nie trzeba było polować, chyba że na potrzeby laboratoriów. A nawet w laboratoriach starano się nie czynić zwierzętom krzywdy i gdy to tylko było możliwe, wypuszczano je, po przeprowadzeniu doświadczeń, z powrotem do Rezerwatów. U niektórych wywoływano sztuczne zmiany genetyczne, dzięki czemu na wolności rodziły się zwierzęta bardziej inteligentne, a niektóre wykorzystano nawet na wojnie. Słynne „oddziały bestii”, umiejętnie dowodzone przez ludzi, wywoływały śmiertelny strach naszych wrogów. Podczas przyszłej pracy w Rezerwacie zamierzałem właśnie badać możliwości wzmożenia ludzkiej kontroli nad nimi. Musiałem jednak najpierw przekonać naszych przywódców, że kontrola ta będzie dla ludzi użyteczna, mimo iż wojna zakończyła się i nigdy już zwierząt nie będziemy wykorzystywali do walki.

Kilkakrotnie chodziłem już na polowania z ogłuszaczem i pokazałem nawet taśmy z tych polowań Wędrowcom. Być może był to błąd. Cóż, w końcu byliśmy światem, w którym zlikwidowano przemoc, a wszelkie nasze osiągnięcia były wynikiem wysiłku mózgowi raczej, niż siły fizycznej. W ciągu ostatnich kilku lat na Beltane mieliśmy tylko dwa przypadki zabójstwa i grabieży. Ich sprawcy zamknięci zostali w laboratorium psychiatrycznym w porcie i nie mieli prawa więcej pojawić się na wolności. Jednak, być może, w trakcie długotrwałej wojny zaczęły psuć się nie tylko maszyny. Pomyślałem o patowej sytuacji w dziedzinie kształcenia. Ktoś, kto nie szedł do przodu, wcale nie stał w miejscu; po prostu cofał się. Czyżbyśmy wszyscy się cofali? Wciąż naszym postępowaniem rządziło prawo, skonstruowane tak, by zapewnić spokój nam i całej planecie. A jednak...

— Vere... — Thad zmienił temat, może dlatego, że nie chciał słuchać oskarżeń Gythy, a może dlatego, że naprawdę zainteresowało go coś nowego. — Co to jest, to wszystko?

Ruchem ręki wskazał na cztery ściany pomieszczenia, w którym się znajdowaliśmy. Czas nie dokonał tu żadnych spustoszeń. Zaczynałem dochodzić do przekonania, że w zamkniętych przez wiele lat pomieszczeniach Butte panowała próżnia. Ściany były tak jaskrawo czyste, jakby dopiero wczoraj je pomalowano. Trzy z nich stanowiły gładkie, płaskie powierzchnie. Czwartą ścianę na połowę dzieliły drzwi. Wisiały na nich mapy, każda z nich przedstawiała jedną czwartą naszego kontynentu: północną, wschodnią, południową i zachodnią. Wszystkie osiedla oznaczone były żaróweczkami, które jednak nie paliły się. Zauważyłem nawet od dawna opuszczone strażnice Służb, nawet zwykłe kilkusobowe posterunki.

U stóp każdej ze ścian znajdowała się tablica rozdzielcza z licznymi dźwigniami i przyciskami, a przed każdą tablicą stało krzesło. Nie wstając z nich, można było na specjalnych szynach poruszać się wzdłuż ścian. Na środku pokoju ustawiona była kwadratowa platforma, wystająca z podłogi na wysokość około jednego kroku. Na platformie ustawione było piąte krzesło. Ktoś, kto na nim zasiadał, mógł obracając się wokół osi, co chwilę patrzeć na inną ścianę; odkrył to Dinan Norkot. Nagle ogarnęły mnie wspomnienia z czasów, kiedy byłem w wieku Dinana. Byłem wówczas w tym pokoju i widziałem mojego ojca na tym właśnie centralnym krześle. Nie obracał się na nim szaleńczo, jak teraz czynił to właśnie Dinan, ale zmieniał pozycję powoli, przez cały czas obserwując pulsujące żaróweczki. Niebieskie oznaczały sektory, czerwone — posterunki Służb, a żółte... nie, raczej zielone — Rezerwaty.

— To jest punkt dowodzenia — powiedziałem do Thada.

Nie byle jaki punkt dowodzenia, lecz taki, z którego wypływały rozkazy dla całego kontynentu, o wiele ważniejszy niż ten, który był obecnie w porcie. W Butte Hold znajdował się posterunek, najlepiej zabezpieczony ze wszystkich i wszelkie ważne dla planety instalacje obronne zbiegały się właśnie tutaj.

Zastanawiałem się, czy te wszystkie urządzenia wciąż działają. Światelka nie paliły się, jednak mogło to przecież znaczyć, że brakuje energii, a nie, że wszystko jest zepsute. Podeszedłem do mapy północnej części kontynentu. Żarówka, oznaczająca port... Pochyliłem się nad tablicą rozdzielczą i doszedłem do wniosku, że taka pozycja jest niewygodna, usiadłem więc na krześle i porównałem właściwe numery na mapie i na tablicy. Po chwili znalazłem właściwy przycisk i go nacisnąłem.

Odgłosy rozmowy, które rozległy się w pomieszczeniu, dotarły do nas tak niespodziewanie, że Annet krzyknęła z przerażeniem, a wszyscy inni nagle zaczęli wpatrywać się w mapę, która niewątpliwie była źródłem tych głosów. Były one tak wyraźne, jakby ludzie, których rozmowę słyszeliśmy, znajdowali się tutaj, razem z nami, a nie gdzieś daleko.

Podbiegł do mnie Dagny Norkot i stanął przy moim krześle.

— To mój ojciec — powiedział. — Ale on przecież poleciał do portu...

— ...ich deklaracje są zadowalające. Zatem...

Głos odrobinę przycichł, jakby Norkot oddalił się od mikrofonu, albo uległo osłabieniu wzmocnienie systemu. Tymczasem obok mojego krzesła przystanąła Annet.

— Chyba nie wolno nam słuchać obrad Komitetu — powiedziała.

Było to prawdą. Zresztą w tej chwili najważniejsze dla mnie było sprawdzenie, jak funkcjonuje od dawna nie używany system, obrady Komitetu mniej mnie interesowały. Postanowiłem posłuchać, co dzieje się w Yetholme.

Znów usłyszeliśmy cudzą rozmowę, chociaż poszczególne głosy nie były już tak wyraźne, jak te z portu. A jednak bez trudu można było zrozumieć treści słuchanych rozmów, co wystarczyło, by uznać, że stary sprzęt wciąż jest sprawny.

— Wiesz co? — Thad stanął pomiędzy Annet, a moim krzesłem. — Ten Griss Lugard, on przecież może słyszeć wszystko, co dzieje się na całej planecie i wcale nie musi ruszać się z tego miejsca. A może jest w stanie także wszystko widzieć?

Znów coś sobie przypomniałem. Wstałem z miejsca przed mapą pomocnej części kontynentu, podszedłem do krzesła w centrum, na którym przed chwilą kręcił się Dinan. Kilkakrotnie moje próby zawiodły, zanim zupełnie przypadkowo nacisnąłem odpowiednią kombinację guzików na oparciu krzesła i pedał, umieszczony pod prawą stopą. Fragment ściany rozsunał się, ukazując ekran.

— Wspaniale! — zawołał Thad z zachwytem. — Co dalej?

Szybko popatrzyłem na mapę; chciałem uniknąć zaglądania do zamieszkanym domów. Uznałem, że najbezpieczniej będzie przyjrzeć się jednemu z opuszczonych posterunków Służb na dalekiej północy.

— Thad, przesun pierwszą dźwignię w pierwszym rzędzie — poleciłem, samemu włączając ekran.

Bez słowa wykonał moje polecenie. Ekran rozjaśnił się bladym światłem i nagle ukazał się na nim obraz. Początkowo był tak niewyraźny, że pomyślałem, iż dociera do niego zbyt mało energii. A jednak, z każdą mijającą sekundą obraz na ekranie stawał się coraz bardziej ostry; po chwili oglądaliśmy jakieś zamknięte pomieszczenie. Tam także znajdowały się tablice rozdzielcze i kilka krzesel. Jedna ze ścian była jednak pęknięta!...

— Popatrz... pryszczoróg!

Na moment zaniemówiłem. Skulony na krześle, rzeczywiście siedział pryszczoróg. Jego pobrużdżona skóra, żabia głowa i rogi, wykręcone do przodu, stanowiły obrzydliwy widok. Wpatrywał się w nas, gdyż połączenie wizyjne umożliwiało podgląd w obie strony. Jego oczy wyrażały zaskoczenie, jakbyśmy schwytali go na gorącym uczynku, jakbyśmy w tej chwili poznali jakąś jego tajemnicę, której nie chciał ujawnić.

Ujrzelismy, jak drga jego przełyk i usłyszeliśmy przytłumiony, ale rozpoznawalny, chropowaty, skrzekliwy głos. Po chwili obraz jego wstrętnego dzioba wypełniał całą powierzchnię ekranu.

— Nie, nie! — usłyszałem głos Prithy.

Zdecydowanym ruchem wyłączyłem ekran. Zapanowała cisza.

— On jest wstrętny! On na nas patrzy! — zawołała po chwili Prima.

Podniosłem się, aby przytulić ją do siebie, jednak Annet już się nią zajmowała.

— Kochanie, to był tylko przyszczoróg — szeptała uspokajająco. — Nie ma powodu, żeby się go bać. A jeżeli i on nas zobaczył, pewnie był tak samo przerażony jak my. To był — zwróciła się do mnie — stary posterunek wartowniczy, prawda, Vere? — Gdy pokiwałem głową, kontynuowała: — Jest pusty, opuszczony, od wielu lat. Być może przyszczoróg uwił sobie tam legowisko.

— Patrzył na nas — powtórzyła Prima.

— A my patrzyliśmy na niego — zauważyła Annet. — Jest więc remis. Poza tym ten przyszczoróg znajduje się daleko od nas.

— Co najmniej dwa dni lotu helikopterem, Pritho — wtrąciłem. — Nikt tam nie bywa, bo po co?

— Vere... — Gytha stanęła obok Thada, wskazując dłonią na przyciski i dźwignie. — Popróbujmy jeszcze...

— Nie! — krzyknęła Annet, uprzedzając moją reakcję. — Dostyc tego. Zdaje się, że kapitan Lugard wystartował w podróż z naszym lunchem, musimy więc na miejscu poszukać iakichś zapasów, zamiast zajmować się głupstwami. Chyba dzielny żołnierz nie miałby nic przeciwko temu.

— Chyba nie — poparłem ją.

Na wszelki wypadek opuściłem pomieszczenie jako ostatni, poganiając Gythę i Thada, z żalem posyłających ostatnie spojrzenia na miejsce, w którym jeszcze przed chwilą na ścianie znajdował się ekran.

— Vere? — Mała dłoń wsunęła się do mojej ręki. Popatrzyłem na drobniutką, niemal trójkątną twarz Prithy. Rodziny, które przybywały, aby osiedlić się na Beltane, pochodziły często z bardzo odległych światów; do kolonizacji obcej planety wybierano je, biorąc pod uwagę umiejętności, talenty i przygotowanie fizyczne. Dlatego reprezentowaliśmy różne rasy, które dopiero tutaj mutowały się fizycznie w kierunku pradawnych norm naszego gatunku. Jednym z dowodów, że mutacja ta ciągle jeszcze trwa, była właśnie Pritha Wymark.

Urodzona w tym samym miesiącu, co Gytha, była niewiele wyższa od Dagny, młodszej o całe pięć lat. A jednak jej delikatne kości i smukłe ciało wcale nie przypominały małego dziecka. Była niezwykle bystra, lecz bardzo nieśmiała i wrażliwa.

— Vere — powtórzyła, a jej głos był w tej chwili zaledwie odrobinę głośniejszy od szeptu — ten przyszcioróg... on... on na nas patrzył...

— Tak? — Popatrzyłem na nią, zachęcając, by mówiła dalej, ponieważ wyczuwałem, że oprócz tej jednej oczywistej sprawy nurtuje ją coś jeszcze. Ja też czułem się niepewnie. Odnosiłem wrażenie, że niespodziewanie nakryliśmy na Gzymb przyszcioroga, że nie siedział przy tablicy rozdzielczej przypadkowo, że przeszkodziliśmy mu, zobaczyliśmy coś, co powinno zawsze pozostawać dla nas tajemnicą.

— To nie było... — Pritha zawahała się, jakby nie potrafiła ubrać w słowa nurtujących ją myśli.

— Może chodzi ci o sposób, w jaki siedział na krześle, Pritho. Znane nam przyszciorogi nie potrafią przyjmować takich pozycji. Mają zbyt słabo rozwinięte szkielety. Ale przecież oglądaliśmy obraz z opuszczonego posterunku, a nie z Rezerwatu.

— Być może.... — Wiedziałem jednak, że moje wyjaśnienie nie usatysfakcjonowało Prithy.

— Kiedy wrócimy — próbowałem uspokoić ją — złożę raport na ten temat. — Jeżeli jakiś przyszcioróg uciekł z Rezerwatu i rozwinął się inaczej niż wszystkie, być może zostanie odnaleziony i zbadany. Nie ma jednak powodu, żeby obawiać się zwierząt, z których zadrwiła natura, wiesz o tym dobrze.

— Tak, Vere. Chyba najbardziej przestraszyłam się tego, w jaki sposób on siedzi na krześle.

Wciąż jednak trzymała swoją dłoń w mojej. Wysunęła ją dopiero wtedy, gdy dotarliśmy do ostatnich otwartych drzwi i ujrzeliśmy, jak Annet ogląda nalepki na puszkach z żywnością. Oczywiście, wybierała dla nas to, co najlepsze, a wybrane puszki odstawiała na stół, przy którym swojego czasu jadał zapewne cały garnizon wojska.

Bez wątplenia w ciągu minionego dnia jadł tutaj także Lugard. Do przygotowywania posiłków służyła mu przenośna kuchenka i odrobina miejsca na stole. Niewiele więcej potrzeba było Annet, by już po kilkunastu minutach przed

gromada Wędrowców stały talerze z ciepłym poczęstunkiem.

— Zdaje się, że głód nam tutaj nie grozi — zauważyłem.

Na twarzy Annet widniał szeroki, radosny uśmiech, kiedy zwracała się do mnie:

— Vere, tutaj jest wszystko, o czym mógłbyś zamarzyć Prawdziwe jedzenie, nie żadne tam substytuty. Niewiarygodnie dużo produktów spoza Beltane. Czy ty wiesz, co my będziemy jedli?..

— Zapewne są to zapasy z mesy oficerskiej — pokiwałem głową.

Szybko przebiegłem wzrokiem po nalepkach na puszkach.

Na Beltane nie jadaliśmy źle, być może w innych światach nasze jedzenie byłoby niedostępnym luksusem, ale od dawna niczego nie importowaliśmy i zdani byliśmy tylko na to, co przygotowywały nasze laboratoria. Tymczasem od starszych często słyszeliśmy tęskne opowieści o tym, co jadali przed wojną, kiedy statki handlowe jeden po drugim lądowały w naszym porcie.

Kiedy wszyscy najedliśmy się, Annet wskazała na kilka pojemników i odezwała się do mnie rozmarzonym głosem:

— Czy myślisz, że on zechce z nami pohandlować? Gdybym miała trochę tych smakołyków na festyn Dwunastego Dnia...

— Nie zaszkodzi zapytać go. Zapewne jego z kolei ucieszy smak naszego chleba, albo mrożonek owocowych, a może nawet naszych gotowych porcji obiadowych. Konserwy, nawet jeśli pochodzą z innego świata, muszą się po jakimś czasie znudzić. A teraz — odezwałem się do pozostałych — przystąpmy do naszego zadania.

Jak dotąd, dyscyplina nie szwankowała, chociaż wiedziałem, jak bardzo Wędrowcy chcą zbadać osadę. Zauważyłem, że drzwi do windy grawitacyjnej są zamknięte, co bardzo mnie zadowoliło. Jednym z największych przewinień było wśród Wędrowców otwieranie zamkniętych drzwi bez pozwolenia. Do tej pory jeszcze żaden z nich nie ośmielił się go popełnić.

Sprawdzałem, czy wyłączone są wszystkie urządzenia do Podgrzewania żywności, gdy jakiś wewnętrzny nakaz podpowiedział mi, żeby przeliczyć całą gromadkę. Okazało się, że dwojga dzieciaków brakuje, Thada i Iforsa. Wywołałem głośno ich imiona. Annet zaczęła liczyć wszystkich ponownie, jednak niepotrzebnie, bo z wyjaśnieniem pośpieszył Dinan.

Oni wyszli. Wyszli zaraz po tym, jak posprzątaaliśmy po Jedzeniu, Vere.

Czyżby do pokoju dowodzenia? Sam chętnie bym tam poeksperymentował. Uspokoilem się trochę, uznawszy, że aktywacja ekranów stanowi jednak dla Thada zbyt trudne zadanie. Pośpieszyłem jednak, by przyłączyć go do grupy, zastanawiając się po drodze, jaką wymierzę mu karę za brak subordynacji, gdy usłyszałem...

— Griss Lugard!

Głos był wyraźny i wzmocniony na tyle, że słyhać go było w całym hallu, odrobinę odbijał się nawet echem od ścian. Gdy wszedłem do pokoju, dłoń Thada odskakiwała akurat od przycisku, który uruchomił sekundę wcześniej. Ujrawszy mnie, chciał natychmiast wyłączyć urządzenie, które uruchomił, ale miał pecha: stare urządzenie zaklinowało się i głos, dobiegający z głośnika, nie zamilkł.

— Taka jest sytuacja, szanowni państwo — usłyszałem Lugarda. — Nie możecie dowierzać takim umowom...

— Zapewne to pan nie może, kapitanie. — To mówił Scyld Drax. — Umysł żołnierza zawsze i wszędzie węszy podstęp...

— Umysł żołnierza! — Lugard chyba się rozżłościł. — Zdawało mi się, że wyraziłem wszystko aż nadto jasno, człowieku! Sytuacja jest oczywista. Mówicie tu, że wszyscy pragniecie teraz już tylko pokoju, że uważacie, iż wojna dla was zakończyła się. Być może nastąpił koniec takiej wojny, jaką toczyliśmy przez dziesięć ostatnich lat, jednak nie nadszedł jeszcze czas upragnionego pokoju. W przestrzeni zapanowała próżnia i w tej próżni każdy świat zdany jest sam na siebie. Każdy świat ma obowiązek przygotować się do obrony przed złoczyńcami, którzy stanowią nieuchronny plon wojny i których liczba rośnie w zastraszającym tempie, niczym niechciany wirus. W przestrzeni krążą niedobitki wspaniałych niegdyś flot, statki z całkowicie zniszczonych światów. A w ich kadłubach zamknięci są ludzie, którzy podczas wojny siali tylko śmierć i zniszczenie. I to pozostało w ich krwi. Znają tylko jeden cel w życiu: zabić lub zginąć, unicestwić lub samemu zostać unicestwionym. Nie mają domów, nie mają portów, w których by na nich czekano; ich domami są teraz wyłącznie statki. Nikt nad nimi nie panuje, nikt ich nie kontroluje, nikt już im nie rozkazuje, niczego się nie boją, a za podboje, które są ich celem, nie grożą im żadne konsekwencje. Jeżeli pozwolicie temu statkowi wylądować, tylko jednemu statkowi, jak mówicie, biednym, zagubionym ludziom, poszukującym miejsca do osiedlenia się, jakiego przecież na tej planecie nie brakuje, jest tylko jedna szansa na sto, że nie poniesiecie straszliwych konsekwencji takiej decyzji. Jest natomiast dziewięćdziesiąt dziewięć szans na to, że szeroko otworzycie drzwi do swojej własnej

destrukcji... Chciałbym zadać wam pytanie, Corson, Drax, Ahren i wszyscy inni. Planeta ta miała służyć jako rządowa stacja eksperymentalna. Jakie sekrety w sobie zawiera, czy posiadacie śmiertelne materiały, które mogłyby posłużyć jako straszliwa broń, jeżeli dostałyby się w ręce ludzi bez skrupułów?

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie usłyszeliśmy Corsona:

— Nie mamy niczego, co mogłoby posłużyć takiemu celowi, przynajmniej teraz. Kiedy władze nalegały na niektórych spośród nas, byśmy prowadzili badania nad nową bronią, odmawialiśmy, bądź opóźnialiśmy je. Gdy staliśmy się władzą dla samych siebie, zniszczyliśmy wszystkie materiały, które do badań przekazał nam rząd.

— Wszystkie? — zapytał Lugard. — Być może zniszczyliście taśmy, zapasy, ale nie zniszczyliście pamięci. A tak długo, jak długo w waszych umysłach tkwi wiedza, istnieją możliwości jej wykorzystania.

Usłyszałem szmer ludzkich głosów. Ci, którzy słuchali Lugarda w porcie, przez chwilę zastanawiali się nad jego słowami.

— Nie ma powodów, by przepowiadać aż tak straszną przyszłość, kapitanie Lugard. Jesteśmy przekonani, że charakter pana dotychczasowej służby skłania pana do wietrzenia podstępów w każdym ludzkim działaniu. Tymczasem nie ma powodu, by nie wierzyć, iż ludzie, którzy kontaktują się z nami z orbity, nie są tymi, za których się podają: rozbitkami, uciekinierami, poszukującymi miejsca do rozpoczęcia nowego życia. Sami zaproponowali, by ktoś z nas wszedł na pokład ich statku jeszcze na orbicie, by obejrzał go i upewnił się, że przybywa w pokojowych zamiarach. Nie możemy odepchnąć głodnych i cierpiących od naszych drzwi, nie możemy skazać tych ludzi na zagładę, a potem dumnie głosić, że jesteśmy spokojną, ugodowo wobec wszystkich nastawioną społecznością. Proponuję, żebyśmy w tej sprawie głosowali.

— Niech tak się stanie — zgodził się Lugard. Jego głos był cichy, pełen rezygnacji. — „A kiedy Yamar odezwał się gromkim głosem, oni go nie słuchali. A kiedy krzyknął, przyłożyli dłonie do uszu, śmiejąc się. A kiedy pokazał im chmurę nad górami, powiedzieli, że jest bardzo daleko i zupełnie niegroźna. A kiedy miecz zabłysnął wśród szczytów, a on im go wskazał, zawołali, że to strumyk skrzy w słońcu”.

Wołanie Yamara! Ile już czasu minęło od dnia, gdy cytowano te słowa w mojej obecności? Właściwie na Beltane nie było powodu, by o nim pamiętać. Yamar był prorokiem żołnierzy; sagę o nim wpajano do głów rekrutom, by szybciej pojęli,

jak wielka jest różnica pomiędzy cywilem, a człowiekiem walki.

Przez tłum przebiegł szmer zdziwienia, jednak zaraz ponad szmer wybił się głos Ahrena:

— Jeżeli nie ma już więcej wniosków, zagłosujmy!

W tej chwili Thadowi udało się przerwać transmisję i w pokoju dowodzenia zapadła cisza. Był to stan nienaturalny w sytuacji, gdy wszyscy zainteresowani byliśmy wynikiem głosowania. Thad ponownie nacisnął przycisk, próbując przywrócić połączenie z portem, jednak głośniki milczały.

— Vere? — Gytha stała kilka kroków za mną. — O czym mówił Griss Lugard? Dlaczego nie chce, żeby uciekinierzy wyładowali na Beltane?

— Ponieważ boi się, że okażą się piratami i przysporzą nam nieszczęść. — Odparłem zgodnie z prawdą.

— Przecież to jest głupie podejrzenie — stwierdziła Annet. — Nie możemy jednak obwiniać kapitana. Jest żołnierzem i nie rozumie życia, jakie prowadzimy. Nauczy się jednak. Thad, nie powinieś być podsłuchiwać posiedzenia Komitetu...

Thad miał minę skruszonego winowajcy.

— Nie chciałem, ale sprawdzaliśmy, jak te wszystkie urządzenia działają. Przez przypadek nacisnąłem ten guziczek i rozpoznałem głosy... Naprawdę, tak było.

— Już dobrze. — Annet rozejrzała się z niesmakiem po pomieszczeniu, jakby nic, co tu zobaczyła, nie spodobało się jej. — Myślę, że najlepiej zrobimy, jak już stąd pójdziemy. Nie mamy prawa tutaj przebywać.

— Kapitan powiedział, że możemy wchodzić do każdego pokoju, do którego drzwi są otwarte — przypomniała jej Gytha. — A te właśnie były otwarte. Vere — zwróciła się do mnie — czy moglibyśmy pójść do wieży obserwacyjnej i popatrzeć z góry na krainę lawy, skoro nie wolno nam zapuszczać się poza osiedle?

Uznałem to za rozsądną propozycję i kiedy znaleźliśmy drzwi, prowadzące do górnych części osady, tam właśnie skierowaliśmy nasze kroki. Schody były krótkie, jednak bardzo strome. Annet postanowiła pozostać na niższym podejściu, razem z bliźniakami Norkota i Prima, którzy nie lubili wysokości. Z całą resztą udałem się na posterunek, gdzie przed wielu laty czuwali wartownicy.

Z zakamarków muru wyrastały chwasty, pochodzące z Beltane. Łatwo było je odróżnić od zmutowanych, lekkich roślin, przywiezionych spoza planety, starannie pielęgnowanych i otaczających nasze osiedla. W niektórych miejscach uformowały dziwne cienie, niemal zupełnie czarne.

Wyciągnąłem lornetkę i zacząłem oglądać teren na północy i na zachodzie. Na zewnątrz dominowała lawa, zastygła i twarda, niemniej wciąż sprawiająca wrażenie groźnej, złowieszczej. Jej języki docierały aż do murów Butte, jakby chciały zlizać osadę z powierzchni planety. Nigdy dotąd nie przyglądałem się krainie tak pustej i zakazanej. Nawet jeśli istniało tu kiedyś naturalne życie, trzeba by chyba prowadzić poszukiwania całymi latami, zanim natrafiłoby się na jego ślady.

— Taaak... — Thad wpatrywał się w dal przez swoją własną lornetkę. — To sprawia wrażenie, jakby ktoś dawno temu kopał tutaj łopata, a potem się zmęczył i wszystko zostawił swojemu losowi. Gdzie są groty?

— Wiem tyle, co i ty — odparłem. Kiedy dawno temu odwiedziłem po raz pierwszy Butte, byłem zbyt młody, żeby wędrować na zewnątrz osady. Prawdę mówiąc, niewiele teraz pamiętałem z tej wizyty.

— Vere, jak sądzisz, jakie stare są te języki lawy? — zapytała Gytha zamyślonym głosem.

— Poczytaj taśmy geologiczne. Nie mam pojęcia. — Oderwałem lornetkę od oczu i podałem ją Iforsowi, który patrzył przez nią kilka chwil, po czym przekazał ją dalej, do Sabiana i Emrysa.

— Z pewnością jednak są stare, bardzo stare — kontynuowała Gytha.

— Niewątpliwie.

— A więc groty są równie stare. Może pochodzą z czasów Prekursora?

— Kto wie, kiedy wylądował tutaj Prekursor... Może było ich kilku? — Spróbowałem podchwycić wzrok Gythy i ostrzec ją, by w żadnym wypadku nie zaczynała rozważań o skarbach. Ona jednak odebrała lornetkę Thadowi i oparłszy się na łokciach o barierkę, zaczęła uważnie przeglądać otaczający nas teren.

— Prekursor? — Niestety, Thad zainteresował się tym tematem. — A kogo obchodzi Prekursor, czy Prekursorzy? Przecież tu nie ma żadnych ruin...

Gytha zareagowała, zanim zdołałem ją powstrzymać.

— Nie mów, jak nie wiesz. Griss Lugard znalazł w krainie lawy relikty po Prekursorze, jeszcze przed wojną. Gdybyś czytał taśmy z historii Beltane wiedziałbyś o tym i byłbyś o wiele mądrzejszy, Thadzie Maky. Ludzie spoza naszego świata mieli zbadać te znaleziska, jednak wybuchła wojna i wszyscy o nich zapomnieli.

— Czy to prawda, Vere? — Thad zwrócił się do mnie. — Tutaj Prekursorzy? Czy to dlatego Griss Lugard powrócił na Beltane? Mój tato powiedział, że przygotowuje Butte na przyjęcie nowego garnizonu, ale Komitet i tak go tutaj nie

wpuści. Użyjemy promieni odpychających, jeśli tylko jakikolwiek statek z żołnierzami będzie chciał zbliżyć się do Beltane. Lugard wylądował zniecka, jednak już nikt inny jego pokroju nie postawi swojej stopy na naszej planecie. Jeżeli jednak zechce szukać skarbu Prekursora, może będzie potrzebował naszej pomocy, albo Komitet każe mu...

— Thad! Gytha przeczytała za ledwie plotkę ze starej taśmy z wiadomościami, to wszystko. Nie będziemy wspominali o żadnym skarbie, ani wobec Grissa Lugarda, ani w domu, rozumiałeś? To absolutna tajemnica, tym bardziej, że nie wiemy, czy jakiegokolwiek skarby w ogóle istnieją.

That popatrzył na mnie, jednak w jego oczach nie zauważyłem śladów buntu.

— Zrozumiałem. Tajemnica.

Popatrzyłem na Gythę.

— Tajemnica? — rzuciłem.

Energicznie pokiwała głową.

— Tajemnica — powiedziała, a inne dzieci jej przytaknęły.

— Vere... — Emrys skierował szkła lornetki na wschód.

— Coś nadlatuje w naszym kierunku, chyba helikopter. Zdaje się, że bardzo mu się śpieszy.

Odebrałem mu lornetkę i popatrzyłem w kierunku, który mu wskazał. Tak, to był nasz helikopter, z Lugardem na pokładzie. Skinąłem na Wędrowców i szybko zaczęliśmy schodzić z wieży wartowniczej.

Rozdział czwarty

Jeżeli spodziewaliśmy się po Lugardzie, że okaże po sobie jakieś emocje spowodowane dyskusją w porcie, to byliśmy rozczarowani. Sprawiał wrażenie spokojnego człowieka, który nie ma na głowie żadnych trosk, a zależy mu tylko na wypoczynku. Pokuśtykał w kierunku bramy Butte, w której się zgromadziliśmy, z uśmiechem na twarzy zniekształconej przez głęboką ranę.

— Bardzo was przepraszam, szanowni państwo — odezwał się ugrzecznionym tonem i skłonił się przed nami, szczególnie akcentując swój ukłon wobec dziewczynek. W jednej ręce trzymał koszyk z naszym lunchem. — Zdaje się, że w pośpiechu zabrałem wam prowiant — powiedział do Annet. — Mam nadzieję, że znaleźliście tutaj dość jedzenia, by nie czuć się głodnymi do mojego powrotu.

— Znaleźliśmy — przyznała Annet cierpko. Po chwili jednak uśmiechnęła się i dodała: — Pański prowiant jest o wiele lepszy od naszego, kapitanie.

— Nie — zaprotestował. — Nie jestem już kapitanem. Odszedłem na emeryturę, nie jestem żołnierzem i nigdy już nim nie będę. Nazywam się Griss Lugard i jestem właścicielem Butte Hold. A żołnierzy na Beltane już nigdy nie będzie. — Ton jego głosu, początkowo lekki i beztroski, z każdą chwilą stawał się coraz bardziej poważny. Jednak gdy zdał sobie z tego sprawę, na jego usta powrócił uśmiech. — Co sądzicie o mojej posiadłości? — zapytał.

— Obawiam się, że poczuliśmy się tutaj trochę zbyt swawolnie, chociaż powiedział pan, że mamy wstęp do każdego otwartego pokoju — odezwałem się. Uznałem, że najlepiej będzie od razu powiedzieć mu o uruchomieniu systemu dowodzenia. — Aktywowaliśmy urządzenia...

Uśmiech nie opuścił jego twarzy.

— I wiedzieliście, jak to zrobić? Czy wszystko jest sprawne? Czy może występują jakieś zakłócenia?

Czy mogło być prawdą, że sam jeszcze nie wypróbował systemu, że nie był ciekaw, w jakim zachował się stanie. Czy nie zależało mu na jego funkcjonowaniu, czy tylko przed nami udawał?

— Wszystko doskonale funkcjonuje. Podśluchaliśmy trochę pana spotkanie z Komitetem. — Postanowiłem, że najlepiej będzie, jeśli najgorsze rzeczy powiem mu na samym początku. Jeżeli miał zdenerwować się i nas stąd wyrzucić, niechby

nastąpiło to jak najszybciej.

— A więc byliście świadkami mojej elokwencji — stwierdził. — I wiecie, że wysiłałem się na próżno. — Wiadomość wcale go nie poruszyła. Co więcej, sprawiał wrażenie, jakby już od dawna wiedział, że podsłuchaliśmy przebieg zgromadzenia, którego treści w ogóle nie powinniśmy znać.

A może... Może to on sam przygotował wszystko tak, żebyśmy wysłuchali tego, co do naszych uszu nie powinno docierać? A jeśli tak, to w jakim celu? Stwierdziłem w myślach, że nawet, jeżeli go o to zapytam, na to akurat pytanie nie udzieli odpowiedzi.

W tym momencie Pritha postąpiła kilka kroków w jego kierunku i popatrzyła prosto w jego twarz, pełną szwów.

— Również coś widzieliśmy...

— W sali Komitetu? — wciąż był spokojny.

— Nie. Vere powiedział, że obraz pochodził z jednego ze starych posterunków. To był przyszczoróg, siedzący na krześle, zachowujący się tak, jakby był człowiekiem.

— Co takiego? — Lugard po raz pierwszy zdenerwował się. — Nie rozumiem...

— Uruchomiliśmy również przekaz wizyjny — wyjaśniłem szybko. — Uzyskaliśmy podgląd posterunku Reef Rough.

To stworzenie siedziało tam, skulone na krześle w pokoju dowodzenia i patrzyło z ekranu prosto na nas. To przypadek, że się na nie natknęliśmy, więc najedliśmy się trochę strachu.

— Z pewnością. — Lugard pokiwał głową. — Ale jeśli przekaz działał w obie strony, przyszczoróg musiał być równie zaskoczony jak wy, nie sądzisz, Prima? — Zapamiętał jej imię, mimo że cała prezentacja dzisiejszego ranka była bardzo zdawkowa i trwała krótko. — Nie sądzę, żebyśmy musieli obawiać się na Beltane inwazji przyszczorogów.

Uchodźcy to jednak coś innego, pomyślałem. Mimo jego powierzchownego spokoju, wyczuwałem w postaci weterana skrywane zaniepokojenie sprawami Beltane.

Reszta tego dnia upłynęła nam jak w bajce. Wkrótce wszyscy Wędrowcy, nie wyłączając Annet, byli oczarowani osobowością naszego gospodarza. Nawet Gytha, zasłuchana w jego głos, jakby zapomniała o Prekursorze. A opowiadał nam, że

zamierza utworzyć tu nowy Rezerwat, w którym chciał badać naturę dzikiego życia, stosując pewne techniki, których nauczył się podczas podróży po przestrzeni. Nie chciał pracować ze zwierzętami zmutowanymi, lecz z normalnymi. Mówił o swoich planach z taką wiarą w ich powodzenie, że wprost, trudno było nie uwierzyć w ich powodzenie.

Ponownie zademonstrował fujarkę. Gdy zaczął na niej grać, jej dźwięki, z taką łatwością przywołujące ptaki i inne zwierzęta, zafascynowały i nas. Siedzieliśmy, nie ruszając się, wpatrzeni i zaszuchani w jego grę, nie zdając sobie sprawy z upływającego czasu. Chwile te nie miałyby końca, gdyby w pewnym momencie nie odłożył fujarki.

— Cieszę się, że z taką uwagą słuchacie mojej muzyki, przyjaciele. A jednak nadchodzi noc, wydłużają się cienie i, jak sędzę, nie powinniście przebywać u mnie już dłużej...

Annet zerwała się na równe nogi.

— Vere! — zawołała. — Słońce już prawie zaszło. Ile czasu tutaj spędziliśmy? Bardzo przepraszam pana, Grissie Lugard. Męczyliśmy pana naszym towarzystwem stanowczo zbyt długo.

— Miła damo, nie czuję się ani odrobinę zmęczony wami. W Butte jestem samotny. Zatem uważam was za miłych i pożądanых gości, kiedy tylko zechcecie mnie odwiedzić. Drzwi mojej osady zawsze stoją dla was otworem.

— Czy naprawdę możemy pana znowu odwiedzić? — zapytała Gytha. — Kiedy?

Roześmiał się.

— Kiedy tylko zechcecie, Gytho. Wszyscy razem, albo w pojedynkę. Gdy tylko będziecie mieli na to ochotę.

Podziękowaliśmy za gościnę i pożegnaliśmy się z Grissem. Kierując helikopter ku Kynvet, zastanawiałem się, czy kiedykolwiek jeszcze powrócimy do Butte. Wystąpienie Lugarda przed Komitetem nie przysporzyło mu najlepszej opinii, a więc Ahren i jego towarzysze uznają zapewne, iż bliskie związki z byłym oficerem nie wyszłyby na dobre młodzieży z Bekane.

Jednak, ku mojemu zdziwieniu, w domu nie usłyszałem ani słowa komentarza na temat sprzeczki Lugarda z obecnymi władcami planety. Pytano nas natomiast o to, co robiliśmy przez cały dzień. W pytaniach tych nie było jednak żadnych podstępnych tonów, nikt nawet nie podejrzewał, że część spośród nas podsłuchiwała fragment

posiedzenia Komitetu. Tym razem jedność Wędrowców okazała się wielkim atutem, gdyż nikt nie miał zamiaru ujawniać tej tajemnicy dorosłym. Mówiono natomiast dużo o wszystkim innym, w tym o pomysle weterana, by podpatrywać na pustkowiu życie dzikich zwierząt.

— A więc, poprosił was, byście do niego wrócili — skomentował Ahren, kiedy Gytha skończyła swą chaotyczną opowieść. — Nie powinniście jednak nadużywać jego gościnności, córeczko. Pan Griss Lugard przebywa tutaj na specjalnych zasadach, z konkretnym zadaniem...

— Specjalnych zasadach! — nie byłem w stanie podtrzymać się od okrzyku.

— Tak, oczywiście. Nie jest tak, jak podejrzewaliśmy. Oczywiście i niestety zarazem, pan Lugard skłonny jest rozpatrywać wszystkie sprawy z punktu widzenia Służb, mimo że zerwał wszystkie swoje związki z siłami zbrojnymi. Sądzę, iż jego ciężkie rany usprawiedliwiają takie zachowanie. Cechuje go ogromna nieufność i podejrzliwość. Jest w tej chwili osiedleńcem, który ma do wykonania konkretne prace archeologiczne.

— Prekursorzy! — zawołała Gytha i popatrzyła na mnie z triumfem. — Miałam rację...

Jej ojciec potrząsnął jednak głową.

— Nie, nie chodzi o Prekursorów. Na tej planecie nigdy nie było nawet śladów po nich. Jednak przed wojną Lugard znalazł jakieś dziwne rzeczy w jednej z grot w krainie lawy. Wówczas nie było czasu, żeby zbadać jego znalezisko, ponieważ, jak wiecie, wybuchło ogólne szaleństwo. Znalezisko pozostawiono więc samo sobie, tym bardziej, że Lugard wysłany został w przestrzeń, zanim mógł udzielić ludziom, którzy tutaj pozostali, jakichkolwiek istotnych wskazówek. Jedna z grot, najbardziej go interesująca, zawaliła się. Teraz Lugard powrócił. Ponieważ nigdy więcej nie będzie na tej planecie żołnierzy, poprosił o Butte Hold i część krainy lawy jako zapłatę za swe czyny wojenne i otrzymał to, czego żądał. Otrzymał też zadanie. Zapisał to po wylądowaniu, w księdze portowej. Zakładam, że zanim odnajdzie miejsce, które najbardziej go interesuje, minie trochę czasu. Od dnia, w którym opuścił planetę, ziemia w krainie lawy zmieniała kształt kilkakrotnie i, być może, Lugard nie natrafi ponownie na swoje znalezisko. Ale, Vere — odezwał się teraz bezpośrednio do mnie — nie chcę, żeby dzieci więcej mu przeszkadzały. Biedny człowiek, tak wiele wycierpiał. Nie możemy go potępiać za jego postawę. Zło i przemoc otaczały go tak długo, że jest skłonny dopatrywać się ich dosłownie wszędzie. Jeżeli będzie pragnął

towarzystwa, szczególnie młodych ludzi... — Ahren zamyślił się na chwilę i zaraz dodał: — Czy Lugard mówił coś o dzisiejszym posiedzeniu Komitetu? Czy zastanawiał się, jaka zapadła decyzja?

— Jaką decyzję masz na myśli, ojcze? — zapytała Annet, chociaż zapewne odgadywała już odpowiedź równie dobrze jak ja.

— Postanowiono wyrazić ofertę przyjaźni i zaproponować miejsce do osiedlenia się uciekinierom z innej planety — odparł Ahren, odrobinę niecierpliwie, zanim powrócił do przedmiotu swojego zainteresowania. — Czy Lugard nic na ten temat nie powiedział? Nie mówił nic o naszych obradach? On nie zna jeszcze treści decyzji...

Mogłem odpowiedzieć, zgodnie z prawdą, bo Lugard rzeczywiście w tej sprawie milczał. Gytha nie dopuściła mnie jednak do głosu.

— Mówiłam ci przecież, że rozmawialiśmy o zwierzętach. Poza tym zapraszał nas, żebyśmy go znów odwiedzili. I pięknie grał na fujarce...

— Hmm... Cóż, właściwie nie widzę przeszkód, abyście znów polecili do Butte, jednak poczekajcie na kolejne wyraźne zaproszenie. Z drugiej strony, Vere, ty sam polecisz tam już jutro, z wiadomością od Komitetu. Pragniemy potwierdzić pewne rzeczy, żeby w przyszłości nie było nieporozumień.

Treści wiadomości nie poznałem. Domyślałem się jednak przynajmniej części zawartości taśmy, którą następnego poranka wręczyłem weteranowi. Gdy mu ją przekazywałem, uniósł powiekę na zdrowej stronie twarzy, a na jego ustach Pojawił się słaby uśmiech.

Wypełzył właśnie spod jakiejś skomplikowanej maszyny, której przeznaczenia na pierwszy rzut oka nie rozumiałem. Przypominała pług, jednak z całą pewnością nie służyła do prania. Na lewej stronie jej obudowy znajdowały się pasy z potworami w kształcie wiader, a wierzchołek jej długiego ramienia zwieńczony był ostrym szpikulcem.

Lugard przerzucał taśmę z lewej ręki do prawej, wciąż uśmiechając się.

— Zapewne Komitet chce dać mi do zrozumienia, żebym zajął się wyłącznie swoimi sprawami. — Powiedział to bardziej do samego siebie niż do mnie. — Cóż, chyba przeczytam tę taśmę, będę mógł przynajmniej udzielić odpowiedzi. Co powiesz o moim potworze? — odnosiłem wrażenie, że nie śpieszy mu się do przeczytania taśmy. Z czułością pogłaskał karoserię maszyny. — Koparka — odpowiedział na pytanie, którego nie zdążyłem zadać. — Przygotowana specjalnie do krainy lawy.

Mimo to obsługa jej wcale nie będzie łatwym zadaniem.

— Czyżby zamierzał pan wykopać grootę? — W myślach kołatały mi się słowa o skarbie Prekursora i archeologicznym zadaniu Lugarda. Czy naprawdę znalazł na Beltane coś, co pochodziło od rasy przebywającej tutaj przed nami?

— Wykopać grootę? Ależ oczywiście, i to pewnie niejedną. Takie mam zadanie, chłopcze. — Zauważyłem, że obdarzył mnie krótkim, badawczym spojrzeniem, jakby zastanawiał się, czy wiem coś więcej, niż mu ujawniłem. — Ta koparka potrzebuje szczegółowego przeglądu, zbyt długo leżała w zapomnieniu. Obejrzyj ją sobie, jeżeli chcesz — zaproponował i odszedł gdzieś z taśmą.

Chociaż nigdy przedtem nie widziałem koparki tego typu, byłem w stanie zrozumieć większość funkcji tej maszyny. Króciec na złożonym teraz ramieniu służył zapewne do kruszenia przeszkód, natomiast taśmy z wiadrami do usuwania niepotrzebnych szczątków z pola jej pracy. Na plastikowej płachcie obok niej leżały dwa inne elementy, starannie zakonserwowane smarami. Odgadłem, że w razie potrzeby można wstawiać je na miejsce króćca. Było to wiertło i młot.

Maszyna była stosunkowo niewielka, przeznaczona do obsługi tylko przez jednego człowieka. Poruszała się na elastycznych gąsienicach, najwłaściwszych dla krainy lawy. Spodziewałem się, że w razie potrzeby okaże się bardzo wydajnym narzędziem. Pomyślałem, że zapewne w Butte jest jeszcze wiele użytecznych maszyn. Z pewnością osada miała swoją cenę i wyczyny wojenne Lugarda musiały być zaiste wielkie, skoro otrzymał ją na własność. Chociaż wyjaśnienie mogło być zupełnie inne. Jeżeli sytuacja w przestrzeni była tak chaotyczna, jak ją opisywał, może jakiś biurokrata podarował mu Butte po prostu za odpowiednią łapówkę?

— A więc to zrobili, dokonali swojego ślepego, głupiego wyboru. — Lugard stanął nade mną, gdy wciąż jeszcze oglądałem koparkę.

— Ma pan na myśli wypuszczenie uciekinierów? Przecież niekoniecznie muszą mieć tak złe zamiary, jak panu się wydaje.

Lugard wzruszył ramionami.

— Miejmy nadzieję. Tymczasem zaniecham niepokojenia młodych umysłów moimi obawami, pochodzącymi nie z tego świata.

— Czy Ahren ostrzegł pana przed tym?

Uśmiechnął się bez humoru.

— Nie dosłownie, ale daje się zauważyć taką sugestię.

Mam być odpowiedzialnym obywatelem, świadomym zarówno moich

obowiązków jak i przywilejów. Czy dzieci ostrzegano, żeby więcej się tu nie pojawiały?

— Jedyne Gytha usłyszała, że nie powinna panu przeszkadzać, gdyż jest pan zajęty ważnymi sprawami.

Teraz jego uśmiech zamienił się w krzywy grymas.

— Coś takiego! Odpłacę mu za to. Żadnych więcej ostrzeżeń. Nic do tych ludzi nie dotrze. Oni w ogóle nie mają wyobraźni, są skostniali jak ta zastygła lawa.

— Takie samo zdanie mają o panu — zauważyłem.

— No i dobrze. Przywoź tu dzieci, Vere, jeżeli tylko zechcą. W Butte czasami doskwiera samotność. A dzieci mają bystre umysły. Bardziej mi tutaj pomogą, niż w czymkolwiek przeszkodzą.

— Czego pan właściwie szuka? — ośmieliłem się zapytać.

— Niektórzy pewnie nazwaliby to skarbem.

— Skarbem Prekursorów? — Niedowierzenie z całą pewnością widoczne było na mojej twarzy. Lugard roześmiał się.

— Nie, raczej nie chodzi o Prekursorów, chociaż nie mogę wykluczyć niczego, zanim nie odkopię groty lodowej; zakładając, że znów na nią natrafię. Dziesięć lat, które spędziłem poza Beltane, to spory szmat czasu. W tym czasie zmieniła się ziemia, zmieniło się ukształtowanie jej powierzchni i tego, co pod powierzchnią. W krainie lawy te zmiany są szczególnie duże.

— A o co chodzi z tą grota lodową?

— Dziesięć lat temu rozpoczęliśmy poszukiwania pradawnych magazynów. Czas bardzo nas poganiał; wiedzieliśmy, że zbliża się wojna i może przerwać nasze prace. A istniało prawdopodobieństwo, że Beltane znajdzie się na pierwszej linii ognia; planecie groziło nawet całkowite unicestwienie. Groty, utworzone przez lawę, biegły pod powierzchnią niczym długie tunele. Otworzyliśmy kilka z nich, drążąc otwory z góry, i zaczęliśmy je badać. Ekipa, którą dowodziłem, niespodziewanie znalazła pod powierzchnią lód, a w nim różne przedmioty. Szybko odgadliśmy, że w ten sposób przechowywano przede wszystkim zapasy żywności. Niestety, pewnego dnia musieliśmy nagle przerwać prace, a nawet zniszczyć ich efekty. Ludzie z Bezpieczeństwa uznali, że w krytycznym czasie trzeba skupić się na czymś zupełnie innym. Poniekąd mieli całkowitą rację.

— Gytha wyczytała o tym w starych taśmach.

Lugard pokiwał głową.

— Tak. Ludzie mówili wówczas o naszych poszukiwaniach, rozeszły się pogłoski, plotki. Twój ojciec próbował je neutralizować, dlatego przyznaliśmy się do dokonania tajemniczego odkrycia, a zarazem ogłosiliśmy, że miejsce odkrycia zostało utajnione i zabezpieczone w oczekiwaniu na ekspertów spoza Beltane. W gruncie rzeczy zabezpieczyliśmy przed ciekawskimi całą wielką połąć kontynentu. Zdaje się, że skutecznie. Teraz żałuję tego, gdyż czeka mnie z tego powodu wiele dodatkowej pracy.

— Dlaczego jednak podejmuje się pan tego?

— Dlaczego? Cóż, Vere, mam teraz wiele czasu. No i dzięki temu mam zajęcie na kilka lat, nie będę się nudził. Mam wyposażenie, gotowe do użycia, a poza tym, powiem ci szczerze, wprost zżera mnie ciekawość. Nawet jeśli nigdy nie znajdę groty lodowej, nie będę żałował. Myślę, że moje poszukiwania już teraz nikogo nie interesują, no, może ciebie i inne dzieci...

Tak, bardzo interesowały mnie poszukiwania Lugarda, a jego opowieść jeszcze wzmogła moje zainteresowanie. Wiedziałem, że jeśli opowie o wszystkim pozostałym Wędrowcom, już nie uwolni się od ich ciekawości. Będą przybywać do Butte, nieważne, czy ich obecność pomoże mu, czy będzie tylko utrapieniem.

— Tymczasem, pozwól mi przygotować to urządzenie do pracy. — Znów wczłogał się pod koparkę. — Aha, jeżeli dzieci będą chciały przyjeżdżać tutaj z tobą, zawsze je zabieraj.

Powtórzyłem to zaproszenie Ahrenowi, kiedy wróciłem do Kynvet, i, ku mojemu zaskoczeniu, nie usłyszałem sprzeciwu wobec sugestii, że Wędrowcy mogliby pomagać Lugardowi w poszukiwaniach. W następnych tygodniach lataliśmy więc tam kilkanaście razy. Dwukrotnie poleciała z nami nawet Annet, zawsze zabierając beltanowską żywność, by wymienić Jana zapasy spoza planety. Takie wymiany satysfakcjonowały i ją i Lugarda.

W tym samym czasie uchodźcy, którzy ostatecznie wylądowali nie w porcie, lecz daleko na północy, na obszarze, który sami wybrali, w zupełnym spokoju zajmowali się swoimi własnymi sprawami. Ponieważ większość mieszkańców Beltane zajęta była pracą, do wzajemnych wizyt, związanych z długimi podróżami, dochodziło bardzo rzadko. Przybysze co prawda od czasu do czasu zjawiali się w porcie z prośbą o jakieś środki medyczne, w zamian oferując produkty spoza Beltane. Wszystko wskazywało na to, że Lugard srodze pomylił się w swoich podejrzeniach.

Powinienem był domyśleć się, że i sam Lugard zacznie kontaktować się z

przybyszami, jednak byłem zdziwiony, kiedy pewnego ranka, osiadając helikopterem na lądowisku przy Butte, ujrzałem maszynę latającą, z całą pewnością nie pochodzącą z naszego portu.

Lugard stał w bramie Butte, nie miał jednak przy sobie swojej fujarki. Jedna ręka zwisała mu luźno wzdłuż ciała, zaś druga, jakby przypadkiem, dotykała broni, opartej o bramę. Zauważyłem, że nie jest to konwencjonalny oszałamiacz. Przed Lugardem stało twarzą w twarz dwóch mężczyzn.

Obaj mężczyźni ubrani byli w zniszczone tuniki, które kiedyś z pewnością stanowiły fragment umundurowania. Ciemna karnacja ich skóry nie pozostawiała wątpliwości, że dopiero niedawno przybyli na Beltane z przestrzeni. Puste dłonie trzymali ostentacyjnie szeroko rozłożone, jakby nie chcieli dawać Lugardowi powodu do czujności.

Sięgnąłem do olstra, znajdującego się na drzwiach helikoptera i wydobyłem oszałamiacz. Trzymając go w ręce, wyskoczyłem na ziemię. Ujrzawszy mnie, Lugard zawołał:

— Witaj, drogi gościu. — Było to tradycyjne pozdrowienie beltanowskie.

— Oby dzisiejszy dzień był dla ciebie pomyślny. — Nie pozostałem mu dłużny.

Mężczyźni natychmiast odwrócili się w moim kierunku, równocześnie, takim samym ruchem, jakby ktoś dał im ku temu sygnał. Spodziewałem się, że ujrzę wymierzoną we mnie broń, jednak ich ręce wciąż były puste. Wpatrywali się we mnie bladym, pustym wzrokiem. Byłem pewien, że starają się dobrze mnie zapamiętać i ocenić, czy w przyszłości będę stanowił dla nich jakieś zagrożenie.

— Moja odpowiedź jest odmowna, panowie — odezwał się do nich Lugard. — Nie potrzebuję żadnej pomocy przy mojej pracy, oprócz tego, co oferują mi rdzenni mieszkańcy tej planety. I także nie życzę sobie, żeby ktoś patrzył mi na ręce podczas pracy.

Wyższy z dwójki obcych wzruszył ramionami.

— To była jedynie propozycja — powiedział. — Sądziliśmy, że możemy pomóc towarzyszowi walki, weteranowi. Wszyscy byśmy na tym skorzystali...

— Przykro mi, lecz nic z tego — chłodny i zdecydowany głos Lugarda nie pozostawiał wątpliwości, że jego decyzja jest ostateczna.

Odwrócili się i odeszli, nie spoglądając za siebie. Ja jednak nadal trzymałem oszałamiacz w pogotowiu. Nigdy nie używałem go dotąd, nawet wobec zwierząt w

Rezerwacie. Poza tym nigdy jeszcze nie widziałem człowieka na tyle rozłoszczonego, by trzeba było wobec niego gwałtownie reagować. A jednak czułem ogromną złość, emanującą z tych dwóch, kiedy wsiadali do swojej maszyny.

Zadrżałem ze złości. Byłem przekonany, że ci dwaj niemili mężczyźni są jedynie zapowiedzią szykujących się kłopotów.

— Czego oni chcieli? — zapytałem, kiedy maszyna obcych, wzbudzając tumany kurzu, odleciała, zatoczywszy jeszcze szeroki krąg nad Butte.

— Twierdzili, że szukają pracy. — Lugard dopiero teraz odsunął od siebie broń. — Trudno było się spodziewać, że nie dotrze do nich ta historia o skarbach.

— A więc, wrócą zapewne w większej liczbie — zauważyłem. — A pan jest tutaj sam.

Na te słowa Lugard roześmiał się.

— Pamiętaj, że tę osadę zbudowało Bezpieczeństwo. Wciąż znajdują się tu różne urządzenia obronne, które mogę uruchomić, jeżeli tylko będę chciał. Mieszkam w fortecy nie do zdobycia. Powiem ci jednak coś, Vere. W momencie, kiedy Komitet ich tutaj zaprosił, było to równoznaczne z wpuszczeniem na planetę zarazy, możesz mi wierzyć. Powiedz mi jednak, z czym przybywasz?

Przypomniałem sobie, co chciałem mu powiedzieć.

— Wkrótce otrzymam pracę. W Rezerwacie Aniav.

— Kiedy?

— W przyszłym miesiącu.

Odniosłem wrażenie, że Lugard nie ucieszył się, kiedy opowiadałem mu o szczęśliwym zbiegu okoliczności, który sprawił, że wreszcie mogę podjąć upragnioną pracę. W jego oczach pojawił się jakby strach. Ale dlaczego? Przecież praca w Rezerwacie była dla mnie jedyną przyszłością na tej planecie. Było niemal cudem, że pozwolono mi ją podjąć, mimo że nie miałem jeszcze formalnego wykształcenia.

— W przyszłym miesiącu — powtórzył. — Hmm, mam nadzieję, że nie wcześniej, niż przed Dwunastym Dniem. Może w takim razie urządzimy tu sobie już teraz małą uroczystość z okazji Dwunastego Dnia i podjęcia przez ciebie pracy? Zapraszam do siebie wszystkich Wędrowców i Annet, jeżeli tylko będzie mogła przybyć; namów ją do tego, Vere. Odnoszę wrażenie, że niedługo dotrę do skarbów, których poszukuję. Być może będziemy mieli jeszcze jedną okazję do celebrowania.

Jego wzmianka o możliwym szybkim znalezieniu skarbów zaskoczyła mnie. Nie mówiłby tego, gdyby nie był pewien sukcesu.

Ponieważ miałem trochę czasu, pomogłem mu przy przygotowywaniu do pracy nowej maszyny, zasadniczo przeznaczonej do transportowania zaopatrzenia, jednak mogła ona w razie potrzeby również usuwać gruz, kiedy już dostaniemy się do upragnionej groty.

Gdy powróciłem do Kynvet, Ahren niemal wyrzucił mnie z helikoptera i natychmiast gdzieś w pośpiechu poleciał. Wszedłem do domu, aby zapytać Annet, co się dzieje. Tym razem nie była zajęta żadną pracą domową, stała natomiast w oknie i obserwowała, jak maszyna z jej ojcem odlatuje coraz dalej. Na jej twarzy widoczne było zmartwienie.

— Co się stało? — zapytałem.

— Na orbicie pojawiły się kolejne dwa statki. Ich załogi mówią, że chcą dołączyć do uciekinierów, którzy już tutaj wylądowali. Twierdzą, że obiecano im miejsce na Beltane.

— Zdaje się, że zgodziliśmy się tylko na jeden statek. Taki zawarliśmy układ.

— Utrzymują, że to pomyłka, że pierwszy statek miał zawrzeć układ osadniczy w imieniu wszystkich. Komitet zamierza rozmawiać z ich przedstawicielami. Właśnie wylądowali na Beltane w kapsule ratunkowej.

Pomyślałem o zlekceważonym ostrzeżeniu Lugarda, o mężczyznach, których widziałem w Butte i o bezbronnym porcie. Znowu ogarnęło mnie zimne poczucie zagrożenia, które odczułem tak niedawno w Butte. Czy Lugard wiedział, co się dzieje. Czy wiedząc, będzie w stanie bronić ludzi, którzy nie podejmą żadnego działania, by obronić samych siebie?

— Doktor Corson twierdzi, że nowi przybysze sprawiają całkiem rozsądne wrażenie — kontynuowała Annet. — W końcu chcą tylko połączyć się z przyjaciółmi i rzeczywiście mogło zajść jakieś nieporozumienie. Komitet w każdym razie zamierza przeprowadzić pełne głosowanie, z udziałem wszystkich dorosłych mieszkańców planety. Vere, a jak Griss zareagował na twoje wiadomości?

Powiedziałem jej o zaproszeniu. W odpowiedzi pokiwała głową.

— Myślę, że będziemy mogli go odwiedzić. Ucieszę się, jeżeli pierwsi poznamy efekty jego poszukiwań.

Więcej już nie rozmawialiśmy o uciekinierach. Odnosiłem wrażenie, że Annet celowo unika tego nieprzyjemnego tematu. Nie miałem wątpliwości, że od tego dnia wszyscy na Beltane myśleć będziemy o tym samym, nawet jeżeli nie będziemy się do tego wobec siebie przyznawali.

Rozdział piąty

Komitet rzeczywiście zadecydował, że w sprawie obcych statków przeprowadzone zostanie pełne głosowanie, a to oznaczało, że wszyscy dorośli z Kynvet, jak i z pozostałych osiedli na planecie, muszą zgromadzić się w porcie. W tej sytuacji Ahrenowie i rodzice innych Wędrowców z zadowoleniem przyjęli nasz plan udania się w tym czasie do Butte. Spodziewałem się, że tym razem zdania wśród zgromadzonych będą podzielone i dyskusja nad tym, czy zezwolić statkom na lądowanie, przedłuży się. Być może bardziej czujni „członkowie Komitetu uważniej przyjrzą się ostrzeżeniom Lugarda. W porcie wciąż znajdowały się jakieś urządzenia obronne, jednak tak naprawdę nikt nie wiedział, jakim zniszczeniom uległy podczas wielu lat bezczynności. Inne pytanie brzmiało, czy garstka weteranów, którzy powrócili z wojny, zdoła je uruchomić. Na razie nie podjęto jednak żadnych działań w tym kierunku.

Wyruszyliśmy wczesnym rankiem na trzy dni przed Dwunastym Dniem — wszyscy Wędrowcy w komplecie: Dagny i Dinan Norkot, Gytha, Sabian Drax, Emrys Jesom, Ifors Yuhlan, Pritha, Thad oraz Annet. Wieźliśmy ze sobą sprzęt do rozbicia biwaku na pustkowiu, gdyż szykowała się prawdziwie długa wyprawa do krainy lawy. Helikopter załadowany był do granic możliwości, dlatego, poza krótkimi przelotami nad terenem, którego nie dało się przebrnąć na kołach, większość drogi pokonaliśmy tym razem na ziemi. Nic więc dziwnego, że kiedy dotarliśmy do Butte, była już godzina dziewiąta. Lugard czekał na nas od dawna, siedząc w kokpicie maszyny, która kiedyś była transporterem wojskowym. Widać było, że niecierpliw się, jednak pozostawił nam rozładowanie helikoptera, a sam zniknął na chwilę w osadzie. Kiedy wyszedł na zewnątrz, drzwi Butte zatrzęsnęły się za nim z głośnym trzaskiem. Odwróciłem się w jego kierunku akurat w porę, by zobaczyć, jak chowa do kieszeni metalową płytkę, będącą kluczem do Butte. Czyżby więc obawiał się nieproszonych gości podczas swej nieobecności? Nie zastanawiałem się jednak długo nad tymi środkami bezpieczeństwa.

W transporterze byłoby ciasno, gdyby miejsca zajęło tyłu dorosłych, ilu zgromadziło się tutaj Wędrowców. Annet usiadła obok Lugarda, natomiast pozostali spośród nas w przedziale pasażerskim. Kiedy ruszyliśmy, zacząłem rozglądać się za bronią, którą już widziałem u kapitana, jednak olstra transportera były puste. Jeżeli

zabrał na tę wyprawę jakąś broń, starannie ją przed nami ukrywał.

Wszyscy założyliśmy okulary z przyciemnionymi szklami, gdyż słońce w krainie lawy było tak ostre, że nie można było otwierać oczu bez tej osłony. Lugard prowadził transporter pewną ręką; pomyślałem, że jechał już tą drogą wiele razy. Jednak nas zabierał w głąb tego zapomnianego terytorium po raz pierwszy.

Siady na ziemi wskazywały, że niektóre ze swoich wypraw Lugard podejmował znacznie większymi maszynami niż dzisiaj. Zacząłem zastanawiać się, jakim jeszcze sprzętem dysponuje. Starał się udawać obojętność i skrywaną niepewność, czy znajdzie lodową grootę po tylu latach, jednak jego zdecydowane świadczyło, że bardziej jest pewny swego, niż pragnie to okazywać.

Teraz prowadził transporter po wyboistym szlaku z taką prędkością, jakby godzina naszego przyjazdu na miejsce wykopalisk była już ustalona, a spóźnienie nie wchodziło w grę. Jak wyjaśnił nam już wcześniej, grotty z lawy były podziemnymi tubami, do których można było dostać się tylko wtedy, jeśli dokonano się wwiertu od góry. Już na początku podróży Snęliśmy wiele takich obiecujących dziur. Dwukrotnie przejechaliśmy „mostki”, prowizorycznie założone nad dziurami. Gdźniedzie widzieliśmy jasne porosty i połączenie mchu. Zakręciliśmy tak wiele razy, że gdyby w transporterze nie było kompasu, nie wiedziałbym, czy Butte leży za nami, czy przed nami. W krainie lawy trudno było o jakiegokolwiek punkty orientacyjne. Jeszcze nigdy na Beltane nie widziałem takiej dziczy. Wszystkie kraterzy, stożki, koryta, w których kiedyś płynęły strumienie, były tak do siebie podobne, jakby komuś celowo zależało, żeby śmiałek, który się tutaj zapuści, stracił wszelkie poczucie orientacji.

Trudno także było zachować poczucie czasu. Zmęczeni upalnymi promieniami słońca, wszyscy odnosiliśmy wrażenie, że wyjechaliśmy z Butte już bardzo dawno. A jednak, kiedy pierwszy raz po nieskończonej długim czasie popatrzyłem na zegarek, stwierdziłem ze zdumieniem, że nie minęła nawet godzina od naszego wyjazdu. Na zewnątrz przez cały czas nie widzieliśmy żadnych zwierząt, jednak być może to gąsienice naszego transportera, głośno rozgniatające grunt, ostrzegały stworzenia, które pustkowie obrały za swoją ojczyznę.

Okrążyliśmy wreszcie jakiś ścięty stożek, który miał wysokość wzgórza o dość ostrych zboczach i ujrzeliśmy, że ślady, którymi kierował się Lugard, prowadzą prosto do krateru, ponad którym rozpościerają się rusztowania wieży wiertniczej.

Do środka należało opuszczać się na małej, prowizorycznej platformie, więc kapitan zasugerował, bym zjechał na dół jako pierwszy, razem z Thadem.

Nie byłem speleologiem, dlatego zająłem miejsce na platformie z pewną obawą. Obaj z Thadem, który przykucnął naprzeciwko mnie, chwyciliśmy się mocno prowizorycznych barierek. Pod naszymi nogami Lugard umieścił trochę sprzętu i liny. Gdy zaczęliśmy zjeżdżać poczułem jak mój organizm odmawia mi posłuszeństwa. Dobrze, że droga w dół trwała tak krótko... Światło na dole było słabe, jednak nie było zupełnie ciemno. Mimo to w pierwszej chwili mrok wydał nam się straszny, jakby chciał nas połknąć.

Było tu znacznie chłodniej, niż na górze, co przyniosło i mnie i Thadowi znaczną ulgę. Przypomniałem sobie, że ruch powietrza pod ziemią jest bardzo wolny i już po kilku krokach stwierdziłem, że temperatura znacznie spadła. Lugard sugerował, żebyśmy zabrali ze sobą grube płaszcze. Teraz, drżąc, zrozumiałem wreszcie, dlaczego.

Platforma odbyła kilka jazd w dół i w górę, zabierając za każdym razem dwóch pasażerów, narzędzia i zapasy żywności. Wszelkich narzędzi było naprawdę mnóstwo; Lugard opuścił w dół nie tylko to, co przywieźliśmy ze sobą z Butte, ale również to, co czekało na nas na stosie przed wejściem do groty.

Wreszcie sam dołączył do nas, nie korzystając z platformy, lecz wykorzystując linę, przy czym uczynił to z taką łatwością, że nikt z nas nie miał wątpliwości, iż zjeżdżał już po niej wiele razy. Platforma pozostała w grocie. Podejrzywałem, że tak właśnie musi być ze względów bezpieczeństwa. Jak dotąd, kapitan nie wspominał nic o ewentualnej kolejnej wizycie ludzi ze statku, jednak mógł przecież zabezpieczyć się zarówno przeciwko nim, jak i przeciwko jakimkolwiek innym niespodziankom. Poza tym byłem niemal pewien, że nie zabrałby tutaj dzieci, gdyby spodziewał się jakiegokolwiek poważnego niebezpieczeństwa.

Stanąwszy wreszcie w grocie, Lugard włączył ręczną lampkę, by wskazać nam dalszą drogę. W grotach było tak zimno jak w komorach do zamrażania. Powierzchnie ścian Pokryte były lodem. Nic dziwnego; Lugard szukał przecież groty lodowej. Tymczasem w miarę, jak oddalaliśmy się od Wejścia, coraz bardziej odczuwaliśmy przenikliwy chłód.

Po kilkunastu krokach Lugard skierował promień lampy do góry. Spojrzawszy w tym kierunku, ujrzeliśmy na powierzchni, tak nisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, aby tego dotknąć, jakąś białą masę. Trwał na niej bezustanny ruch.

— Dzikie muchy! — zawołała Gytha.

Drobne głowy o długich dziobach kołysały się i podskakiwały. Tak, były to

dzikie muchy w gniazdach z wyschniętych fragmentów roślin i błota. Latały tylko w nocy i to wielkimi gromadami, atakującymi wszelkie przeszkody, pojawiające się na ich drodze. Były to szalone stworzenia, zdolne do zniszczenia dosłownie wszystkiego w poszukiwaniu żywności.

Na szczęście, gniazda znajdowały się blisko wejścia i szybko je mineliśmy. Korytarz zaczął stopniowo prowadzić w dół, na szczęście pod łagodnym kątem, dzięki czemu dalszy marsz nie stanowił trudności. Zacząłem się rozglądać, chcąc upewnić się, czy tak jak podejrzewałem, maszyny Lugarda już tu pracowały. Jednak ani grunt, ani ściany nie zawierały żadnych śladów, ani zadrapań.

Na polecenie kapitana zrobiliśmy użytek z jedyne go urządzenia, które zdawało się mieć jakąś wartość w tym kamiennym tunelu: małego wózka, na który założyliśmy większość narzędzi, jakie wcześniej opuściliśmy do groty. Nasze własne zapasy wszyscy jednak ponieśliśmy w plecakach.

I znów szliśmy mniej więcej godzinę. Dopiero po tym czasie Lugard zatrzymał pochód i zaproponował odpoczynek. Sam ściągnął pakunki z wózka, postawił je pod ścianą i odwrócił się w kierunku, z którego przybyliśmy, jakby chciał powrócić do punktu wyjścia i zabrać resztę bagażu. Jednak nie miał już na to najmniejszej szansy.

Przez ściany groty przebiegła głucha wibracja. Ziemia wokół nas zaczęła drzeć, sprawiając wrażenie, jakby świat, który dotąd uważaliśmy za stabilny i bezpieczny, nagle okazał się groźny i zdradliwy. Usłyszałem szalone krzyki przerażenia i w świetle lampy zauważyłem rozszerzone strachem oczy i otwarte usta dzieci, które nagle znalazły się w śmiertelnym zagrożeniu. Jakieś drobne ciało przywarło do mojego i instynktownie przyciągnąłem Iforsa bliżej do siebie. Zrozumiałem, że chłopiec traktuje mnie jak ostatnią nadzieję na ocalenie.

Po chwili nastąpił drugi wstrząs, jeszcze gorszy od poprzedniego. Potężne bryły lawy zaczęły odpadać od ścian, z grzmotem, który zagłuszał wszystkie inne dźwięki. W grocie zaczął unosić się pył, niemal uniemożliwiający oddychanie.

— Uciekajmy! — zobaczyłem jak Annet, potykając się, próbuje uciekać w kierunku, z którego przybyliśmy. Sylwetka kogoś wyższego od niej, Lugarda, stanęła na jej drodze, próbując ją powstrzymać, ale, świadomie, czy też nie, Annet wyniknęła się kapitanowi i nadal nawoływała: — Uciekajmy! Tędy, dzieci!

— Złap ją! — zawołał do mnie Lugard, akurat w chwili, kiedy trzeci wstrząs pchnął mnie na którąś ze ścian. Ifors wciąż przywierał do mnie z siłą, jakiej w normalnych warunkach nigdy by z siebie nie wykrzesał.

Wolną ręką sięgnąłem do zapięcia mojego plecaka i tak długo szarpałem nim, aż uwolniłem się od ciężaru. Ujrzałem Thada, siedzącego na ziemi z wyrazem całkowitego osłupienia na twarzy.

— Za nią — wysapał Lugard. — Lawa w szybie wejściowym jest najluźniejsza. Ona może zginać, jeśli tam dojdzie...

Próbował powstać na nogi, jednak ostatni wstrząs sprawił, że posypały się na niego narzędzia ze stosu i było po prostu niemożliwe, by sam się spod nich wydostał.

Uwolniłem się wreszcie od Iforsa. Trzymał się mnie z taką siłą, że wydarł mi z płaszcza spory kawał materiału.

— Thad! Zajmij się nim! — zawołałem. Popchnąłem chłopca w jego kierunku. Dopiero wtedy rozejrzałem się dookoła. Na szczęście, żaden z Wędrowców nie sprawiał wrażenia mocno poszkodowanego. Gytha klęczała przy lampie, próbując rozjaśnić jej światło. Prima kuciała obok niej. Emrys kręcił głową i przecierał oczy, do których wpadło zbyt dużo kurzu. Zauważyłem też Sabiana... Brakowało jedynie bliźniaków i Annet.

Przestraszyłem się. Być może dotrą nawet do szybu wejściowego i tam dopiero spotka ich śmierć. Bałem się tak samo jak Annet, ale jeśli zmierzała teraz prosto ku nowemu śmiertelnemu niebezpieczeństwu — a przecież Lugard znał tutaj wszystkie zagrożenia — należało ją powstrzymać. Nie byłem w stanie biec, jednak ruszyłem w kierunku szybu tak prędko, jak tylko byłem w stanie, co chwilę wykrzykując jej imię.

Była słabsza, mniej wytrzymała ode mnie, nie wątpiłem więc, że szybko ją dogonię. Nie musiałem iść daleko. Annet zatrzymał wielki odłam lawy, który niemal zamknął tunel. Ponad skałą, wysoko w górze, widać było jasne niebo. Kiedy tam dotarłem, dziewczynka opierała się o ścianę i spoglądała właśnie ku niebu, ku wolności, która znajdowała się poza zasięgiem. Z ulgą zauważyłem również przytulone do niej bliźniaki.

— Wracaj — powiedziałem. — Lugard mówi, że im bliżej szybu, tym jest niebezpieczniej. — Szarpałem ją za ramię. Spróbowała wyrwać się, jednak byłem od niej silniejszy i pociągnąłem ją w swoim kierunku. Nie mogłem jednak dowlec jej w ten sposób do reszty Wędrowców. A przecież w każdej chwili mógł nastąpić kolejny wstrząs.

— Uciekajmy! — tym razem krzyknąłem. Próbowała wyrwać się w przeciwnym kierunku, mimo że drogę miała przecież zablokowaną.

— Musimy uratować dzieci — powiedziała drżącym głosem.

— Tak, ale nie tędy. — Przycisnąłem ją ramieniem do ściany, a moja twarz znalazła się w odległości zaledwie kilku cali od jej twarzy. — Lugard mówi, że droga powrotna jest zbyt niebezpieczna. On zna te groty i wie, że są tutaj jeszcze inne wejścia...

— Lugard! — wykrzyknęła Annet ze złością. — On nie miał prawa zabierać nas tutaj, narażać dzieci...

— Przecież nie mógł przewidzieć, że zadrży ziemia. Daj mu spokój, teraz najważniejsze jest, żebyśmy wydostali się stąd. Tam gdzie znajduje się reszta grupy, jest głębiej i bezpieczniej. — Sam nie bardzo wierzyłem w to, co mówiłem do Annet.

po długiej chwili milczenia pokiwała niechętnie głową i dobrowolnie ruszyła za mną. Wziąłem na ręce Dagny, której drobnym ciałem wstrząsały dreszcze. Nie płakała, jedynie ciężko dyszała, a oczy miała szeroko otwarte. Była tak przerażona, że nic z tego, co w tej chwili działo się wokół, nie docierało do niej. Annet poprowadziła jej brata.

Zanim dotarliśmy do pozostałych Wędrowców, grota znów wstrząsnęła seria drgań. Przywarliśmy do ściany, przytrzymując bliźniaki pomiędzy nami, chroniąc je naszymi ciałami tak dokładnie, jak tylko byliśmy w stanie. Skały odrywały się nie tylko od sklepienia, ale też toczyły po pochyłym korytarzu. To cud, że żadna w nas nie uderzyła. Gdy wreszcie nastąpiła cisza, nowa obawa zagnieździła się w mojej głowie. Znajdowaliśmy się na terenie wulkanicznym. Czy przypadkiem dzisiejsze wstrząsy nie zostały spowodowane jakąś podziemną erupcją i czy nie zwiastują kolejnej wielkiej katastrofy? Uznałem, że Annet miała rację w swej instynktownej ucieczce, w pragnieniu, by jak najszybciej znaleźć się na powierzchni planety.

— Vere! Annet! — odgłosy nawoływania zwielokrotnionym echem odbijały się od ścian groty.

Ostrożnie wstałem na nogi, obawiając się, że nawet najmniejszy ruch wywoła nowe wstrząsy, tak niepewny stał się nagle nasz świat.

— Tu jesteśmy! — zawołałem. Mój głos miał chrapliwe brzmienie, gdyż kurz, którego sporo się nałykałem, wysuszył moje gardło i usta.

Annet również wstała. Znów zaopiekowałem się dziewczynką, podczas gdy Annet poprowadziła chłopca. Ostrożnie, krok po kroku, ruszyliśmy w kierunku grupy. Wreszcie dotarliśmy do nich. Lugard siedział na wózku, z wyciągniętą przed siebie prawą nogą. Masował ją obiema rękami; bez wątpienia bardzo go bolała. Gdy

zobaczył nas całych i zdrowych, w jego czach błysnęła wyraźna ulga.

— Sięgnijmy do zestawu pierwszej pomocy — powiedział, nie przerywając swego masażu. — Daj Annet i bliźniakom po jednej zielonej tabletki, to im pozwoli wyjść z szoku.

Zapewne zdążył już poczęstować tabletkami pozostałych, gdyż Ifors siedział wygodnie, oparty o jakąś belkę, Pritha spokojnie piła wodę, a Thad próbował uporządkować porozsypywane narzędzia. Pomagali mu Emrys i Sabian. Gytha klęczała przy Lugardzie, z naczyniem w dłoni, gotowa podać mu wodę do picia.

Annet stanęła dokładnie przed nim.

— Jak się stąd wydostaniemy? — zapytała. — Dzieci...

— Zapewne w tej chwili są bezpieczniejsze tutaj niż na powierzchni.

— Tutaj? — zawołała z niedowierzaniem. — Przecież co chwilę jakieś skały lecą nam na głowy!

— Przeniesiemy się w jeszcze bezpieczniejsze miejsce. Zaraz ruszamy.

— Czy takie trzęsienie ziemi — zapytałem Lugarda — nie zwiastuje aktywności wulkanicznej?

— Trzęsienie ziemi? — powtórzył Lugard. Jego usta wygięły się w grymasie bólu. — Ty biedny... — zaczął, ale zaraz poprawił się: — To nie było trzęsienie ziemi.

— Nie? — Annet przykucnęła przed Lugardem, chcąc spojrzeć mu w oczy. — Z czym więc mieliśmy do czynienia? Co to takiego było?

— Rozdzielacze.

Nogi ugięły się pode mną, chociaż Annet zapewne nie zrozumiała znaczenia tego słowa. Zadrzałem równie mocno jak Dagny, wciąż przytulona do mnie.

Rozdzielacze — niewinne określenie śmierci i takiego zniszczenia, jakiego Beltane jeszcze nie widziało. Wiedziałem jednak, że w przeszłości rozdzielacze zamieniały w pustkowia planety równie spokojne i szczęśliwe jak nasza.

— Uchodźcy? — zapytałem. Pomyślałem, że tylko oni na tej planecie mogli podjąć się czegoś tak okrutnego.

— Zapewne. — Lugard przerwał masaż. Wstał, jednak widać było, że wciąż cierpi. Ból wprost utrudniał mu oddychanie, kiedy stawiał prawą stopę na ziemi.

— Co to znaczy? — zapytała Annet głośno i Gytha przysunęła się bliżej nas. — Co to są dystrybutory?

— Bomby. — Thad uprzedził odpowiedź Lugarda. Zauważyłem, że w tej

chwili kapitan był zły na siebie za ujawnienie prawdy, chociaż przecież dobrze się stało, że poznali ją przynajmniej najstarsi spośród nas.

— Bomby! — Annet nie uwierzyła. — Tutaj ? Na Beltane? Dlaczego? Kto rzucałby tutaj bomby?

— Uchodźcy — odparłem. — Jaka jest szansa... — zacząłem mówić, ale w porę ugryzłem się w język. Pomyślałem bowiem w tej chwili o tych, których wybuchy zastały na powierzchni ziemi. Z wyrazu twarzy Thada odczytałem, że myśli o tym samym. A jednak uznałem, że najpierw musimy dać sobie radę z własną sytuacją, czułem się zobowiązany do wyprowadzenia z grotu dzieci, które z taką beztróską tutaj przywiodłem. — Czy pan to wie, czy podejrzewa? — zwróciłem się wprost do Lugarda.

Lugard powoli pokiwał głową.

— Podejrzewałem od samego początku. Wczoraj wieczorem upewniłem się.

— Czy podpatrywał ich pan z pokoju dowodzenia?

Znów skinął głową, a ja cicho jęknąłem. Skoro Lugard wiedział, że nastąpi atak, ściągnął nas tutaj specjalnie, ponieważ...

Jakby czytał w moich myślach.

— To jest w tej chwili najbardziej bezpieczne miejsce na Beltane... albo w Beltane. Mówiłem ci już chyba, że jeszcze przed wojną drażyliśmy tu schrony. Przez ostatnie dni ponownie je otwierałem. Gdybym tylko miał więcej czasu, gdyby ci naiwni głupcy z Komitetu tylko mi uwierzyli, nikomu nic by się nie stało. W końcu, widzicie, my jesteśmy bezpieczni...

— Nie! — Annet zakryła usta brudnymi dłońmi, rozsmarowując kurz po swoich policzkach. — Nie wierzę w to! Dlaczego ktokolwiek mógłby tak postąpić? Daliśmy im dom...

— A im pewnie chodziło jedynie o bazę — powiedział Lugard. W jego głosie słychać było zmęczenie, był jakby zrezygnowany. Teraz, gdy sprawdziły się wszystkie jego najgorsze prognozy, opuszczała go dotychczasowa energia. — Sądzę, że w głosowaniu sprzeciwiono się przyjęciu dwóch nowych statków, lecz za późno; nasi intruzi postanowili sami wziąć to, czego się im odmawia.

— Dokąd teraz pójdziemy? — przerwałem ciszę, która zapadła po ostatnich słowach Lugarda.

— Przed siebie — odparł. — Niedaleko przed nami znajduje się centralny schron.

Spodziewałem się, że Annet zaprotestuje, jednak milczała. Z ciężkim westchnieniem podniosła się na nogi i wzięła do ręki zestaw do udzielania pierwszej pomocy. Lugard wyciągnął rękę.

— Zrób mi zastrzyk — powiedział. — Potem zapakujemy wszystkie nasze zapasy na wózek. Jeszcze przez jakiś czas będziemy mogli go używać, potem wszystko trzeba będzie nieść na własnych grzbietach.

Annet zajęła się bliźniakami, a wszyscy pozostali zaczęli załadowywać wózek, chociaż nie miało to większego sensu. Lugard poruszał się z takim trudem, że należało się spodziewać, iż samodzielnie nie przejdzie zbyt długiego odcinka. Do długiego marszu nie były też przygotowane bliźniaki, przynajmniej w szoku, w jakim obecnie się znajdowały. Byłem przekonany, że miejsce na wózku powinni zająć przede wszystkim oni, a dopiero potem powinniśmy się martwić o transport zapasów i narzędzi.

Razem z Thadem pociągnęliśmy wózek, a Gytha poprowadziła pochód u boku Lugarda, podtrzymując i pomagając mu, gdyż szedł z wielkim trudem. Annet niosła Dagny, która zasnęła pod wpływem środków uspokajających, a Emrys i Sabian prowadzili pomiędzy sobą Dinana. Ifors szedł obok wózka, poprawiając ułożenie pakunków, gdy te groziły spadnięciem na ziemię.

Bardzo często zatrzymywaliśmy się. Podczas jednego z postojów namówiłem Annet, by położyła Dagny na wózku. Uczyniła to, jednak sama zabrała z niego jeden z pakunków, aby go nieść. Była już spokojna i nikogo nie winiła o to, co się stało. Miałem wątpliwości, czy wierzy w wyjaśnienia Lugarda, dotyczące przyczyn naszej niebezpiecznej przygody. Podejrzywałem, że nie może doczekać się wyjścia na powierzchnię planety, gdy wreszcie będzie mogła udowodnić, że kapitan pomylił się.

Dwukrotnie nasz korytarz krzyżował się z innymi, jednak Lugard bezbłędnie wskazywał właściwą drogę. Pocił się, a od potu lśniła jego twarz i koszula, którą miał zupełnie moką. Oddychał płytko, szybko, łapczywie. Postoje następowały jednak na moją prośbę; on sam za nic nie przyznałby się, że marsz sprawia mu ból niemal nie do zniesienia.

Mój zegarek wskazywał, że znajdujemy się pod ziemią dwie godziny, gdy zrobiliśmy dłuższą przerwę na posiłek. Patrzyłem, jak Annet wyciąga paczki z prowiantem i starałem się odgadrywać jej myśli. Jeszcze nie wierzyła w to, co się jej przydarzyło; przecież zaledwie przed kilkoma godzinami w domu, w Kynvet, pakowała chleb i owoce w folię, żartowała...

Właśnie... Czy Kynvet jeszcze istniało? Lugard tylko udawał, że je, za to dzieci były już głodne i z apetytem zjadły wszystko, co im Annet podała. Zaczynałem zastanawiać się, czy nie powinniśmy przypadkiem oszczędzać żywności. W końcu, kto wie, jak długo będziemy musieli pozostać w tych podziemiach?

A jeśli wyjdziemy na zewnątrz, co zastaniemy? Jeżeli uciekinierzy całkowicie zapanowali nad planetą, co wtedy — zastanawiałem się, chociaż umysł bronił się przed tą myślą. Co się z nami stanie, jeżeli ukażemy się im jako jedyni, którzy ocalili z masakry? Chociaż, Lugard musiał widzieć szansę na nasze przetrwanie, inaczej nigdy nie ukrywałby nas tutaj.

Odłożywszy ostatecznie jedzenie, kapitan wydobyl z fałdów tuniki swoją fujarkę. Annet poruszyła się obok mnie niespokojnie, jakby chciała zaprotestować przeciwko muzyce, jednak ostatecznie nie odezwała się.

Zagrał więc Lugard w głębiach ciemnej groty, w podziemiach naszego świata, wobec którego nie mieliśmy nawet pewności, czy istnieje. Natychmiast ogarnęła nas magia jego muzyki. Wyływało z niej ukojenie, spokój i nadzieja. Czułem, że dźwięki fujarki uspokajają mnie, moje wirujące myśli z każdą chwilą męczyły mnie coraz mniej, powracała do mnie wiara w szczęśliwe zakończenie niebezpiecznej przygody.

Na zawsze zapamiętam tę godzinę, chociaż nie potrafiłbym powtórzyć żadnej z melodii, granych przez Lugarda. Pamiętam jednak poczucie ciepła i rozkoszy, jakie we mnie zostawiły i żałuję, że nigdy ich już nie zaznam od tej magicznej muzyki. Tego pamiętnego dnia dodała mi ona jednak sił, tak potrzebnych, by stawić czoło najgorszemu nieszczęściu, jakie człowiek może zgotować człowiekowi.

Lugard nieznanym nam zmysłem wyczuł zbliżające się zagrożenie, bowiem w jednej chwili odłożył fujarkę, zrywając zaklęcie, które niesło tak wielkie ukojenie. Usłyszeliśmy zupełnie inny dźwięk, nie mający nic wspólnego z muzyką.

— Cofnijcie się pod ściany! — krzyknął.

W jednej chwili wszyscy zapadliśmy pod ścianami, jakby krzyk kapitana był spychaczem, który popchnął nas w ich kierunku. Prawie wszyscy...

— Dagny! — zawołała Annet.

Dziewczynka spała spokojnie na kocach, rozłożonych obok wózka. Zagrożenie było już zbyt wielkie, żeby ktokolwiek z nas odważył się jej pomóc. A jednak Lugard nie przestraszył się. Ujrzałem, jak pełźnie w jej kierunku, ściągając z koców i odpycha w naszym kierunku. Chciał ruszyć jej śladem, jednak zraniona noga odmówiła mu posłuszeństwa. Potknął się, przewrócił i w tej samej chwili, zanim ktokolwiek z nas

zdołał zareagować, za jego plecami pojawiła się wielka skała, tocząca się po stromym korytarzu. Nie byliśmy w stanie mu pomóc, kiedy toczyła się po jego ciele, niczym potężna fala na wezbranej rzece.

Rozdział szósty

Ta sama skała przewróciła lampę i po chwili ogarnęła nas ciemność, w której słychać było nasze pokastywania, gdyż w gardłach mieliśmy pełno kurzu. Zacząłem nerwowo szukać latarki, którą zawsze nosiłem zatknietą przy pasku. Po chwili ją włączyłem. Zamiast jasności specjalnej lampy do oświetlania podziemi, teraz ciemność rozświetlił tylko słaby promień. To, co w tym świetle zobaczyłem, spowodowało, że natychmiast wyłączyłem latarkę.

Nasz ciężki, załadowany wózek zadziałał jak zaporę, gdyż skała, która do nas dotarła z góry, zatrzymała się właśnie na nim. Impet jej uderzenia był taki, że pękła na kilkadziesiąt części, przy okazji niszcząc większość naszych zapasów. Przy wózku utworzyła się gigantyczna góra kamieni, zmieszanych z naszymi narzędziami i zapasami. A Lugard... Lugard z całą pewnością znajdował się pod tym zwałowiskiem.

— Gytha! Dinan! Thad! — Głos Annet, tak słaby, że ledwie rozróżniałem poszczególne imiona, zabrzmiał zza moich pleców. Nigdy nie zapominająca o obowiązkach Annet robiła zbiórki, sprawdzała, czy wszyscy żyją.

Po kolei wszystkie dzieci odpowiadały jej. Ja jednak nie słuchałem tego. Zacząłem rozgarniać górę, która utworzyła się przed wózkiem; już po chwili dołączył do mnie Thad. Musieliśmy pracować bardzo spokojnie i powoli, gdyż każdy nieopatrzny ruch mógł pociągnąć za sobą lawinę. Wkrótce dołączyła do nas Gytha, również oświetlając korytarz osobistą latarką, i Emrys. Dzięki dwóm latarką widoczność mieliśmy już dobrą. Annet odbierała ode mnie kamienie, które odkładała na boku. Pozostali pracowali w podobnie zorganizowanych parach.

Milczeliśmy, kaszląc jedynie od czasu do czasu, gdyż unoszący się pył drażnił nasze gardła. W obawie przed kolejnymi wstrząsami musieliśmy pracować bardzo powoli, gdyż od tempa, w jakim uporamy się z górą, która zasypała Lugarda, zależał jego los.

Wreszcie dotarliśmy do niego. Okazało się, że największy spośród kartonów z narzędziami ułożył się tak, że kapitan nie został całkowicie przygnieciony. Karton oparł się o dwie belki, pomiędzy którymi znalazł się Lugard i w ten sposób ocalił mu życie.

A jednak bałem się go dotknąć, gdy go ujrzałem, spoczywającego twarzą do

dołu i nie reagującego na nasze słowa. Wtedy nie byłem jeszcze pewien, czy żyje. Nie wydawał żadnego dźwięku i bałem się, że już go straciliśmy. Szybko oczyściliśmy z gruzu przestrzeń wokół niego, a Annet rozwinęła obok kilka koców. Z trudem przenieśliśmy go na nie, kładąc go tym razem twarzą do góry, dodatkowo podkładając zrolowany koc pod jego głowę.

Oczy miał zamknięte, a z kącika ust wyciekała mu cienka strużka czegoś ciemnego. Nie jestem medykiem, a moja wiedza w tym zakresie ograniczała się wówczas do umiejętności udzielania pierwszej pomocy ofiarom wypadków. Byłem jednak pewien, że Lugard ma połamane kości i pewnie jeszcze jakieś obrażenia wewnętrzne. Annet szybko otworzyła zestaw pierwszej pomocy. Szczęśliwie nie uległ żadnym zniszczeniom; znajdował się pod ścianą dokładnie w tym miejscu, w którym kapitan przetrwałby niebezpieczeństwo, gdyby nie skoczył na ratunek Dagny. Jednak w zestawie właściwie nie było środków, które mogłyby mu pomóc. Lekarstwa mogły tylko na krótki czas uśmierzyć ból rannego. Każdy ruch mógł poza tym być dla niego niebezpieczny. Próba przeniesienia Lugarda na wózek mogła zakończyć się jego śmiercią, a jednak w tym widziałem jedyną szansę ocalenia go.

— Opróżnij wózek — poleciłem Thadowi. — Potem rozbierz go na części.

Pokiwał głową i nakazał pozostałym chłopcom, by pomogli mu wykonać zadanie. Annet zrosiła twarz kapitana wodą, po czym przemyła ją kawałkiem materiału. Pod wpływem jej dotyku żołnierz otworzył oczy. Żałowałem, że odzyskał przytomność. Rany, które odniósł, z pewnością sprawiały mu ogromny ból.

Ujrzałem, że poruszają się jego usta i pochyliłem się nad nim.

— Niech pan nie próbuje mówić...

— Nie... — wyszeptał z trudem. — Mapa... w wewnętrznej, zaszytej kieszeni... Zabierz ją. Ona was zaprowadzi w bezpieczne miejsce...

W tym momencie jego ciało zwiotczało, a z ust popłynęła ciemna piana, którą Annet natychmiast wytarła.

Zbadałem puls, dotykając palcami jego szyi. Bałem się dotknąć jego klatki piersiowej. Kapitan żył, wciąż żył...

Nie wierzyłem jednak, że jest w stanie przetrwać próbę przetransportowania na wózek. Szczególnie groźna mogła okazać się dla niego próba przenoszenia na kocu. Wcześniej wspominał, że przed nami znajdują się jakieś zapasy. A jeśli wśród nich znajdowały się środki medyczne? Przecież, wiedząc o niebezpieczeństwie, zapewne spróbował uratować wszystko, co dało się wynieść z Butte. W takim

wypadku rzeczywiście środki, które znajdziemy, mogą mu pomóc. Uchwyciłem się tej myśli, mimo że rozsądek podpowiadał mi, że Lugarda może ocalić jedynie szybka hospitalizacja.

Ale przecież nie można było siedzieć z założonymi rękoma i czekać na jego śmierć, skoro naszym zadaniem była teraz walka z agresorami. Annet była najwyraźniej tego samego zdania, gdyż popatrzyła na mnie znacząco.

— Zabierz tę mapę. Może dzięki temu go uratujemy... — Jakby wyczuła moje niezdecydowanie. — Nic innego nie możemy dla niego zrobić. Teraz nie możemy go ruszać, a tam może znajdziemy nosze i inne rzeczy...

— A jeśli nastąpią kolejne wstrząsy?

— Ośłonimy go jakoś na razie — odparła, wciąż zajęta ścieraniem piany z jego twarzy. — Tyle jesteśmy w stanie dla niego zrobić. Zostaniemy tu przy nim. Nie możemy go zostawić a on nie może czekać wiecznie na pomoc. Ty, Vere, musisz ją uzyskać. Musisz coś znaleźć, odpowiednie lekarstwa i może jakiś wygodny wózek? Weź mapę i ruszaj w drogę, Vere, sam.

Z najwyższą delikatnością przesunęliśmy Lugarda pod ścianę. Tak ostrożnie, jak tylko potrafiłem, przeszukałem jego tunikę i wyciągnąłem z niej złożoną na cztery części plastmapę. Gdy poświeciłem na nią latarkami, ujrzałem, że pewne szlaki zaznaczono na niej ciemnym atramentem; z całą pewnością używano jej w warunkach ograniczonej widoczności. Przez długą chwilę przyglądałem się mapie, zanim zlokalizowałem tunel, w którym właśnie się znajdowaliśmy. Gdy tylko go znalazłem, stwierdziłem ze zdumieniem, że droga, którą się posuwamy, jest zadziwiająco prosta. Zapewne też bezpieczne miejsce, do którego zamierzał zaprowadzić nas Lugard, znajdowało się już niedaleko.

Thad tymczasem odnalazł lampę i zajął się jej naprawą. Przystosowana była do używania w trudnych warunkach, dlatego jej uszkodzenia nie okazały się poważne i po chwili znów oświetlała grotę jasnym blaskiem. Podniosłem jedną z manierek, chcąc się napić, lecz rozsądek nakazał mi hamować pragnienie tak długo, jak to tylko było możliwe. Postanowiłem oszczędzać wodę, tym bardziej, że okazało się, iż zbiornik na wózku wypełniony jest tylko w połowie i na dodatek przecieka. Annet czym prędzej zaczęła poszukiwania wszelkich dostępnych naczyń, by uratować przynajmniej część jego zawartości.

Zanim wyruszyłem w samotną wędrówkę, długo stałem nad Lugardem. Wciąż oddychał, a przecież tak długo dopóki człowiek żyje, należy mieć nadzieję...

Uczepiwszy się tej myśli jak ostatniej deski ratunku, udałem się w drogę. Lampa jeszcze przez chwilę oświetlała drogę przede mną, ale gdy korytarz groty skręcił, pozostała mi już tylko latarka. Wkrótce doszedłem do rozgałęzienia i, zgodnie ze wskazaniem mapy, skierowałem się w bok.

Grotory mają swoich mieszkańców, których populacja różni się, zależnie od głębokości, wilgotności, budowy i tym podobnych czynników. Widywałem w laboratoriach na Beltane ślepe stworzenia, które wydobyto z wiecznych ciemności dla celów badawczych. Mieliśmy nawet mały departament biospeleologii, jednak kiedy zmarł Yain Takuat, nikt już nie zastąpił go w jego specjalności.

Jednak istoty, które mieliśmy w laboratoriach, pochodziły z wilgotnych grot, uformowanych przez wodę, tymczasem w tej chwili znajdowałem się w całkowicie innym środowisku. Uważnie badałem latarką cały teren przed sobą, chcąc zawczasu zauważyć wszystko, co nie było twardą, martwą skałą. Nie miałem ochoty otrzeć się o żadną podziemną dżdżownicę, ani o żaden ślad, czy brud, pozostawiony tu przez żywą istotę.

W pewnej chwili promień mojej latarki natrafił na skórę i kości, leżące pod ścianą. Przystanąłem nad znaleziskiem. Moje pierwsze przeczucie, na szczęście, nie sprawdziło się; nie były to szczątki ludzkie, lecz wysuszone resztki po jakimś pryszczorogu, o wiele większym niż ten, którego widziałem na ekranie w Butte. Pryszczorogi potrzebowały jednak do życia wiele wilgoci i tylko na takich terenach, wśród bagien i mokradeł, można było się na nie natknąć. Po co więc ten osobnik przybył aż tutaj? Czy obecność tych resztek mogła dowodzić, że gdzieś blisko znajduje się woda?

Przeszedłem jeszcze kilkadziesiąt kroków i dotarłem do miejsca, o którym Lugard powiedział, że nie przebędzie go wózek. Niemal gładka nawierzchnia tunelu, opadająca w miarę łagodnie w dół, niespodziewanie zastąpiona została przez wielkie półki skalne, tworzące gigantyczne schody. Różnica pomiędzy poziomami kolejnych półek znacznie przekraczała wzrost dorosłego człowieka. Zdesperowanym wzrokiem po natrzyłem na tę przeszkodę. Przecież nigdy nie przetransportujemy tędy rannego Lugarda, zdani na własne siły...

Pomyślałem o noszach, o jakiejś skrzynce, pudle. Czy będzie można umieścić go w czymś takim i po kolei opuszczać? Desperacja podpowiadała mi różne pomysły, jednak czy którykolwiek z nich możliwy był do zrealizowania? Zacząłem opuszczać się z półki na półkę, starannie patrząc pod nogi przy każdym zeskoku, gdyż ich

powierzchnie pokryte były twardym gruzem.

Z każdą kolejną półką, na jaką opadałem, powietrze było chłodniejsze. W pewnej chwili trudne stało się dotykanie dłońmi powierzchni półek, gdyż pokrywała je gruba warstwa szronu. Dotarłem jednak jakoś do końca tych dziwnych schodów i zacząłem iść po osypisku, gęsto usianym wielkimi kamieniami. Po chwili dojrzałem jednak wśród nich ścieżkę. Ciężkie kamienie odrzucone były na bok, dzięki czemu trasa mojej wędrówki znów była wygodna. Pomyślałem o ogromnej pracy, jaką musiał tu wykonać Lugard. A może to nie on, może miałem przed sobą efekt działania tych, którzy przystosowywali podziemia na schrony wojenne, jeszcze zanim zamknięto Butte Hold?

Grota, do której trafiłem, z każdą chwilą coraz bardziej się rozszerzała. Jednak przez dłuższą chwilę patrzyłem jedynie pod nogi i nie zdawałem sobie z tego sprawy. W pewnym momencie skierowałem wreszcie światło na boki i to, co zobaczyłem, sprawiło, że zatrzymałem się w miejscu jak wryty. Ujrzałem trzy wielkie konstrukcje, niby bloki, wykonane z masy nieznanego mi pochodzenia, tak wysokie, że moje światło nie dosięgało ich szczytów. Pomiędzy nimi znajdowało się mnóstwo skrzyń, pudeł i pakunków. Tego składu nie mógł już stworzyć sam Lugard. Stanowił zapewne owoc planu, który nigdy nie został wcielony w życie. Do każdej konstrukcji prowadziły pojedyncze drzwi. Poza tym nie miały one żadnych innych otworów.

Jeżeli kiedykolwiek konstrukcje te były zamknięte, z pewnością pootwierał je Lugard. Zapewne użył tego samego klucza, czyli metalowej płytki, którą otwierał Butte. Pierwszy z bloków, który zwiedziłem, przeznaczony był na centrum dowodzenia, a może i centrum łączności. Miał trzy poziomy, na każdym z nich znajdowały się dwa pomieszczenia. W jednym z nich natknąłem się na dwa biurka, mnóstwo skoroszytów, i stanowisko do pracy z komputerem. W kolejnym znajdowały się urządzenia i przyrządy niemal tak skomplikowane jak w pokoju dowodzenia w Butte Hold. Spróbowałem uruchomić system. Nie wiem, czego się spodziewałem — może tego, że dowiem się, co dzieje się na powierzchni planety; w każdym razie po kilku próbach zaniechałem moich wysiłków, niczego nie osiągnąwszy. Na najwyższym poziomie konstrukcji znajdowały się cztery łóżka, ustawione w prostych pomieszczeniach mieszkalnych. Rozejrzawszy się po nich stwierdziłem, że nikt nigdy ich nie używał.

W kolejnym budynku, w pomieszczeniach zajmujących całe piętra, znajdowały się jedynie łóżka i, na środku, wielkie stoły. W rogu wydzielone były małe

pomieszczenia kuchenne, ze wszelkimi możliwymi urządzeniami do przygotowywania posiłków. Były tu nawet zlewy, a z kurków ciekła czysta, zdrowa, chłodna woda.

Trzeci budynek pełen był pulpitów kontrolnych, jednak z całą pewnością nie miały one nic wspólnego z łącznością. Przyjrzawszy się im bliżej, uznałem, że to miejsce miało służyć do odpalania rakiet i innych śmiertelnych ładunków. Tych jednak zapewne nie zdążono zainstalować na powierzchni planety, a jeśli nawet je zamontowano, to zamiary ich uaktywnienia spełzły na niczym w momencie, kiedy ostatni oddział Bezpieczeństwa otrzymał rozkaz wylotu w przestrzeń.

Powróciłem do bloku, w którym znajdowały się łóżka. Ich ramy uznałem za jedyne konstrukcje, które mogłyby posłużyć jako nosze. Dużo czasu straciłem, zanim oderwałem jedna z nich. Popatrzyłem na zegarek. Na powierzchni Beltane zapewne zapadł już zmrok, chociaż tutaj nie miało znaczenia, czy jest dzień, czy noc. Sprawdziłem, że wszystkie budynki mają urządzenia do ogrzewania powietrza. Wszystkie funkcjonowały znakomicie. Uznałem, że natrafiłem oto na lepsze schronienie, niż mogłem się spodziewać.

Rama, wyrwana z łóżka, okazała się trudniejszym bagażem, niż przypuszczałem. Poza tym, nie znalazłem żadnej liny, która posłużyłaby do przywiązania do niej Lugarda i opuszczania go w dół podczas pokonywania schodów, złożonych ze skalnych półek. Zabrałem na wszelki wypadek kilka prześcieradeł; być może da się je podrzeć na pasy, które zastąpią liny.

Wspinaczka w górę kosztowała mnie tyle sił, że, gdy wreszcie dotarłem na najwyższą półkę, oddychałem z ogromnym trudem. Moje nogi buntowały się przed dalszym marszem, jednak zdawałem sobie sprawę, że nie czas teraz na odpoczynek. Powoli ruszyłem w kierunku czekających na mnie Wędrowców.

Ramię ciągnąłem za sobą, co chwilę zmieniając rękę. Podskakiwała na skałach, objęła się o ściany, co wywoływało taki hałas, że wkrótce rozbolała mnie głowa. Spieszyłem się, a jednak co jakiś czas musiałem przystawać i rozprostowywać palce.

Stanowczo zbyt długo trwało, zanim wreszcie wyszedłem z bocznego tunelu i, minąwszy ostatni zakręt, ujrzałem przed sobą światło lampy. Ujrzałem przed sobą jakiś cień i po chwili promienie mojej latarki padły na Thada. Przypatrywał mi się przez chwilę z niedowierzaniem, po czym, od razu prawidłowo oceniwszy sytuację, chwycił za ramię. Ręce bolały mnie tak bardzo, że sam ją puściłem, pozwalając mu ciągnąć ją na ostatnim odcinku. Powoli ruszyłem za nim potykając się i wtedy dopiero

zrozumiałem, jak bardzo jestem zmęczony.

— Jak sytuacja? — rzucił Thad przez ramię.

— W porządku — odparłem z trudem. — A co z Lugardem?

— Wciąż żyje.

Kazałem mu powtórzyć, gdyż nie uwierzyłem. Gdy jednak dotarło do mnie, że ciężko ranny Lugard mimo wszystko nie umarł, odżyła we mnie nadzieja; jeśli tylko uda nam się przetransportować go do schronu, znajdziemy środki medyczne, które pozwolą mu odzyskać zdrowie.

Gdy dotarliśmy do Wędrowców, ciężko opadłem na kolana. Popatrzyłem na Lugarda. Annet szczelnie opatuliła go kocem, pozostawiając odkrytą jedynie twarz.

— Przywiążcie go do ramy — powiedziałem. — A potem połóżcie na wózek. Będziemy musieli przetransportować go do bazy, którą dawno temu założyli ludzie z Bezpieczeństwa. Baza jest bardzo wygodna, są tam nawet domy...

— Domy? — powtórzyła Annet jak echo. Jednocześnie wyciągnęła w moim kierunku kubek z ciepłą zupą. Jej zapach był tak wspaniały, że natychmiast sięgnąłem po nią ręką. I wypuściłbym kubek, gdyby Annet nie przytrzymała go, tak zdrętwiałe były moje palce. Przyłożyła naczynie do moich ust, a ja piłem ożywczy płyn. Jego ciepło i witaminy w nim zawarte natychmiast zaczęły odpędzać ode mnie zmęczenie.

— W domach znajdują się różne instalacje komunikacyjne i wojenne. Ale jest też jeden blok mieszkalny — powiedziałem w przerwach pomiędzy kolejnymi łykami. — Możemy tam na razie się zatrzymać.

Annet popatrzyła na Lugarda.

— Wciąż jest nieprzytomny...

— Tym lepiej dla niego — odparłem. Taka była bowiem prawda. Musiał przebyć przecież bardzo uciążliwą drogę. Wolałem nie wyobrażać sobie, jaką byłaby dla niego torturą, gdyby przez cały czas był przytomny. Jednak nie mieliśmy wyboru. Pozostanie na miejscu oznaczałoby dla niego nieuniknioną śmierć, natomiast w doskonale wyposażonym schronie miał jeszcze jakąś szansę. Poza tym, wciąż groziły nam kolejne wstrząsy, chociaż Annet trochę uspokoiła mnie, mówiąc, że podczas mojej nieobecności nic groźnego się nie wydarzyło.

Z najwyższą ostrożnością ułożyliśmy Lugarda, opatulone go w koce, na ramie, po czym przywiązaliśmy go do niej pasami, które zrobiliśmy z prześcieradeł. W ten sposób sprawiliśmy, że przez cały czas mógł spoczywać w miarę nieruchomo.

Wszystkie zapasy, z wyjątkiem tego, co pomieściło się w naszych małych plecakach, złożyliśmy pod ścianą. Ramę z Lugardem umieściliśmy na wózku.

Wreszcie ruszyliśmy w drogę. Annet szła razem z dziećmi na czele, a dopiero za nimi jechał wózek, popychany i eskortowany przeze mnie i Thada. Gytha oświetlała lampą drogę przed wózkiem, dzięki czemu mogliśmy prowadzić go w miarę płynnie. Zdawałem sobie sprawę, że stan Lugarda może pogorszyć najmniejszy nawet wstrząs.

Annet co jakiś czas podchodziła do żołnierza i oglądała jego twarz. Wszystkie znaki świadczyły, że wciąż jest nieprzytomny. Miałem nadzieję, że tak jest naprawdę. Wreszcie dotarliśmy do rozgałęzienia.

— Musimy wyjść na powierzchnię — powiedziała Annet niespodziewanie. — On potrzebuje pomocy medycznej. Doktor Symonz w porcie...

Jeżeli wciąż istnieje doktor Symonz i port, pomyślałem. Annet albo uparcie wierzyła, że Lugard nie miał racji i Beltane nie została zniszczona, albo pragnęła podtrzymywać tę wiarę w innych dzieciach. Nie miałem zamiaru zastanawiać się teraz, co nią powoduje. Zbyt przejęty byłem dążeniem do schronienia naszej grupy w jedynym w tej chwili naprawdę bezpiecznym miejscu.

— Patrzcie! — zawołał nagle Emrys, wskazując na resztki po pryszczorogu. — Co to takiego?

— Pryszczoróg, głuptasie — odpowiedziała mu Gytha. — Pewnie zabłądził tutaj i zdechł. Ale skoro dotarł aż tutaj, pewnie gdzieś niedaleko jest woda...

Rozumowała podobnie jak ja.

— Woda jest niżej — powiedziałem. — Doprowadzają ją rury.

Jednak ta woda musiała przecież skądś pochodzić. A rury mogły być najlepszym drogowskazem, jeżeli kiedyś chcieliśmy wydostać się na powierzchnię planety.

Dotarliśmy wreszcie do skalnych schodów i Gytha poświeciła lampą w dół, by zorientować się, co nas jeszcze czeka. Usłyszałem pełen przerażenia jęk Annet.

— Przecież my go nigdy tam bezpiecznie nie spuścimy!

— Musimy — odparłem. Zresztą wszyscy dobrze wiedzieliśmy, że nie mamy innego wyjścia.

Patrząc w dół żałowałem, że nie mamy lin. Zacząłem zastanawiać się, w jaki sposób opuścić Lugarda do schronu, jednak im dłużej o tym myślałem, tym większą miałem w głowie pustkę. Z rozmyślań wyrwał mnie niespodziewanie głos Thada:

— Emrys, Sabian, rozwińcie to, co znaleźliśmy.

Na jego polecenie dwóch młodszych chłopców wydobyło spod swych tunik kilka szerokich i długich brezentowych pasów, używanych do mocowania ciężkich pakunków podczas transportu. Każdy pas z obu stron zakończony był mocnym stalowym hakiem.

— Znaleźliśmy je w narzędziach Lugarda. Już je chcieliśmy wyrzucić — mówił Thad — ale... Zdaje się, że to jest to, czego teraz potrzebujemy.

Nie było wątpliwości, że nic lepszego nam nie trzeba. Radość wprost odebrała mi mowę, dlatego jedynie skinąłem głową. Mieliśmy teraz wszelkie możliwości, żeby po kolei, spokojnie opuszczać Lugarda z jednej półki na drugą. Jedyne problem tkwił w tym, czy wystarczy nam sił.

— Zejdiesz pierwsza z dziećmi — powiedziałem do Annet. — Thad, Emrys, Sabian i ja będziemy opuszczać ramę z Lugardem. Wasze zadanie będzie polegało na przechwytywaniu jej i łagodnym układaniu na każdej kolejnej półce. Gdybyśmy ją opuścili lub gdyby ktokolwiek z nas spadał, usuwajcie się, nie próbujcie łapać, bo może to się jedynie źle dla was skończyć.

Wiedziałem, że zadanie, które mamy wykonać, jest niebezpieczne dla wszystkich. A jednak — który już raz podczas tego długiego dnia powtarzałem sobie to samo — nie mieliśmy innego wyjścia.

Patrzyłem w milczeniu, jak Gytha opuszcza się w dół, eskortowana przez Annet. Zejście na niższą półkę nie sprawiło jej wielkiego wysiłku, ja pamiętałem jednak, że to dopiero pierwszy stopień. Znalazłszy się na nim, odebrała od Annet lampę i ustawiła ją obok siebie, by następne dzieci dokładnie wiedziały, gdzie jest ich cel. Następnie odbierała je z góry, jedno za drugim, po kolei Prithę, ostrzegając ją, by nie patrzyła w dół, jeżeli ma lęk wysokości, Iforsa, Dinana i Dagny. Gdy w pewnej chwili poślizgnęła się noga dziewczynki, zadrzałem, i to bynajmniej nie z zimna. Na końcu zeszła Annet. Teraz dopiero przysła kolej na Lugarda i na nas.

— Jak sobie z nim poradzimy? — chciał wiedzieć Thad. Widziałem tylko jeden sposób, może nie najlepszy, ale chyba jedyny możliwy do zrealizowania.

— Musimy przymocować liny do jednego brzegu ramy. Trzech z nas będzie ją opuszczało, a czwarty będzie od dołu uważał, żeby jej powierzchnia przez cały czas trzymała poziom.

Thad pokiwał głową.

— Sabian zejdzie na dół.

Sabian był najmłodszy i najsłabszy z nas czterech. Funkcja, którą miałby sprawować, wymagała najmniej siły. Popatrzyłem jednak na niego pytającym wzrokiem.

— Dasz sobie radę?

— Nie wiem — odpowiedział szczerze. — Nie odpowiem ci, dopóki nie spróbuję.

Nie czekając na moją reakcję, opuścił się szybko na niższą półkę, pomiędzy dziewczynki i najmłodsze dzieci.

Zaczepiliśmy haki o ramę i sprawdziliśmy umocowanie. Wszystko było w porządku. Oczekałem jeszcze chwilę, po czym głęboko westchnąłem i przystąpiłem do tego, co wydawało mi się wówczas najtrudniejszym zadaniem w moim życiu.

Wędrówka z jednej skalnej półki na drugą trwała ponad dwie godziny. Na każdej z nich odpoczywaliśmy, dokładnie sprawdzaliśmy mocowania haków i upewnialiśmy się, czy nie są przetarte pasy. Pochylaliśmy się też nad Lugardem, chcąc mieć pewność, że wciąż mamy do czynienia z żywym człowiekiem. Opuściło mnie wszelkie wycucie czasu. Wysięk sprawiał, że przed oczyma miałem jakby mgłę, na mojej twarzy perliły się grube krople potu i w ogóle nie odczuwałem przenikliwego zimna, panującego w grocie. Praca, którą wykonaliśmy, była tak wyczerpująca, że gdy wreszcie pokonaliśmy całą drogę w dół, padłem na ziemię bez ruchu, szybko i gwałtownie oddychając. Pozostali chłopcy nie wyglądali lepiej. Emrys leżał obok ramy, a Thad kucał obok niego. Jedynie Sabian stał na nogach, ale on stracił najmniej siły.

Mimo zmęczenia, usłyszałem radosne okrzyki powitania. Annet pierwsza znalazła się przy mnie. I znów przycisnęła mi do ust kubek z gorącą zupą, znów podtrzymywała go, kiedy piłem, gdyż wiedziała, że nie byłbym w stanie utrzymać go w rękach. Takie porcje, znajdujące się w zestawach podróży, zawierały środki regeneracyjne, wątpiłem jednak, czy tym razem cokolwiek zdoła postawić mnie na nogi.

W końcu jednak wszyscy powstaliśmy i teraz Annet, Gytha, Prima i Ifors zajęli się ramą z Lugardem. Ja nie byłem w stanie im pomóc. Początkowo nie czułem własnych rąk, jednak z każdą upływającą minutą czułem je coraz bardziej, tyle że teraz pulsowały potężnym bólem, wzrastającym z każdą upływającą minutą.

Potykaliśmy się i zataczaliśmy, jednak grotą przed nami rozszerzała się i z każdą chwilą nieuchronnie zbliżaliśmy się do tymczasowego celu naszej podziemnej

wędrówki. Wreszcie ujrzałem światło, wydobywające się przez drzwi z budynków. Pamiętam, jak przekroczyłem próg jednego z nich, rozejrzałem się dookoła tęym wzrokiem i... nie pamiętam już nic więcej.

Kiedy obudziłem się, leżałem na podłodze, a pod moją głową znajdowała się poduszka z łóżka, które rozebrałem, przygotowując ramę dla Lugarda. Bolało mnie całe ciało, nieznośnie pulsujące przenikliwym bólem. Ramiona czułem, jakby wyrwano mi je wcześniej ze stawów. W kręgosłupie odczuwałem takie napięcie, że gdy teraz o tym myślę, dziwię się sobie, w jaki sposób je zniosłem.

Być może wydobyłem z gardła jakiś dźwięk. Ogromnego wysiłku wymagało ode mnie nawet zwykłe przekręcenie głowy. Ujrzałem nad sobą twarz Annet, twarz z szarymi cieniami pod oczyma i o ustach takich, jakich jeszcze nigdy w życiu nie widziałem.

— A więc, obudziłeś się. — Jej głos był ostry, twardy i pełen wyrzutu, jakby miała do mnie pretensje.

Spróbowałem usiąść, ale szybko okazało się, że jest to dla mnie zbyt wielki wysiłek. Annet nie zrobiła nic, żeby mi pomóc, kuciała natomiast nade mną nadašana, zniecierpliwiona, jakbym przez to, że przez długi czas się nie ruszałem, uczynił coś złego.

Z trudem przetarłem rękami twarz i poczułem na dłoniach drobne kamienie. Zamrugalem oczyma.

— A Lugard? — zapytałem.

— Nie żyje — odparła głucho.

Na dźwięk tych słów chyba rozzłościłem się. Jak to? To tak ogromny wysiłek poszedł na mamę? Lugard ośmielił się odejść, po tym, kiedy zrobiliśmy tak wiele, żeby zachować go wśród żywych? Po tej myśli przyszła następna: co teraz pocniemy, bez Lugarda? Dopóki jedynym problemem było przetransportowanie go w bezpieczne miejsce, nie wypatrywałem dalej w przyszłość. Gdy dotarliśmy wreszcie do tej groty, odetchnąłem z ulgą, jakby najtrudniejsza rzecz była już za mną. A przecież prawda wyglądała zupełnie inaczej.

Jakoś udało mi się powstać na nogi. Thad leżał na łóżku po mojej lewej stronie. Na następnym zauważyłem dwoje bliźniąt. Z przedziału kuchennego dotarł do mnie szmer głosów.

— Vere, obudziłeś się!

Powoli odwróciłem głowę. Odnosiłem wrażenie, że jeśli wykonam

jakikolwiek gwałtowny ruch, rozpadnę się na kawałki. Ujrzałem Gythę. Złapała mnie za ramię.

— Chodź, właśnie przygotowaliśmy kolację. Spałeś prawie przez cały dzień.

Na jej uścisk zareagowałem głośnym jękiem. Usłyszała go Annet, bo natychmiast wybiegła z kuchni i ujrzawszy mnie, podeszła, żeby pomóc mi iść.

— Mamy tu dużo jedzenia — powiedziała radośnie. — Zapraszam na ucztę, z doskonałej kuchni i od najlepszej kucharki.

Być może zapachy z tej kuchni nie były tak wspaniałe jak w Kynvet, jednak w tej chwili nie potrzeba mi było nic więcej, żeby uświadomić sobie, jak strasznie jestem głodny.

Rozdział siódmy

Musiałem położyć oba łokcie na stole, by moje ręce przestały drżeć. W przeciwnym wypadku nie dałbym rady unieść do ust kubka z parującą kawą. Kiedy pierwsze krople gorącego płynu wpłynęły do mojego gardła, zacząłem budzić się do życia. Podniósłszy wzrok ujrzałem Annet siedzącą przy stole naprzeciwko mnie. Jej dłonie leżały na stole, a ona sama, przyjąwszy sztywną pozycję, wpatrywała się we mnie z napięciem. W miarę jak odzyskiwałem zdolność do logicznego rozumowania, coraz wyraźniejszy stawał się dla mnie powód jej niepokoju. Niespodziewanie odezwała się do mnie:

— On oszalał. Z całą pewnością, oszalał.

— Czująś przecież wstrząsy. — Postanowiłem postępować w taki sposób, by na próżno nie robiła sobie nadziei. Widziałem przecież, jak rozmawiał w Butte z dwoma ludźmi ze statku i wierzyłem, że to, co podsłuchał w pokoju dowodzenia, wystarczyło mu, by dojść do wniosku, że zagrożenie jest śmiertelnie poważne. Dzięki jego natychmiastowemu działaniu, ocaliliśmy życie. Dlatego nie mogłem uważać Lugarda za szaleńca; wręcz przeciwnie, okazał się najtrzeźwiej myślącym i najrozsądniejszym człowiekiem na całej planecie. Teraz jednak...

— Czy odzyskał przytomność, zanim... zanim odszedł?

Potrząsnęła głową.

— Ciężko, z trudem oddychał. A potem, w jednej chwili, wszystko się urwało. Vere, co teraz? Dokąd pójdziemy, skoro nie możemy iść tam, skąd przyszliśmy?

Odstawiłem kubek, żeby wyciągnąć mapę. Rozłożyłem ją na stole.

Przesunąłem palcem po całej trasie, jaką dotąd prze byliśmy pod ziemią. Z wielkiej groty, w której znajdowaliśmy się w tej chwili, prowadziły trzy wyjścia. Dwa z nich z całą pewnością prowadziły na powierzchnię. Przypomniałem sobie jednak słowa Lugarda, że cała sekcja została zamknięta przez Bezpieczeństwo w czasach, kiedy funkcjonował jeszcze garnizon w Butte Hold. Wejście, dzięki któremu znaleźliśmy się pod ziemią, otworzył ciężko pracując i zapewne nie miał dotąd dość czasu, by otworzyć pozostałe dwa, nawet jeżeli zamierzał kiedyś to uczynić.

Nie było sensu nastawiać się na najgorsze, zanim nie przekonaliśmy się, że to najgorsze jest rzeczywistością. Do takiego wniosku doszliśmy teraz z Annet. Zaczęła mnie namawiać, żebyśmy wszyscy jak najszybciej ruszyli w dalszą drogę.

Ja jednak nie chciałem narażać dzieci na niepotrzebne trudy, skoro mogły się one okazać daremne. W końcu ustaliliśmy, że najpierw ja sam, posługując się mapą, sprawdzę oba wyjścia z podziemi.

Przed wyruszeniem w drogę czekał mnie jeszcze jeden obowiązek, i to bardzo trudny. Należało pochować kapitana.

Nikt nie powinien odczuwać pretensji wobec zmarłych, ja jednak wyczuwałem, że Annet traktuje Lugarda jak szaleńca, którego nieuzasadnione obawy wciągnęły nas w katastrofę. Oczywiście, nie życzyła mu śmierci, a jednak nie uroniła nad nim ani jednej łzy. Bez słowa sprzeciwu pomogła mi zawinąć jego ciało w pledy, które znaleźliśmy w jednym ze schronów.

Podczas tej czynności z fałdów tuniki kapitana wysunęło się coś, co pozwoliło mu przetrwać tak wiele podczas tej podróży w mroku.

Był to kawałek fujarki, na której wygrywał swoje magiczne melodie. Zapewne w chwili, kiedy przez jego ciało przetoczyła się ciężka skała, fujarka złamała się. Z ciężkim westchnieniem poszukałem przy weteranie dalszych jej fragmentów. Gdy je zebrałem, przez chwilę przyglądałem się zniszczonemu instrumentowi, po czym wsunąłem go do jednej z kieszeni zmarłego. Następnie wszyscy, z wyjątkiem Dagny, wciąż śpiącej pod wpływem dużej ilości środków uspokajających, poprowadziliśmy mały kondukt żałobny. Nie mogliśmy wykopać Lugardowi grobu w twardej skale, dlatego wsunęliśmy jego ciało w skalną szczelinę, a potem zakryliśmy ją kamieniami i odłamkami skał. Chciałem znaleźć laser, który stopiłby kamienie i uczynił miejsce ostatecznego spoczynku dzielnego żołnierza niedostępnym dla nikogo, jednak mimo tylu zgromadzonych w schronie materiałów, nie było tu żadnej broni. Mieliśmy ze sobą jedynie trzy oszałamiacze: Annet, Thada i mój własny. Gdy odchodziliśmy od grobu, ujrzałem łzy na twarzy Gythy.

— Szkoda, że już nigdy nie zagra nam na swojej fujarce — powiedziała do mnie. — To był taki... taki delikatny człowiek, Vere.

Moim zdaniem słowo „delikatny” nie bardzo pasowało do Grissa Lugarda, pamiętałem jednak, jak odnosił się do dzieci i wiedziałem, że Gytha ocenia go ze swojego punktu widzenia. Ucieszyłem się, że takim właśnie zostanie zapamiętany: jako człowiek delikatny, odważny i pełen wiary, że to, co robi, jest jego misją. Nie miałem wątpliwości, że w ostatnim dniu swojego życia jego jedynym celem było ocalenie nas, mimo że Annet była innego zdania.

Postanowiłem wyruszyć na swój rekonesans dopiero rano, chociaż noc, dzień,

poranek, południe czy wieczór, były w tych podziemiach pojęciami względnymi i oznaczały je tylko godziny na moim zegarku. Tymczasem zrobiliśmy przegląd zapasów jakie mieliśmy do dyspozycji, znajdując nowe koce, żywność w koncentratkach — wystarczającą naprawdę na bardzo długo — i narzędzia: do kopania, wiercenia i tym podobne. Nigdzie nie było żadnej broni, a poza tym urządzenia do łączności w pokoju dowodzenia w dalszym ciągu były głuche, mimo że uparcie i na wszelkie sposoby staraliśmy się je uruchomić. Zapewne Lugard zdażył aktywować tylko część znajdujących się tutaj instalacji, tylko te, które najbardziej były mu potrzebne. W końcu funkcjonowało ogrzewanie, oświetlenie, kuchnia i mieliśmy wodę. Bez tych udogodnień nie mielibyśmy najmniejszej szansy na przeżycie.

Znaleźliśmy trochę ubrań, a właściwie mundurów Bezpieczeństwa. Pasowały jedynie na Annet i na mnie, i to tylko te najmniejsze. Natknęliśmy się też na przenośne lampy, wszystkie sprawne, a także liny.

Wszystkie dzieci z dużą energią przerzucały nasze znaleziska, oddzielając to, co mogło mieć dla nas jakąkolwiek wartość, od tego, co nie mogło przydać się nam do niczego. W pewnej chwili, przebierając w pudełku z konserwami, podniosłem głowę i ujrzałem zamyślonego Thada, stojącego w drzwiach bloku, w którym, jak sądziłem, znajdowały się urządzenia do sterowania naziemnymi pociskami i wszelką inną bronią. Zostawiłem pudełko swojemu losowi i podszedłem do niego.

— O czym myślisz? — zapytałem.

Drgnął, usłyszawszy moje pytanie i odwrócił głowę. Unikał mojego wzroku.

— Tu jest centrum sterowania środkami bojowymi, prawda? — zapytał.

— Chyba tak.

— A więc, gdybyśmy mogli ich użyć, pewnie zdmuchnęlibyśmy tych... tych diabłów z powierzchni Bekane?

— Więc ty wierzysz, że Griss Lugard miał rację? — odpowiedziałem mu pytaniem na pytanie. Mając wciąż do czynienia z upartą kontestacją Annet i jej twierdzeniem, że jesteśmy ofiarami szaleńca, byłem niemal zdziwiony słysząc, że młody Thad podziela mój punkt widzenia.

— Tak. Vere, czy moglibyśmy użyć tej broni?

— Nie. Pociski, które miały być odpalane z tej groty, zostały dawno temu zdemontowane, albo w ogóle nigdy ich nie zainstalowano. Kiedy zamykano tę bazę, z pewnością nie pozostawiono jej najważniejszego elementu swemu własnemu losowi.

Poza tym, nawet gdyby ten system był sprawny, przecież nie byłoby nam wolno strzelać na ślepo.

— Zapewne. Ale, Vere, jeżeli ostatecznie przekonamy się, że nasza planeta została podbita przez najeźdźców? Co wtedy?

Głośno wypowiedział pytanie, które nurtowało mnie już od dłuższego czasu. Lugard, sądząc po przygotowaniach, jakie zdążył przedsięwziąć, zamierzał spędzić tu z nami dłuższy czas. Zdawałem sobie jednak sprawę, że Annet, o ile nie zostanie przekonana, że większe niebezpieczeństwo grozi nam na powierzchni, niż w podziemiach, nigdy na coś takiego się nie zgodzi. Miała dość silnej woli i determinacji, by, o ile ja nie chciałbym udać się na poszukiwanie drogi wyjścia z podziemi, zrobić to osobiście. Wiedziałem więc, że nie mam wyboru, ale byłem też skłonny do najwyższej ostrożności, by nie wpaść ślepo w jakąś z pułapek, przed którymi chroniąc nas, Lugard oddał życie.

— Będziemy żyli jak harcerze. Nikt raczej nie będzie interesował się pustkowiami w krainie lawy — zacząłem mu odpowiadać, jednak zaraz zastanowiłem się nad własnymi słowami. Czy plotki o skarbach Prekursora zainteresują ludzi ze statku, jeżeli będą sprawować absolutną władzę na Beltane?

A jednak, właśnie kraina lawy doskonale nadawała się na kryjówkę. Tym bardziej, gdy będziemy znali drogę, prowadzącą do tej bazy, dającą w każdej chwili schronienie...

— Czy będziemy prowadzić wojnę partyzancką? — zapytał Thad.

— Wojnę? Wędrowcy? Bądź rozsądny, Thad. Jeżeli będzie taka potrzeba, możemy żyć w ukryciu, nawet przez wiele lat. A na razie nie wiemy jeszcze, co się właściwie stało, więc choćby z tego powodu mówienie o jakiegokolwiek wojnie nie ma sensu.

Wiedziałem, że moje słowa go nie usatysfakcjonowały, jednak na razie nie musiałem obawiać się z jego strony żadnych nieprzemyślanych działań. Upewniłem się jeszcze co do tego, apelując do jego poczucia odpowiedzialności i czyniąc go dowódcą całej grupy podczas mojej nieobecności. Resztę okresu wyznaczonego przez nasze zegarki jako „noc” przespaliśmy. Dopiero o ósmej nad ranem następnego dnia, trzeciego poranka naszej wędrówki przez podziemia, wyruszyłem w moją misję. Żałowałem, że nie mam ze sobą ręcznej radiostacji, która pomogłaby mi utrzymywać łączność z bazą, jednak tego typu urządzeń brakowało tak samo jak broni. Prawdę mówiąc, w skrzynkach z zapasami znajdowały się dziwne braki i podejrzewałem, że

to Lugard trochę je przetrzebił. Czy radiostacji nie było dlatego, żebyśmy nie mogli nadać żadnego sygnału na powierzchnię i w ten sposób ściągnąć na siebie uwagę tych, których w tej chwili powinniśmy śmiertelnie się obawiać?

Skopiowałem mapę na kawałku piasty, zostawiając kopię Annet. Wymogłem też na niej obietnicę, że nie podejmie żadnych gwałtownych przedsięwzięć, dopóki ja nie powrócę i na wszelki wypadek na osobności poprosiłem Thada, aby pilnował jej realizacji. Następnie, zabierając ze sobą tylko lekki plecak, dziarskim krokiem ruszyłem w swój ą wędrowkę. Gdy wyszedłem z kręgu światła, roztaczającego się wokół obozu, odwróciłem się ostatni raz, by popatrzeć na tych, którzy mieli oczekiwać na mój powrót. Ktoś z nich, chyba to była Gytha, pomachał mi jeszcze na pożegnanie, a ja odpowiedziałem podobnym gestem.

Na początek wybrałem korytarz odchodzący w lewą stronę, ponieważ z dwóch możliwych był szerszy. Mimo to w porównaniu z naszym schronem był jedynie wąskim tunelem. Już wkrótce wstąpiła we mnie przemożna wiara, że dokonałem właściwego wyboru, bowiem promienie mojej latarki natrafiły na zadrapania na ścianach, świadczące, że ten właśnie korytarz był poszerzany. Nie opadał w dół jak wszystkie, które przebyliśmy do tej pory, lecz przez cały czas biegł w poziomie. Jednak po godzinie wędrowki dotarłem do zapor, która uniemożliwiła mi dalszą wędrowkę.

Ktoś bardzo umiejętnie wykorzystał laser. Drogę zagradzała mi sterta skał i kamieni, stopionych promieniami laserowymi w wielką, bezkształtną masę w taki sposób, że tunel zakorkowany został raz na zawsze. W masie tej zauważyłem także fragmenty maszyn roboczych, które pozostawiono w zaporze zapewne po to, by mieć dodatkową pewność, iż nigdy nie zostanie ona przebyta.

Z całą pewnością nie zrobił tego Lugard. Z pewnością całą operację przeprowadziło Bezpieczeństwo. Byłem zaskoczony. Dlaczego uczynili to tak starannie? Czyżby mieli do ukrycia jakieś skarby? A może właśnie za tą zaporą ukryli broń?

Zacząłem nad tym się zastanawiać. W końcu, Thad mógł mieć rację. Dysponując odpowiednią bronią, mielibyśmy szansę, by wyprzeć najeźdźców z Beltane. Tyle, że nie mieliśmy pojęcia, jak jej używać, a wszelkie eksperymenty mogły skończyć się tragicznie, przede wszystkim dla nas. Nie, walka nie wchodziła w grę. Na razie zadowalałem się myślą, że uczyniono kiedyś wielkie wysiłki, by zamaskować bazę, w której znaleźliśmy schronienie.

Gdyby Lugard żył, z całą pewnością dysponowalibyśmy teraz bronią. Niestety, jej sekret stał się dla nas niedostępny wraz z jego śmiercią. Przez chwilę zastanawiałem się, ile jeszcze tajemnic zabrał ze sobą do grobu.

Obejrzałem stopioną masę fragment po fragmencie, mając nadzieję na odnalezienie jakiegoś słabego jej punktu, być może pod sklepieniem tunelu, gdzie warstwa zapory z całą pewnością była najcieńsza. A jednak dokładne oględziny pozbawiły mnie całkowicie nadziei. Zrezygnowany odwróciłem się, postanowiwszy sprawdzić drugą drogę ewakuacji z podziemi. Kiedy doszedłem do wylotu tunelu, zerknąłem w kierunku naszego schroniska. Było ciemne, gdyż Wędrowcy pozamykali wszystkie drzwi, a budowle nie miały przecież okien. Czy powinienem pójść najpierw do nich i powiedzieć im, że moja pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem? Uznałem, że w ten sposób straciłbym tylko czas. Najlepiej, jeżeli zamelduję o sukcesie, gdy sprawdzę drugą drogę.

Drugi tunel wił się nieskończenie długo; był wąski i miał liczne zakręty. Żadne ślady nie wskazywały, że ktokolwiek kiedyś go używał, zanim nie wyłowilem z mroku, do połowy przysypanego kamieniami, wózka, takiego jak ten, który używał Lugard. Porzucone narzędzie wywoływało wrażenie, jakby ktoś pozbył się go w wielkim pośpiechu. Dlaczego? Czyżbym znajdował się już niedaleko wyjścia? Czyżby właściciel wózka stracił nim zainteresowanie właśnie tutaj z tego powodu, że zbliżał się do powierzchni i już go nie potrzebował?

Mój spokojny chód zamienił się w trucht; zaczęło mi się śpieszyć. Tunel zakręcił po chwili w prawo i zaczął prowadzić w dół, co rozczarowało mnie, choć przecież zdrowy rozsądek nakazywał wątpić, by rozżarzona lava mogła uformować jakikolwiek korytarz pod górę. Po chwili nastąpiło drugie rozczarowanie, gdy natrafiłem na taką samą przeszkodę z kamieni i skał, jak w tunelu poprzednim. Gdy jednak uważniej przyjrzałem się zaporze, zauważyłem, że jest jakby inna, świeższa od poprzedniej. Nie miałem całkowitej pewności, lecz odniosłem wrażenie, że ta zapora nie liczy sobie dziesięciu lat, ale najwyżej kilka dni. Czyżby usypał ją Lugard?

Odniosłem wrażenie, że jest tu trochę cieplej. Po raz pierwszy, od chwili, gdy rozpocząłem tę wędrówkę, nie widziałem szronu na ścianach podziemnego tunelu. Niespodziewanie ujrzałem pod nogami błysk metalu i nachyliłem się. Oto... Oto miałem przed sobą tę samą, albo identyczną broń, którą widziałem w Butte, gdy Lugard rozmawiał z dwoma uciekinierami. Był to miotacz laserowy. Lśnił jak nowy; nie mógł leżeć tu dłużej niż kilka dni.

Podniosłem śmiertelny przyrząd i z drżeniem serca wycelowałem jego lufę w sam szczyt przeszkody spodziewając się, że w ten sposób ją zniszczę. Jednak gdy nacisnąłem guzik spustowy nic się nie stało. Zapewne cała amunicja zużyta została przy budowaniu barykady. W tej chwili byłem już zupełnie pewien, że uczynił to Lugard.

Ale dlaczego? Dlaczego chciał, żebyśmy trwali tutaj, odcięci od zewnętrznego świata? Dlaczego spodziewał się długiego oblężenia? Co aż tak śmiertelnego znajdowało się na powierzchni Beltane, że zastosował najdrastyczniejsze środki, by uniemożliwić wydostanie się tam? Czy chodziło tylko o nasze życie, czy też o jakiś sekret, którego nie mieliśmy prawa poznać? A może o jedno i drugie?

Usiadłem na ziemi, trzymając laser pomiędzy nogami i usiłowałem dojść do jakichś rozsądnych wniosków. Właściwie nie pozostało mi nic innego, jak powrócić do obozu i tam szukać jakichś nowych wskazówek, albo pozostawionych przez Lugarda, albo przez tych, którzy zbudowali tę bazę. Uznałem, że im więcej się dowiem, tym większa będzie szansa nas wszystkich na wyjście z tej matni.

Ale istniało jeszcze trzecie przejście, to, którego nie uważałem za warte sprawdzania. Czy nie powinienem przypadkiem obejrzeć i jego, zanim powrócę? Nie wiedziałem, co powinienem zrobić. W końcu postanowiłem jednak wrócić. Broń pozostawioną przez Lugarda zabrałem ze sobą. Istniała niewielka szansa, że natknę się gdzieś na amunicję do niej i dzięki temu rozwalę przynajmniej jedną z barykad.

Dawno minęło już południe i byłem głodny, dlatego przed rozpoczęciem drogi powrotnej postanowiłem posilić się. Usiadłszy, przez chwilę trwałem ze wzrokiem wbitym w ziemię i wtedy ujrzałem na niewielkiej warstwie kurzu wyraźne ślady...

Wiedziałem już wiele o stworzeniach żyjących na Beltane w Rezerwatach, jednak odciski, jakie zobaczyłem tutaj, nie należały do żadnego spośród mi znanych. Były tak długie jak moje dłonie, co dowodziło, że istota, która je pozostawiła ma spore rozmiary. Każdy z odcisków wyraźnie odbijał trzy palce u stóp, tak cienkie, że odnosiłem wrażenie, iż mogę mieć do czynienia z wędrującym szkieletem. Czyżby jeszcze jakaś inna zagubiona istota, poza przyszczorogiem, którego pozostałości widzieliśmy na początku podziemnej wędrówki, poszukiwała tutaj żywności?

Jej ślady z pewnością powstały już po postawieniu zapory.

Nie zauważyłem ich wcześniej wędrując tunelem, a przecież nie minąłem żadnego miejsca, które mogłoby posłużyć jako kryjówka dla jakiegokolwiek większego stworzenia. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek żałowałem, że dawno

temu zamknięto laboratorium biospeleologiczne i przez to miałem tylko mgliste pojęcie o istotach, bytujących pod ziemią.

Pochyliłem się i przyłożyłem moją dłoń do jednego ze śladów. Kurz był bardzo płytki i nie mogłem na podstawie odcisku ocenić wagi stworzenia, które tu było przede mną.

Jednak odcisk kończyny o trzech palcach nie podobał mi się i raczej po ewentualnym spotkaniu z nieznanym spodziewałem się najgorszego.

Po dokładniejszej oględzinach doszedłem do wniosku, że zwierzę to przybyło tunelem z tego samego kierunku co ja, a jego śladów nie zauważyłem dlatego, że przez cały czas biegły pod samą ścianą. Zapora okazała się przeszkodą nie do przebycia tak samo dla niego jak i dla mnie.

Odechciało mi się jeść. Wyprostowałem się i oświetlając latarką powrotne ślady nieznanego stworzenia, zacząłem wycofywać się w kierunku schronu, w którym pozostawiłem Wędrowców. Siady mogły powstać zaledwie godzinę przed moim wejściem do tego tunelu, ale mogły też mieć już dzień albo tydzień; pewne było tylko to, że powstały po postawieniu przez Lugarda barykady. Ciarki przebiegały mi po plecach na samą myśl, że gdzieś w okolicy naszego obozu przebywa jakiś obcy.

Jeżeli był to drapieżnik, albo po prostu głodny i silny osobnik, mógł w każdej chwili zaatakować. Oszalamiacz był dobrą bronią przeciwko znanym mi zwierzętom, żyjącym na powierzchni Beltane, lecz tutaj, pod ziemią, mógł okazać się zupełnie bezużyteczny. Jednym słowem — mogło zagrażać nam śmiertelne niebezpieczeństwo.

Uzmysłowiwszy to sobie, jeszcze bardziej przyśpieszyłem kroku. Gdybym miał tylko amunicję do miotacza laserowego, który znalazłem... Nie musiałbym wtedy martwić się pierwszym lepszym stworzeniem, zagubionym w podziemiach. Laser, który służył do topienia skał, zdolny był do zniszczenia nawet niedźwiedziobizona — najniebezpieczniejszego drapieżnika, jakiego znałem. Bez amunicji był bezużyteczny.

Ślady wciąż biegły pod ścianą. W duchu cieszyłem się z tego, bo skoro zwierzę nie lubiło otwartej przestrzeni, być może nie zdecydowało się wkroczyć do wielkiej groty, by zaatakować nasz obóz. Wreszcie, wciąż obserwując ślady, dotarłem do szczeliny, która, gdy popatrzyłem na mapę okazała się trzecią drogą, biegnącą ze schronu, tą, którą zamierzałem sprawdzić na końcu. Tutaj zauważyłem, że ślady kilkakrotnie prowadzą do szczeliny i na zewnątrz, co wzmogło moją czujność, ponieważ mogło okazać się, że istota, którą śledzę odwiedza to miejsce regularnie.

Stanąwszy u wylotu trzeciego tunelu, poczułem tak ogromny chłód, że szybko od niego odskoczyłem. Jaka żywa istota była w stanie znieść takie zimno? Jeśli chodzi o mnie, nie byłbym w stanie wejść do tego korytarza nawet, gdybym bardzo chciał. Odetchnąłem z ulgą, gdyż nie musiałem podejmować już żadnej decyzji. Nie miałem w tej chwili do wyboru żadnej drogi, którą mógłbym się poruszać, poza drogą powrotną do obozu. Nie wahając się dłużej ani chwili rozpocząłem powrót.

Drzwi do budynku, w którym znajdowały się urządzenia do sterowania pociskami były do połowy otwarte, a w środku nie paliły się żadne światła. W budynku dowodzenia i łączności było podobnie. Pod wpływem impulsu nie poszedłem od razu do budynku mieszkalnego. W końcu nie określiłem, kiedy wrócę z rekonesansu, a poza tym chciałem, naprawdę, bardzo chciałem znaleźć amunicję do lasera Lugarda. Mogła się ona znajdować tylko w budynku dowodzenia; tylko jego właśnie do tej pory dokładnie nie przeszukałem.

Przystanąłem w pustym pokoju dowódców. W momencie, kiedy zatrzasnąłem za sobą drzwi, zapaliło się światło. Podobny mechanizm funkcjonował w pomieszczeniach mieszkalnych. A jednak w pokoju, z którego miały wychodzić impulsy określające cele pocisków światło nie zapalało się automatycznie. Czy powinienem z tego wnosić, że Lugard miał jakiś powód, by udostępnić nam na czas pobytu tylko część pomieszczeń w tym schronie? Wiedziałem już, że nie działa system łączności i jego uruchomienie jest niemożliwe. Czy podobną blokadę kapitan zastosował także i na inne, wybrane urządzenia. I co było kryterium jego wyboru?

Podszedłem do teczek z dokumentami. Miały założone zamki zabezpieczające, otwierane tylko po dotknięciu dłoni uprawnionej osoby. A jednak, kiedy dotknąłem pierwszej z nich otworzyła się bez trudu, ukazując puste wnętrze. Pusto było także w szafach przeznaczonych na mikrotaśmy i taśmy do czytania. Nie znalazłszy niczego, co mogłoby mnie zainteresować zacząłem badać ściany w poszukiwaniu zagłębień, które mogłyby być następnymi zamkami, otwieranymi na przycisk właściwej dłoni czy palca. Szybko je znalazłem. Jeśli jednak te skrytki zawierały jakieś sekrety, dotarcie do nich było bardzo trudne. Na moje dotknięcie zamki nie reagowały. Być może mógł je otwierać tylko Lugard, a może nawet mój ojciec, skoro nikt nie przebywał tutaj od chwili wybuchu wojny.

Usiadłem przy biurku i położyłem na niej mój miotacz. W biurku znajdowały się trzy szuflady, równie puste jak te czki. Po chwili poszukiwań odkryłem jednak czwartą szufladę, bardzo wąską i dość dobrze zamaskowaną. Cała mieściła się w

wydrążonym, grubym blacie.

Przez długą chwilę nie potrafiłem jej otworzyć. Nie natknąłem się na żaden przycisk, uchwyt, ani klamkę. Nie widząc innego wyjścia, sięgnąłem po długi nóż, który zawsze nosiłem przy bucie. Ostrożnie, by spowodować jak najmniejsze zniszczenie, podważyłem ostrzem zamek szuflady i wyciągnąłem ją na zewnątrz.

Była tak płytka, że mogła się w niej zmieścić tylko jedna warstwa piasty, takiej, na jakiej wykonana była moja mapa. I oto na piaście, którą wyciągnąłem z szuflady, również narysowana była mapa. Położyłem ją na biurku, by porównać z moją własną, którą otrzymałem od Lugarda. Szybko zauważyłem, że obie mapy ukazują te same tereny, jednak ta, którą właśnie znalazłem, prezentuje powierzchnię czterokrotnie większą. Zacząłem uważnie przypatrywać się schematom podziemnych korytarzy. Zauważyłem, że poza zaporami, do których dzisiaj dotarłem, znajdują się strzałki wskazujące na ściany, jakby krawędzie korytarzy skrywały jakieś pomieszczenia, bądź instalacje.

A więc, to tam zgromadzona jest broń? Przy każdej strzałce wypisany był jakiś kod, tak małymi cyframi, że z trudem potrafiłem je odczytać. A jednak, skoro schowki z bronią znajdowały się na terenie dla nas niedostępnym, czy powinienem się nimi przejmować? Raczej powinienem zainteresować się trzecim korytarzem, tym, do którego nie wszedłem z powodu chłodu, który mógłby mnie zabić. Na mapie Lugarda ten trzeci pasaż wyrysowany był zaledwie cienką kreską. Nowa mapa ujawniała dokładniejsze szczegóły.

Według niej tunel prowadził do groty, która mogła być tak duża jak ta, w której znajdował się nasz schron. Mogły to też być dwie groty z szerokim łącznikiem pomiędzy nimi. Wejście do nich oznaczone było dziwnym znakiem, jakby ten, kto rysował mapę, nie wiedział, w jaki sposób do nich się dostać.

Przypomniałem sobie opowieść Lugarda o grocie lodowej, w której znalazł antyczne przedmioty. Chłód docierający ze szczeliny, do której nie odważyłem się wejść, mógł oznaczać, że grota lodowa znajduje się niedaleko. Jednak nigdzie nie było żadnej wskazówki, jak do niej wejść. Najprawdopodobniej dwie groty były starannie zamknięte i zdobycie ich nie wchodziło w grę.

A powrót z podziemi drogą, którą tutaj przyszliśmy oznaczał przyznanie się do porażki, którą od początku przewidywała Annet. Nie potrafiłem sobie wyobrazić powrotnej drogi. Przecież najeżona była ogromnymi niebezpieczeństwami, a szyb, którym opuściliśmy się w dół, na dobrą sprawę nie istniał, a jeśli nawet istniał —

przecież nie było żadnego sposobu, by powrócić nim na powierzchnię.

Złożyłem razem nową i starą mapę, po czym wsunąłem obie do kieszeni tuniki. Dokładne przeszukanie pokoju komunikacyjnego, a potem pomieszczeń mieszkalnych dowódców nie przyniosło nic nowego. Opuszczając jednak ten budynek, wziąłem ze sobą broń, zdecydowany prowadzić poszukiwania tak długo, dopóki nie znajdę amunicji. Niczego nie potrzebowałem w tej chwili tak bardzo, jak amunicji do miotacza laserowego. Nie tylko ja zresztą; skuteczna broń potrzebna była wszystkim Wędrowcom.

Zamykając za sobą drzwi budynku dowodzenia, usłyszałem wołanie:

— Dagny! Dagny! — Rozpaczliwy krzyk obijał się zwielokrotnionym echem o wszystkie ściany. — Dagny! Dinan!

Drzwi budynku mieszkalnego stały otworem, dzięki czemu na zewnątrz pojawił się pas światła. Na wąskim pasku oświetlonej ziemi stała Annet. To ona krzyczała. Po chwili w półmroku ujrzałem Thada i kogoś jeszcze, chyba Gythę, oddalającą się w kierunku skalnych schodów. Błyskawicznie podbiegłem do Annet, w jednej chwili przypomniawszy sobie o świeżych śladach na ziemi i nieznanym niebezpieczeństwie, które mogą one oznaczać.

— Annet, co się dzieje? — zapytałem.

Odwróciła się do mnie i zacisnęła dłonie na moich ramionach.

— Vere! Dzieci... Nie ma ich — powiedziała i znów zaczęła krzyczeć: — Dagny! Dagny! Dinan!

Ktoś zapalił latarkę. Jej promienie zaczęły przesuwać się po ścianach groty, aż wreszcie dotarły do szczeliny, do której biegły tajemnicze ślady.

— Do domu... — tuż przy swoim uchu usłyszałem cicho wypowiedziane słowa. To była Pritha. Popatrzyłem na nią, a ona pokiwała głową, jakby w ten sposób chciała dodatkowo zaakcentować to, co przed chwilą powiedziała. — Dagny zatęskniła za matką, zapragnęła wrócić do domu. Ona nie rozumie, co się stało. Kiedy Annet wyszła po coś do jedzenia, uciekła. Nie zwracaliśmy na nią uwagi, bo spała, albo udawała, że śpi, dlatego udało się jej wymknąć niepostrzeżenie. A Dinan... On nigdy nie pozwoliłby jej nigdzie iść samej.

To była prawda. Tam, dokąd szło jedno z bliźniąt, natychmiast udawało się drugie, choć zdawało się, że to zwykle Dinan częściej decyduje o ich wspólnych drogach. W każdym razie przenigdy nie zgodziłby się, żeby jego siostra poszła gdzieś sama, tym bardziej, że zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakie kryją się w

grotach.

Wciąż myślałem o tajemniczych śladach. W pewnej chwili ścisnąłem rękę Annet i powiedziałem z naciskiem:

— Ucisz się. Sprowadzę ich z powrotem. Oboje.

Popatrzyła na mnie ze złością, jednak przestała krzyżeć.

— Być może nie jesteśmy tu sami — odezwałem się. — Wszyscy musicie pozostać przy schronie i czekać. Na wszelki wypadek trzymajcie w pogotowiu swoje oszałamiacze.

W krąg światła wbiegł Thad, który niespodziewanie wyłonił się z ciemności.

— Zostawili ślady — powiedział. — Vere, czy jest jakaś droga...

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Nie ma żadnej drogi wyjścia. Gdzie są te ślady?

Miałem jeszcze niewielką nadzieję, że nie usłyszę za chwilę najgorszej wieści, jednak nadzieja ta nie spełniła się. Siady bliźniaków prowadziły dokładnie do szczeliny, z której wiało tak okropnym chłodem.

— Annet, Thad! Nie pozwalajcie nikomu wychodzić ze schronu, A to... — podałem Thadowi bezużyteczny miotacz laserowy. — Zabierz to i staraj się znaleźć amunicję. Poza tym, bądź nieufny wobec wszystkiego, co będzie zbliżało się do schronu, nie dając sygnałów świetlnych.

Thad pokiwał głową. Nie zadawał żadnych pytań. Annet miała już jakieś słowa na końcu języka, jednak uprzedziłem ją:

— Do środka.

— A ty, dokąd znów idziesz?

— Za nimi. — Zdążyłem już oddalić się kilka kroków w kierunku szczeliny.

— Aha — dodałem ostatnie ostrzeżenie — miejcie latarkę wciąż zapaloną i świećcie w tym kierunku.

Nie wiedziałem, czy światło odstraszy ewentualnego napastnika. Byłem jednak pewien, że pozwoli odpowiednio wcześniej zorientować się o jego obecności.

Rozdział ósmy

Szybko znalazłem ślady, które widział Thad. Odciski małych butów nie pozostawiały wątpliwości, do kogo należą. Przy szczelinie odcisnięto je dopiero po tym, jak ja od niej odszedłem, zaniechawszy dalszego śledzenia kroków nieznanego stworzenia. Gdy ten fakt do mnie dotarł, zacisnąłem mocno pięści. Gdybym od razu powrócił do bloku mieszkalnego, zamiast prowadzić poszukiwania w budynku dowodzenia, pewnie zapobiegłbym tej ucieczce. Westchnąłem ciężko. Nie było teraz czasu na gdybania.

Przez kilka chwil zastanawiałem się, czy włączyć latarkę. Potrzebowałem światła, mimo że mogło ono zwrócić uwagę kogoś niepożądanego. Uznałem, że korzyści ze światła będę miał jednak większe niż problemy i postanowiłem przez cały czas oświetlać sobie drogę.

Chłód z każdą chwilą był coraz bardziej przenikliwy. Ściany tunelu pokryte były kryształkami lodu, wesoło połyskującymi w świetle latarki. Nie potrafiłem zrozumieć, co skłoniło dzieci, by obrać taką ryzykowną i nieprzyjemną trasę. A może, wiedząc, że penetruję pozostałe dwa tunele, chciały po prostu mnie uniknąć?

Lecz przecież takie zachowanie zupełnie nie było podobne do bliźniąt. Byłem skłonny uwierzyć jedynie w to, że po prostu szok, który ogarnął małą Dagny nagle pchnął tę spokojną i rozważną dziewczynkę do czegoś nierozsądnego. Przypomniałem sobie jej rozszerzone oczy i strach, jaki się w nich czaił, kiedy tylko nie spała.

Brnąc do przodu, nasłuchiwałem, czy nie dotrą do mnie przypadkiem głosy dzieci, bo przecież nie mogły być daleko przede mną. Przyznam też, że przez cały czas moje serce biło jak oszalałe; to był chyba strach przed spotkaniem z czymś nieznanym i groźnym.

Znalazłszy się w tunelu ujrzałem ślady świadczące, że droga ta używana była przez ludzi. Zadrapania na ścianie świadczyły, że przejechał tędy również wózek transportowy. W miarę jak robiło się chłodniej tunel opadał coraz bardziej w dół. Mimo że słuch miałem wytężony, słyszałem jedynie odgłosy moich własnych butów, stąpających po lodowato zimnym gruncie. Uważnie patrzyłem przed siebie, podążając za promieniami latarki, jednak nic istotnego dla mojej misji nie rzucało mi się w oczy. Ogłuszacz trzymałem w pogotowiu przez cały czas w drugiej ręce. Nastawiłem go na największą moc, chociaż zdawałem sobie sprawę, że jeżeli go użyję, bardzo szybko

wyczerpie się amunicja. Spróbowałem przypomnieć sobie, ile posiadam zapasowych ładunków. Dwa miałem zatknięte za pasek i dodatkowo jeszcze kilka w plecaku, ale przecież plecak pozostawiłem w schronie. Ile ładunków miały dzieci? Powinienem był to sprawdzić poprzedniej nocy, kiedy robiliśmy przegląd wszystkich zapasów, jednak coś tak oczywistego wyleciało mi akurat z głowy. Wtedy najważniejsze wydawały się zapasy żywności i woda.

Popatrzyłem na zegarek. Była druga po południu, a więc słońce nad Beltane wciąż świeciło, wciąż był dzień. Ale takie myśli tutaj, w grotach, nie miały sensu. Powróciłem do troski o dzieci. Z pewnością znajdowały się niezbyt daleko przede mną. Nie zaryzykowałem jednak przyśpieszenia kroku na nierównej i śliskiej powierzchni. Gdybym skręcił sobie teraz kostkę, oznaczałoby to katastrofę dla nas wszystkich. Zastanawiałem się, czy dzieci w pewnej chwili nie postanowią same, by wracać do schronu, mając dość nieprzeniknionych ciemności i przeraźliwego chłodu. Chciałem zawołać je głośno po imieniu lecz świadomość, że poza naszą trójką może przebywać tutaj ktoś jeszcze, nakazywała mi milczenie. Tunel ten był jakby mniejszą repliką drogi, którą przebyliśmy przed dotarciem do schroniska, bowiem kończył się nagłym spadem. Tym razem nie były to schody lecz płaska, stroma powierzchnia, do której przymocowano jednak uchwyty do rąk. Byłem zaskoczony, że bliźniaki zdołały pokonać tę przeszkodę. Skoro jednak im się udało, nie powinna ona stanowić trudności dla mnie.

I wtedy usłyszałem zduszone, ale wystarczająco wyraźne, żałosne krzyki dobiegające jakby spod moich stóp. I ujrzałem słaby blask, który mógł jedynie być światłem odległej latarki. Uradowany, położyłem się na stromej powierzchni i pomagając sobie rękami i nogami, zacząłem spuszczać się w dół. Było to niezwykle trudne zadanie. W jaki sposób pokonały tę drogę bliźniaki? — przemknęło mi przez głowę.

Szczęśliwie droga w dół nie była tak długa jak ta, która wcześniej prowadziła po kamiennych stopniach. W jej połowie przekręciłem się na plecy, postanawiając ześlizgnąć się do samego dołu, chociaż nie spodziewałem się miękkiego lądowania. Jednak gdybym nadal czepiał się dłońmi wszelkich wyłomów, ułatwiających powolne schodzenie, z pewnością straciłbym czucie w rękach. Gdy zatrzymałem się na płaskiej powierzchni, szybko wstałem na nogi. Okazało się, że nie ucierpiałem wiele, trochę porwaną miałem jedynie tunikę.

— Dagny! Dinan! — ośmieliłem się teraz zawołać.

Odpowiedź usłyszałem już po chwili, chociaż głosy bliźniaków wcale nie docierały stamtąd, skąd docierało do mnie światło.

— Vere, proszę... Vere, chodź tutaj i zabierz nas... — To był Dinan.

— Gdzie jesteście? — Wciąż wpatrywałem się w światło, nie mogąc uwierzyć, że nie tam znajdują się poszukiwane przeze mnie dzieci.

— Tutaj!

A więc trochę bardziej w lewo i znacznie wyżej, o ile nie myliło mnie echo. Ruszyłem przez osypisko w tamtym kierunku.

— Vere... — znów usłyszałem głos Dinana, tym razem bardzo słaby. — Uważaj! Uważaj na to! Ten stwór nienawidzi światła. Uciekł, kiedy rzuciłem w niego latarką, ale może wrócić. Vere, zabierz nas stąd.

Skierowałem światło latarki tam, skąd dobiegał głos i wtedy ich zobaczyłem. Znajdowali się na swego rodzaju półce skalnej, jednak bardzo płytkiej. Dagny przyciskała się plecami do skały, Dinan stał przed nią, jakby zamierzał chronić ją przed wszelkim niebezpieczeństwem. Dagny płakała, mimo że w jej oczach nie było ani śladu łez. Jedyne z jej gardła wydobywało się ciche zawodzenie, a z kącików ust płynęły stróżki śliny. Jej widok przeraził mnie; nigdy dotąd takiej jej nie widziałem.

Na twarzy Dinana także widać było strach, jednak on przynajmniej reagował na zewnętrzne bodźce, gdy tymczasem Dagny cała zamknęła się w sobie. Wyciągnął do mnie ręce z cichym westchnieniem ulgi, jakby już sama moja obecność oznaczała dla niego, że jest bezpieczny.

Półka, na której stały bliźniaki była zbyt mała, abym i ja mógł na niej się zmieścić. A ściągnięcie na dół Dagny, o ile nie zechce mi w tym pomóc i nie obudzi się z koszmaru, w który wpędził ją strach, mogło okazać się poważnym problemem.

— Dagny — dzięki małemu wyłomowi w ścianie mogłem wspiąć się na tyle wysoko, by dotknąć jej drobnych rączek. Były chłodne, nie zareagowały na mój dotyk, jakby dziewczynka w ogóle nie zdała sobie sprawy z mojej obecności.

Wciąż patrzyła tępo przed siebie, a jej ciche zawodzenie nie ustawało.

Widziałem, że w wypadku hysterii ostre uderzenie w twarz może jej ofiarę wyrwać ze stanu otepienia. Byłem jednak pewien, że to, co przytrafiło się Dagny, to nie tylko histeria lecz coś znacznie gorszego.

— Od jak dawna ona jest w takim stanie? — zapytałem Dinana. Bez wątpienia nie była taka w czasie całej ucieczki.

— Od momentu, gdy ten stwór próbował nas dopaść. — Jego głos drżał. —

Ona... Ona w ogóle mnie nie słucha, Vere. Po prostu płacze i płacze. Zrób coś, Vere, żeby słuchała nas obu.

— Postaram się, Dinan. Czy możesz zeskoczyć i pomóc mi ściągnąć także ją?

Posłusznie dołączył do mnie, dzięki czemu miałem dość miejsca, by otoczyć ramieniem jego siostrę. Znow nie dała żadnego znaku, że jest świadoma mojej obecności. Obawiałem się, że wkroczyła do świata, do którego żaden z nas nie miał klucza. Tak jak Lugard, potrzebowała profesjonalnej pomocy, którą można było znaleźć jedynie w świecie, od którego znajdowaliśmy się bardzo daleko.

Z trudem, ale udało mi się ściągnąć ją z półki. Padła w moje ramiona zupełnie bezwładna, wciąż cicho łkając i śliniąc się. Pomyślałem, że za chwilę będę musiał zabrać ją w powrotną drogę, wysoko do góry...

— Vere! Słuchaj...

Słyszałem jedynie cichy szloch Dagny. Ale, kiedy Dinan pociągnął mnie za ramię, usłyszałem i to, na co on starał się zwrócić moją uwagę. Usłyszałem jakiś chrobot, który mógł dochodzić spod sterty kamieni w niewielkiej odległości od nas. Trudno mi było to stwierdzić z całą pewnością, gdyż echo sprawiało, że nie można było dokładnie określać kierunku, z którego docierał odgłos.

— Vere! To stwór!

— Co to takiego? — Zaprzagnąłem poznać przynajmniej częściowy opis tego, z czym za chwilę będę miał do czynienia.

— Jest bardzo duży, tak duży jak ty i chodzi na tylnych łapach. Jest gorszy od pryszczoroga, w ogóle nie ma futra i jest zły, zły! — Z każdym słowem głos Dinana drżał coraz bardziej; jeszcze chwila i chłopiec nie będzie w stanie kontrolować swojego strachu.

— Dobrze. Posłuchaj, Dinan. Powiedziałeś, że ten stwór przyszedł po twoją latarkę...

— Nie wiem, Vere, on w ogóle nie ma oczu, żadnych oczu! — Przez jego słowa przemawiało przerażenie. — Ale światło nie spodobało mu się. Kiedy rzuciłem w niego latarkę, odstał od nas. Rzucił się na latarkę, gryzł ją, rzucał nią, a potem sobie poszedł.

Może jego uwagę wzbudziło promieniowanie cieplne? Zapewne stworzenie żyjące w ciągłym mroku nie miało oczu, bo ich nie potrzebowało, ale reagowało na ciepło. Przecież tylko w ten sposób drobnoustroje atakowały w wodzie swe ofiary, wyczuwając emitowane przez nie ciepło. Niektóre można było wydobywać ze

szczelin skalnych, przykładając odkryte dłonie obok ich siedzib, tak natychmiastowa bywała ich reakcja na ciepło. Skoro stworzenie, z którym miałem właśnie do czynienia również reagowało w ten sposób, może pozbędę się go dzięki latarce, tak jak to udało się na krótki czas Dinanowi. Rozważałem takie postępowanie, chociaż obawiałem się trudnej drogi z powrotem, bez światła i z bezradną dziewczynką.

Latarka Dinana wciąż świeciła, chociaż teraz zaczęła mrugać. Nie było w tym nic dziwnego, skoro chłopiec rzucał nią, a nieznany stwór potraktował ją z ogromną agresją. Jego odgłosy, które w tej chwili usłyszeliśmy ponownie, dobiegały właśnie z okolicy latarki.

Nie widziałem sposobu wydostania Dagny z tej groty bez narażenia samego siebie na atak, wobec którego byłem właściwie bezbronny. A takiej sytuacji nie zamierzałem ryzykować. Istniało jednak jeszcze inne wyjście: wyprowadzenie bestii na otwartą przestrzeń i unieszkodliwienie jej przy pomocy oszałamiacza.

Sprawdziłem pasek Dagny, leżącej przy mnie, z szeroko otwartymi oczyma skierowanymi prosto w skalną ścianę. Tak, wciąż miała swoją latarkę. Gdy wyciągałem ją Dagny nie reagowała, bezwładna jak lalka.

— Posłuchaj, Dinan. — Wiele zależało teraz od jego współpracy. Jeżeli miałem pokonać stwora, musiałem zmierzyć się z nim na dnie groty i to jak najdalej od dzieci. Skierowałem światło latarki na skały, w kierunku, który mu siał być kierunkiem naszej ucieczki. Niezbyt wysoko nad moją głową widniała skalna półka, najszersza spośród tych, jakie udało mi się zauważyć podczas opuszczania się do groty, o wiele wygodniejsza niż fragment płaskiej skały, na którym tymczasowe schronienie znalazły dzieci. — Oto, co musimy zrobić. Nie mogę ryzykować wspinania się razem z Dagny, ponieważ jest.. chora, a ta bestia w każdej chwili może nas zaatakować. Dlatego chcę, żebyście oboje poczekali na tej półce. Zostawię wam latarkę. Pilnuj jej jak oka w głowie. Ja będę czekał na dole, z moją własną latarką jako przynętą. Kiedy stwór zaatakuje ją...

— Ale nie masz przecież żadnej broni! Nie masz, na przykład, miotacza laserowego? — Głos Dinana drżał, jednak chłopiec rozumował całkiem jasno.

— Nie, musi mi wystarczyć mój oszałamiacz. Nastawiony jest na pełną moc. Jeżeli będę ostrożny, a z całą pewnością będę, oszałamiacz powinien mi wystarczyć. Unieszkodliwię tego stwora, bo w sytuacji, gdy zdolny jest do ataku, wspinając się w górę, narażalibyśmy się na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ujrzałem, jak Dinan kiwa głową i mocno zaciska dłonie na latarce, którą

wydobyłem z za paska Dagny. Kostki na jego pięściach zrobiły się białe.

Latarka, którą chłopiec rzucił poprzednio nieznanemu stworowi migiała coraz szybciej, a jej światło było coraz słabsze. Nasłuchiwałem, jednak odgłosy mojego przeciwnika umilkły i mogłem mieć tylko nadzieję, że nie oznacza to przygotowań do jakiegoś gwałtownego ataku.

Wysiłek, jaki włożyłem w umieszczenie Dagny na półce, którą wybrałem na tymczasowe schronienie dla dzieci, potwierdził moje obawy, że droga do góry będzie niezwykle ciężka. Nie miałem co marzyć, że udałoby się ją pokonać, mając odsłonięte plecy i będąc w każdej chwili zagrożonym gwałtownym atakiem. Wiedziałem, że nie mam wyjścia; muszę unieszkodliwić stwora, inaczej nigdy nie powrócę z dziećmi do schronu.

Kiedy dzieci były już w miarę bezpieczne, przez chwilę odpoczywałem, równocześnie wydając Dinanowi ostatnie polecenia.

— Zejdź teraz w dół, niedaleko latarki, którą rzuciłeś. Włącz moją i wcisnę ją między skały. Znajdę się pomiędzy wami a bestią. Nie włączajcie swojego światła. To bardzo ważne. Jeżeli ten stwór reaguje na ciepło, zwróci uwagę przede wszystkim na moją latarkę, a wy będziecie bezpieczni.

— Tak, Vere.

Wręczyłem mu pojemnik z wodą i zapasy.

— Daj Dagny trochę wody, jeżeli potrafisz skłonić ją do picia. W tej torbie są racje energetyczne. Sprawdź, czy Dagny będzie jadła. Oboje potrzebujecie energii, żeby przetrwać w tym zimnie. A teraz wszyscy musimy być cicho. Jeżeli przez dłuższy czas niczego nie będziesz słyszał, Dinan, nie przejmuj się. Być może trochę będziemy musieli poczekać na naszego przeciwnika.

Miałem nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo. Zimno panujące w tej grocie było tak straszliwe, że bez wątpienia dzieci nie mogły znieść go w nieskończoność. Doskwierało zresztą i mnie, z każdą chwilą coraz natarczywiej. Obawiałem się, że im dłużej to potrwa, tym słabszy będę w ewentualnej walce.

Okresy ciemności, spowodowane migotaniem latarki Dinana, były coraz dłuższe. Jej blask był słabszy z każdą upływającą minutą. Zbliżyłem się do niej bardzo ostrożnie, powoli; byłem gotów do walki, chociaż wiedziałem, że szansę moje tutaj, pod ziemią, na terenie doskonale znanym przez przeciwnika, są o wiele mniejsze, niż byłoby to na powierzchni planety. Niepokoiła mnie przedłużająca się cisza, a wyobraźnia podsuwała mi obrazy stwora, czającego się w jakiejś skalnej

szczelinie, doskonale zorientowanego w każdym moim ruchu, gotowego w każdej chwili do ataku tak błyskawicznego, że nie zdążyłbym zastosować mojego oszałamiacza. Wsunąłem latarkę między dwie skały, włączyłem ją i szyb ko ukryłem się w ciemności, czekając. Chłód usztywniał mnie, bałem się, że w wymagającym szybkiej reakcji momencie moje ruchy nie będą dość zwinne. Musiałem przez cały czas ruszać się, rozgrzewać, gdyż w przeciwnym razie zapewne bym zamarznął. Nie mogłem obserwować wskazówek na moim zegarku i nieświadomość upływającego czasu stała się kolejną przyczyną mojej udreki.

Żaden dźwięk nie obwieścił zawczasu przybycia stwora, po prostu w pewnej chwili znalazł się przy mnie. Stał, z głową przechyloną lekko na bok, pyskiem skierowanym wprost na latarkę, przygarbiony, zainteresowany jedynie światłem, a może również mną, gdyż znajdowałem się za latarką, dokładnie na wprost niego.

Miał przerażającą szarobiałą skórę. Dinan miał rację — w jego głowie widoczne były dwa małe zagłębienia, które mogły być miejscami na oczy. Oczu jednak nie miał, gdyż pozbawiła go ich wielowiekowa ewolucja. Dziwiłem się, jakim cudem tak wielkie stworzenie mogło znaleźć w tych czarnych czeluściach warunki wystarczające na przeżycie. Zawsze zdawało mi się, że w takich warunkach zdolne do samodzielnego bytowania były jedynie niewielkie istoty, żyjące bardzo krótko. Tymczasem to stworzenie miało wzrost równy mojemu i stało na tylnych nogach. W dodatku nie pozostawiało wątpliwości, że poruszanie się na dwóch nogach jest dla niego codziennością, ponieważ jego przednie kończyny miały wymiary o wiele mniejsze i zdawały się o wiele słabsze. Poza tym, trzymało je bardzo blisko brzucha.

Niesamowitości dodawał mojemu przeciwnikowi wygląd, jakby składał się z samego szkieletu i skóry. Jego ciało zdradzało, że jest w najwyższym stopniu wygłodniały. A jednak poruszał się czujnie, nie przejawiał żadnych objawów osłabienia, zatem musiał to być jego naturalny wygląd.

Jako dwunożny, sprawiał o wiele groźniejsze wrażenie, niż gdyby poruszał się na czterech łapach. Przyzwyczajeni jesteśmy kojarzyć wysoką inteligencję ze zdolnością do poruszania się na dwóch nogach, chociaż takie skojarzenie może być bardzo mylące. Tym razem jednak odnosiłem wrażenie, że nie mam do czynienia z bezmyślną bestią, lecz raczej z czymś, co rządzi tym podziemnym światem tak, jak człowiek rządzi na powierzchni planety.

Nie miałem jednak czasu na rozważania. Pozbawiony wzroku łeb kręcił się na lewo i prawo, jednak bez wątplenia w centrum jego uwagi pozostawała latarka. Stwór

miał długą i wąską czaszkę oraz małe usta o grubych wargach, jakby żywił się jedynie ssąc i żując, a nigdy nie gryząc. Był w każdym razie potworem z najbardziej koszmarnego snu.

Teraz, bez żadnego ostrzeżenia, stwór zaatakował. Spóźniłem się z reakcją sekundę, albo dwie. Być może niesamowity wygląd przeciwnika tak mnie poraził, że straciłem na chwilę czujność. Miało mnie to drogo kosztować. Chwyciłem oszałamiacz i nacisnąwszy jego guzik spustowy, wymierzyłem prosto w głowę potwora, wiedząc, że właśnie łeb jest miejscem najbardziej podatnym na działanie tej broni.

Mimo że oszałamiacz był skuteczny wobec większości żywych istot, teraz jakby nie wywarł żadnego wrażenia na stworze. A ja nawet nie zauważyłem, jak bestia zmieniła kierunek natarcia i teraz nie kierowała się na latarkę, lecz wprost na mnie. A łapy, które dotąd zdawały mi się tak słabe, teraz zamierzyły się na mnie, ukazując długie szpony, gotowe rozerwać mnie na strzępy.

Znów użyłem oszałamiacza celując w łeb bestii, jednak trucizna, która normalnie była w stanie powalić na ziemię o wiele większe istoty, tej nie wyrządziła najmniejszej nawet krzywdy. Stwór natomiast nagle podskoczył i to tak wysoko, że jego tylne łapy znalazły się na wysokości mojej głowy. Myślałem, że zaraz opadnie na ziemię, on jednak wykonał swój skok tylko po to, by znaleźć się nade mną, na skale, pod którą kuciałem. Natychmiast odwrócił się i z góry zamierzył się na mnie przednią łapą. Ślepotą najwyraźniej nie stanowiła dla niego żadnego problemu.

Miałem szczęście, bo ostre szpony nie rozszarpały mi głowy, drąc jedynie tunikę na moim prawym ramieniu i lekko tylko zahaczając o skórę, na której zaraz pojawiły się krwawe pręgi. Zdaje się, że uratowało mnie to, iż półka skalna, na której stał zwierz, była bardzo mała i pochylając się, nie zachował należytej równowagi.

Rzuciłem się w prawo i schowałem za skałą, jednak w tym momencie stwór znalazł się pomiędzy mną a dziećmi. Wiedziałem, że gdy mnie pokona, dobierze się do nich z łatwością. Dlatego musiałem odciągnąć go w przeciwnym kierunku, mimo iż nie miałem pojęcia, jak długo jeszcze będę w stanie prowadzić tę desperacką grę.

Oszalamiacz zdawał się beużyteczną bronią. Dwa potężne strzały w głowę bestii, które oddałem, powinny były go powalić, a w rzeczywistości nie wyrządziły mu nic złego. W tej sytuacji rzuciłem się po latarkę Dinana, wciąż migotającą na ziemi. Nie potrzebowałem jej wcale jako przynęty. Bestia była wściekła i nie pragnęła niczego poza zanurzeniem we mnie swoich szponów. A jednak promienie lampy

jakby były dla niej ważniejsze. Niespodziewanie usiadła na jakiejś skale, dając mi czas na zebranie sił do kolejnego starcia, podczas gdy ona sama, z łbem przekrzywionym pod ostrym kątem, wpatrywała się w blask, którego nie widziała, ale który musiała wyczuwać jakimś innym zmysłem.

Uznałem, że w lodowatym zimnie, w jakim stwór ciągle przebywa, nawet latarka, źródło niewielkiego przecież ciepła, musi stanowić dla niego źródło zainteresowania i niepokoju. Jeżeli tak właśnie jest, to wielka szkoda, że nie dysponuję laserem. Westchnąłem ciężko. Z równym powodzeniem mogłem teraz marzyć o pociskach międzyplanetarnych.

Zacząłem cofać się, jak najdalej od osypiska i jak najdalej od dzieci, a bestia niespodziewanie oderwała się od skały i zaczęła iść powoli w moim kierunku, zachowując się przy tym tak, jakby coś ją ku mnie przywoływało, jakbym grał na fujarce Lugarda. Szła jednak, krok za krokiem, bardzo ostrożnie.

Idąc w ten sposób, krok za krokiem, ciągle tyłem, prowadziłem jak na sznurku swego prześladowcę tak długo, aż w końcu dotarliśmy do bardzo dziwnego miejsca. Ujrzałem stalagmity lodu, wielkie filary, zwisające w dół niczym wielkie zęby, budzące się jakby tysiącami iskier z głębokiego snu, kiedy dotykało je światło latarki. Część podłoża pokryta była przezroczystymi płatami lodu, utworzonymi z heksagonalnych pryzm, stojących wertykalnie, a ich granice wyraźnie widoczne były na powierzchni. Część ścian, które mijaliśmy i które oświetlała moja latarka była jeszcze bardziej krystalicznie czysta, jeszcze bardziej przejrzysta. W innych okolicznościach widoki te zachwyciłyby mnie. Teraz byłem jednak spięty i po prostu bałem się, że na tym wspaniałym lodzie poślizgnę się i nic mnie już nie uratuje przed szponami mojego prześladowcy.

Bestia nie obawiała się zimna. Zapewne znajdowała się w środowisku, w którym spędzała cały żywot, chociaż jej postura przeczyła wszystkiemu, co ludzie wiedzieli o takim życiu. Moje ramię i pierś krwawiły, a chłód przenikał moje ciało przez postrzępioną tunikę. Jeżeli ten marsz potrwa jeszcze trochę, zimno stanie się ostatecznym sprzymierzeńcem bestii. Nie mając nic do stracenia, po raz trzeci uniosłem oszałamiacz i wystrzeliłem, tym razem nie w głowę, lecz w korpus — i to z oszałamiającym rezultatem.

Bestia zadrzała w świetle lampy i uniosła głowę. Nagle z jej paszczy wydobył się dziwaczny dźwięk, któremu natychmiast odpowiedział następny i to, o zgrozo, zza moich pleców!

Przerażony, odwróciłem się, uderzyłem się o jeden z lodowych filarów i natychmiast upadłem. Oszałamiacz wypadł mi z ręki, cudem utrzymałem w dłoni latarkę. Moje ciało przekręciło się na śliskiej nawierzchni, mocno uderzyłem o nią zdrowym ramieniem i nagle ujrzałem pod nią obiekty, które z całą pewnością nie powinny tam się znajdować. W miejscu, na które upadłem, lód niespodziewanie pękł.

Zapewne tkwiły w lodzie już od bardzo dawna, lecz coś lub ktoś niedawno rozpoczął proces wydobywania ich z jego okowów. Widziałem ich cienie i kształty, pokryte lodem. Z pękniętego lodu wystawał natomiast pręt, którego drugi koniec znajdował się we wnętrzu jednego z przedmiotów, lub przynajmniej wbity był w dno dziwnego pojemnika, w którym się on znajdował. Chwyciłem ten pręt mając nadzieję, że okaże się on użyteczną bronią. Był na tyle ciężki, że wydobywszy go z lodu, z trudem obracałem nim jedną ręką.

Tymczasem usłyszałem kolejny odgłos wydany przez bestię, o wiele głośniejszy od poprzednich. Nie traciłem czasu na powstawanie na nogi, podciągnąłem się tylko na kolana i zatoczyłem prętem szerokie koło. Nagle z czubka tego tajemniczego pręta wydobył się skrzący promień i uderzył w jeden z lodowych filarów. Natychmiast usłyszałem syk i ku górze uniósł się obłok pary, a lodowy filar w jednej chwili zamienił się w gotującą wodę. Kolejny raz zatoczyłem prętem szeroki promień, tym razem już jednak wiedziałem, czego chcę. Promień dotarł do szyi mojego prześladowcy i błyskawicznie odciął mu łeb, który z głuchym odgłosem spadł na lód. Bestia jednak nadal stała na nogach i zmierzała w moim kierunku! Dopiero kolejny cios, który wymierzyłem w jej piersi, zatrzymał ją, zachwiał, aż wreszcie przewróciła się i znieruchomiła.

Tymczasem spomiędzy gęstwiny lodowych filarów wytoczył się następny stwór. Wyczuwszy światło, stał się od razu bardzo czujny. Zaczął krążyć wokół mnie, poruszając się ze sprawnością, która mnie przerażała, bowiem moje własne reakcje spowolnione były przez chłód i rany. Nie byłem w stanie celować moim prętem. Po prostu uniosłem go i zamierzyłem się bardzo szeroko, mając nadzieję, że w ten sposób na pewno unieszkodliwię bestię.

Tak właśnie się stało, bestia padła, ale narobiłem przy tym nieopisanego zniszczenia. Lodowe filary zaczęły pękać z hukiem jeden po drugim. Lodowa ściana jakby topiła się. Nagle powstała w niej wielka, czarna dziura i z tej dziury wydobył się przerażający, głośny dźwięk.

Przez chwilę leżałem w miejscu, nie mając dość siły, by powstać na nogi.

Wiedziałem jednak, że długo nie mogę pozostać w tej pozycji. Używając cudownego pręta jako podpórki, z trudem uniosłem się. Niepewnie podszedłem do czarnej dziury, którą wyciął mój pręt i zaświeciłem do środka latarką. Światło trafiło na skrzącą tafłę wody. Pod ziemią płynęła rzeka; wypływała z jakiejś czarnej czeluści i w takiej samej otchłani znikąca.

Zacząłem powoli cofać się do miejsca, w którym pozostawiłem dzieci, świecąc do przodu latarką, aby Dinan wcześniej mógł zorientować się, że to właśnie ja wracam.

— Vere! Vere! — Usłyszałem znajome nawoływanie i oparłem się o skałę, by zastanowić się, co teraz począć. Resztki mojej podartej tuniki przycisnąłem tak mocno do ran, jak tylko mogłem. Krew ciągle sączyła się z nich grubymi strugami. Poza tym dręczyło mnie potworne zimno. Nie, nie byłem w stanie wspinać się do naszego obozu, obarczony bezwładną Dagny, a ze strony drobnego Dinana nie mogłem spodziewać się istotnej pomocy. Nie mogłem też pozostawić tutaj dziewczynki i oddalić się w poszukiwaniu pomocy.

— Dinan...

— Tak, Vere? — zareagował natychmiast.

— Czy sądzisz, że byłbyś w stanie wspinać się po tym osypisku i wrócić do obozu? — zapytałem go. Prosiłem go o bardzo niebezpieczną rzecz. Nie byłem przecież pewien, czy dwa potwory, które zabiłem były jedynymi reprezentantami swojego gatunku w tej okolicy. Nie wiedziałem też, czy chłopiec rzeczywiście będzie w stanie, bez żadnej pomocy, dostać się do obozu. Droga była przecież wąska i ciągle prowadziła pod górę.

— Spróbuję, Vere.

— Musi ci się udać, Dinan.

Nie mogłem okazać mu swojej niepewności. Musiałem być teraz zdecydowany, stanowczy głos powinien dodać chłopcu pewności, niezbędnej do pokonania trudnej drogi.

— Posłuchaj — odezwałem się znów. — Mam tutaj broń. Nie wiem, co to jest, znalazłem to tam, dokąd zaprowadził mnie ten stwór. Wystarczy, że wymierzysz ten pręt w swój cel, mocno ściśniesz pręt palcami i natychmiast wystrzeli niesamowicie gorącym promieniem. Dam ci go. Jeżeli spotkasz na swojej drodze jakiegokolwiek przeciwnika, strzelaj w sam środek jego ciała, jasne?

— Tak, Vere. — W jego głosie usłyszałem niezbędną odrobinę pewności. Być

może jej powodem była broń, którą dostał do ręki, a może sprawiła to moja postawa. W każdym razie zyskałem przynajmniej tyle i musiałem być zadowolony.

Teraz jednak ja byłem bezbronny. Rozejrzałem się dookoła niespokojnie, przekonany, że skoro mam tu zostać sam z Dagny, muszę zdobyć dla siebie coś, co w minimalnym chociaż stopniu mogłoby zabezpieczyć dziewczynkę i mnie przed atakiem.

— Poczekaj, Dinan. Zanim odejdziesz, muszę zdobyć jakąś broń.

Natychmiast rozpocząłem poszukiwania, nie pozwalając sobie ani na chwilę odpoczynku, wiedząc, że jeśli choć na chwilę usiądę, nie będę już w stanie wstać. Rany po szponach piekły mnie niemiłosiernym ogniem. Pomyślałem, jak słodko byłoby teraz położyć się i zasnąć, nawet gdybym miał już nigdy nie obudzić się ze snu. Natychmiast jednak odegnałem od siebie tę myśl i skoncentrowałem się na poszukiwaniu drugiego magicznego pręta. Najszybciej jak mogłem, ruszyłem w kierunku skutej lodem groty.

Przeszedłem nad zwłokami potwora, a światło mojej latarki natrafiło na w połowie stopioną ścianę i wystający z niej pojemnik.

Wydobyłem z niego kolejny magiczny pręt. Tkwiły w nim jeszcze dwa inne, jednak te, jak zauważyłem w świetle latarki, były inne. Ten, który wyciągnąłem, był stalowoniebieski, tak jak ten pierwszy, dwa kolejne miały matowosrebrny kolor. Pręt, który postanowiłem zabrać, wycelowałem w jeden z lodowych filarów i wystrzeliłem. Filar stopił się jak i poprzednie, tylko że ten akurat pod powłoką był pusty. W wielu innych, jak i pod lodem, po którym stąpałem, widziałem natomiast tajemnicze pojemniki i masywne pudła, których kształtów nie byłem w stanie dokładnie określić. Czy to właśnie był skarb Lugarda? Jeżeli tak, kto go tutaj pozostawił i jak dawno temu? I czy to Lugard rozpoczął proces wydobywania z lodu tego, co tutaj zastałem?

Na moment pociemniało mi w oczach i zatoczyłem się. Uderzyłem boleśnie głową o krawędź jednego z pojemników. Próbując odzyskać równowagę dłoń z latarką oparłem o jego ciemną powierzchnię. I wtedy, w momencie gdy światło padło na nią pod kątem prostym, ujrzałem to, co kryło się pod powierzchnią. Była to głowa podobna do tych, jakie miały znane mi potwory. Nie, ta głowa miała przecież oczy, chociaż ogólnie rzecz biorąc kształt czaszki był taki sam, może była ona nawet trochę bardziej okrągła. Czy mój przeciwnik i jego kompan mógł także tkwić w tej podziemnej krainie lodu od całych wieków? Nie było to niemożliwe, człowiek, który odbył już tyle podróży w przestrzeni, widział już w różnych światach wiele rzeczy i

zjawisk, których nie był w stanie wyjaśnić w racjonalny sposób.

Nie miałem już więcej czasu na spekulacje, ani na bardziej szczegółowe przyglądanie się mojemu znalezisku. Musiałem wyprawić Dinana w drogę po pomoc. Resztkami sił dowlokłem się z powrotem do bliźniaków.

Rozdział dziewiąty

Kiedy Dinan odszedł, przysiadłem na małej półce skalnej, otoczywszy ramieniem Dagny. Jej pojękiwania były coraz cichsze, jej oczy przymknięte. Wiedziałem, że dziewczynka znajduje się w złym stanie.

Ze mną też nie było najlepiej. Podczas, gdy tajemniczy pręt położyłem przy nodze, wolną dłoń wciąż przyciskałem do ran. Drżałem z zimna i z bólu. Powiniennem był poruszać się razem z Dagny, żeby trzymać ciepło w naszych ciałach, żeby podtrzymywać krążenie. Jednak Dagny była teraz dla mnie ogromnym ciężarem, gdyż sam byłem osłabiony. Poza tym bałem się ruszać. Zabiłem, co prawda, dwa stwory, jednak pomiędzy lodowymi filarami mogło czaić się ich o wiele więcej. Im dalej od lodowej groty, tym byłem bezpieczniejszy, postanowiłem więc nie ruszać się z miejsca.

Myślałem coraz wolniej, każda myśl coraz szybciej umykała mi, jakby kryła się za gęstą mgłą. Byłem senny, bardzo senny. Resztkami sił odganiałem sen. Zdawałem sobie sprawę, że sen oznacza pewną śmierć. Nawet jeżeli nie zaskoczyłby mnie we śnie żaden podziemny stwór, to istniało duże prawdopodobieństwo, że po prostu we śnie bym zamarzł, a razem ze mną nieszczęsna Dagny. Zmusiłem się, żeby powstać na nogi. Odniosłem wrażenie, że nawet stąd słyszę szum podziemnej rzeki.

Rzeka; przecież jej wody musiały dokądś zmierzać. A jeśli byśmy zawierzili rzece, szukając drogi wyjścia z podziemi? Nie słyszałem o żadnych większych rzekach w krainie lawy, Jednak ta część Beltane nigdy nie została w pełni zbadana. W ostatnich latach, kiedy ludzi pozostało na planecie tak niewiele i większość z nich skupiła się na pracy w laboratoriach, nie interesowano się zbytnio, co leżało poza granicami osiedli. Jedynie Rezerwaty zamieszkałe przez zwierzęta były na wszelki wypadek patrolowane. Nie miałem żadnych wątpliwości, że Wędrowcy byli pierwszymi, którzy wkroczyli do krainy lawy od czasu, kiedy zamknięto Butte Hold.

A więc rzeka mogła być wybawieniem z podziemnej opresji. Właściwie, skoro nie dotarliśmy do żadnego innego wyjścia, musiała być wybawieniem.

Ciało Dagny na moim ramieniu przybierało jakby coraz większy ciężar w miarę, jak upływał czas. Zapomniałem spojrzeć na zegarek, kiedy Dinan mnie opuszczał, dlatego teraz sprawdzanie godziny na nic mi się nie zdawało. Łudziłem się, że pomoc nadejdzie szybko. Droga powrotna nie była przecież długa; o ile nie pojawi

się na niej nic nieprzewidzianego, na przykład kolejna ślepa bestia.

A jednak Dinan był tylko małym chłopcem, przestraszonym, zziębniętym, zmęczonym. Sięgnąłem do pojemnika z żywnością, chcąc się posilić i nakarmić Dagny. Spojrzałem na twarzyczkę dziewczynki; pomazana była żywnością. A więc już Dinan próbował ją karmić. Kiedy jednak przystąpiłem do tego samego, zacisnęła usta i zrozumiałem, że z karmienia nic nie będzie, dziewczynka nie chce, bądź nie może, przyjąć żadnego pokarmu.

Zacząłem jeść sam. Energetyczne racje miały ostry, nieprzyjemny smak, jednak służyły błyskawicznemu uzupełnianiu zapasów energii, jej smak miał drugorzędne znaczenie; dlatego zmusiłem się do skonsumowania całej racji. Dagny wciąż jęczała, a czas włókł się niemiłosiernie powoli. Odnosiłem nieprzyjemne wrażenie, że ten dzień nigdy już się nie skończy.

Zdawałem sobie sprawę, że muszę być nieustannie czujny. Szybko zrozumiałem, że jeśli będę mocno naciskał dłońią na swe rany, ból spowodowany tym dotykiem nie pozwoli mi ani na chwilę odrętwienia. A jednak, w miarę jak mijał czas i nie docierały do mnie żadne odgłosy, które świadczyłyby o nadchodzącej pomocy, coraz bardziej traciłem czujność i nadzieję. Czy Dinan jest w stanie sprawić, by pomoc przybyła z właściwym ekwipunkiem? Dlaczego nie wyjaśniłem mu dokładnie, czego potrzebujemy, zanim odszedł? Powinienem był dokładnie powiedzieć mu, jaki sprzęt będzie potrzebny do wydostania stąd dziewczynki i mnie. Nie powinienem był ufać jego rozsądkowi...

W tym jednak myliłem się, bowiem kiedy wreszcie nadeszli, okazało się, że moi wybawiciele są doskonale przygotowani do akcji. Mieli ze sobą liny, których wcześniej użyliśmy do opuszczania Lugarda ze skalnych półek. Thad nawet opuścił się na dół, by asekurować bezwładne ciało Dagny podczas wciągania jej. Okazało się, że jego pomoc potrzebna była nie tylko dziewczynce...

Kiedy ja sam spróbowałem poruszyć się, okazało się, że jestem tak sztywny i osłabiony, że nie potrafię dać sobie rady ze wspinaczką, dlatego musiałem poczekać, aż Thad opuści się do mnie ponownie. Dopiero wtedy, przy jego asyście i nieocenionej pomocy, zacząłem wspinać się na górę.

Robiłem, co mogłem, żeby ulżyć ciężkiemu zadaniu Thada, który eskortował mnie podczas wspinaczki, jednak mogłem naprawdę niewiele. Poruszaliśmy się bardzo powoli, może nawet wolniej niż wtedy, gdy transportowaliśmy nieprzytomnego Lugarda. Dlatego dużo czasu minęło, zanim znalazłem się wreszcie

na płaskiej powierzchni i w końcu, skrajnie wycieńczony, padłem twarzą na ziemię.

Ułożyli mnie w miarę wygodnie i oświetlili tak potężnymi lampami, że musiałem zaciskać oczy, by nie oślepnąć. Dlatego nic nie widziałem, kiedy oglądano moje rany, usuwając z nich szmaty, których użyłem, by zatamować krwawienie. W pewnym momencie poczułem na gorących ranach wspaniałą chłód i już wiedziałem, że to efekt działania ochładzacza z zestawu pierwszej pomocy. Ulga była tak wielka, że, mimo iż wciąż drżałem, otworzyłem oczy i skupiłem wzrok na twarzach Annet i Thada. Trochę dalej kucała Gytha, z Dagny w ramionach; Pritha co chwilę ocierała ślinę, ciekącą z ust dziewczynki i próbowała wlewać do nich wodę.

— Czy możesz chodzić? — zapytała mnie Annet, starannie wymawiając poszczególne słowa, jakbym był przybyszem z innego świata.

Pomyślałem, że nie jest istotne, co mogę lecz co muszę robić. A więc, musiałem chodzić. Gdyby mieli mnie transportować nawet po gładkiej, poziomej i szerokiej powierzchni i tak byłbym zbyt wielkim ciężarem. A teraz, ze względu na Dagny, bardzo liczył się czas. Musieliśmy jak najszybciej znaleźć się w schronie. Na szczęście, moje rany były już opatrzone i odzyskałem trochę sił.

Z trudem, przy pomocy Thada i Annet, powstałem na nogi. Po kilku krokach uznałem, że jestem w stanie chodzić; trochę jeszcze chwiałem się, ale to nie miało znaczenia, wiedziałem, że taki stan wkrótce minie.

— Ze mną wszystko w porządku — powiedziałem do Annet. — Zajmij się nią — ruchem głowy wskazałem Dagny. — Ona potrzebuje teraz największej troski.

Annet wzięła małą dziewczynkę z rąk swej siostry. Wątpiłem, czy najczulsza opieka może pomóc teraz dziewczynce, jednak wiedziałem, że Annet zrobi wszystko, co w jej mocy, by było jej jak najlepiej. Zapewne jedynie upływ czasu był w stanie tak naprawdę pomóc małej Dagny i minie go wiele, zanim powróci do normalnego stanu, o ile, oczywiście, nie znajdziemy dla niej pomocy na powierzchni Beltane. A nadzieję mieliśmy tylko pod tym warunkiem, że port na planecie i mieszkający na niej ludzie ciągle istnieją.

Przy moim boku pojawiła się Gytha. Tak jak kiedyś ja pomogłem Lugardowi, tak teraz ona uniosła moje zdrowe ramię i położyła je na swoim własnym, oferując pomoc, której potrzebowałem. Reszty podróży właściwie nie pamiętam. Pamięć powróciła do mnie, kiedy po raz kolejny obudziłem się na łóżku w schronie.

Tym razem wszystkie łóżka dookoła mnie zajęte były przez śpiące dzieci. Ktoś cicho pojękiwał przez sen, ktoś chrapał, jednak w pokoju dominowały odgłosy

równomiernych, spokojnych i głębokich oddechów. Zacząłem badać dłońmi swe własne ciało. Mojej tuniki nie było. Dotknąłem palcami opatrunków na ranach i ten krótki, lekki dotyk, spowodował atak ogromnego bólu. Miałem szczęście, że byliśmy świetnie zaopatrzeni w środki medyczne; doskonale zdawałem sobie sprawę, że właściwie opatrzone, siły odzyskam błyskawicznie. Byłem jednak głodny i to głód mnie obudził. Powoli usiadłem, po czym, ostrożnie powstawszy na nogi, poszedłem do kuchni, pozostawiając okrywające mnie prześcieradła na łóżku. Było tu trochę jaśniej niż w sypialni, gdzie Annet pozostawiła włączone tylko jedno światelko; nie chciała, byśmy przebywali w całkowitej ciemności, takiej jak w jaskiniach, ale zarazem nie pozwalała, by światło przeszkadzało w odpoczynku.

Podszedłem do półki, na której stały puszki i inne naczynia z żywnością.

Otwarcie puszki z porcją żywnościową sprawiło mi mnóstwo kłopotów. Mimo że moje rany szybko goiły się, wciąż właściwie byłem w stanie posługiwać się tylko jedną ręką. Dlatego pokrywę z puszki zerwałem zębami, a potem przez chwilę czekałem, aż jej zawartość podgrzeje się; tak działało się ze wszystkimi racjami energetycznymi. Wkrótce poczułem tak wspaniały zapach, że w moich ustach pojawiło się mnóstwo śliny. Nie czekałem więc, aż jedzenie będzie gorące, lecz gwałtownie zacząłem wprost pożerać zawartość puszki.

— Ty?...

Odwróciłem się i ujrzałem w progu Annet z prześcieradłem zarzuconym na ramiona. Oczy miała napuchnięte i twarz ściętą; nie była już nastoletnią dziewczynką, lecz kobietą, która miała za sobą ciężkie dni i zapewne jeszcze cięższe noce.

— Co z Dagny? — zapytałem.

Potrząsnęła głową i weszła do kuchni, starannie zamykając za sobą drzwi. Wtedy, jak ktoś, kto nie zastanawia się, co robi, dotknęła przycisku na ścianie i światło w kuchni stało się jaśniejsze.

— W zbiorniku jest kawa — powiedziała zmęczonym głosem. — Naduś tylko przycisk.

Wziąłem pusty czajniczek i uczyniłem, co nakazała, po czym ustawiłem na stoliku dwie filiżanki. Nie uczyniła żadnego ruchu, żeby mi pomóc. Usiadła jedynie ciężko, kładąc oba łokcie na stół i ciężko opuszczając głowę na dłonie.

— Być może w porcie ktoś jej pomoże — powiedziała, jednak w jej głosie brzmiało wyraźne powątpiewanie. — Co z korytarzami, Vere? Czy jesteśmy w stanie stąd wyjść?

Przez cały czas posługując się jedną ręką, nalałem kawę do filiżanek, po czym wsypałem do nich po dwie łyżeczki krystalicznego słodzika. Pomieszałem kawę Annet, zanim zająłem się własną filiżanką.

— Oba są zablokowane. Chyba nie mamy żadnego sprzętu, a przynajmniej jeszcze nie znaleźliśmy, żeby rozbić blokady.

Annet wpatrywała się przed siebie niewidzącym wzrokiem; nie zauważała ani kawy, ani mnie. Rozumiałem jej niepokój, przecież chodziło o jak najszybsze wydostanie z podziemi nieszczęsnej Dagny.

— Odkryłem jednak coś jeszcze, w grocie lodowej...

— Wiem, pręt. Dinan zaprezentował go nam.

— Funkcjonuje dokładnie jak laser. Być może dzięki niemu właśnie przebijemy barykadę. Ale jest także rzeka...

— Rzeka? — powtórzyła Annet głucho, a potem nagle zainteresowała się: — Rzeka?

Usiadłem naprzeciwko niej, uradowany, że wreszcie przełamałem trochę jej zniechęcenie. Pomiedzy kolejnymi łykami kawy opowiedziałem jej o stopieniu lodowej ściany i o tym, jak dotarłem do podziemnej rzeki.

— Ale przecież z tym prętem możesz wypalić przejście w którymkolwiek z tuneli — zauważyła. — To chyba lepsze, niż zaprzątanie sobie głowy strumieniem, który płynie nie wiadomo dokąd. Skoro potrafiłeś rozbić skalną ścianę, pokrytą grubym lodem, to z pewnością rozbijesz także barykadę.

Musiałem przyznać, że rozumowała logicznie. Mimo że moje myśli coraz intensywniej krążyły wokół tej wody, rozsądek nakazywał mi, bym właśnie prętem wypalił drogę na zewnątrz.

Spróbowałem więc, lecz bez efektu. Szybko okazało się, że mój tajemniczy pręt, po kilkakrotnym wykorzystaniu, po prostu utracił cały zasób energii. Najprawdopodobniej zużyłem cały ładunek w walce przeciwko potworom. Gdy spróbowałem posłużyć się drugim prętem, tym, który miał Dinan, wydobył z siebie jedynie drobną iskierkę i również odmówił posłuszeństwa.

Annet tymczasem bezustannie zajmowała się Dagny. Starła się, by dziewczynka przyjmowała przynajmniej tyle pokarmu i napojów, by pozostać przy życiu. Poza tym nic więcej nie była w stanie zrobić. Po długich namowach z mojej strony zgodziła się, by podjąć próbę wydostania się z podziemi rzeką.

Wkrótce przekonaliśmy się, że woda za skalną ścianą sięga nam do pasa,

jednak o przebyciu jej w bród nie mieliśmy co marzyć, tak była zimna i tak rwący był jej nurt. Była też krystalicznie przejrzysta, niesamowicie czysta.

Zgromadziliśmy zapasy niezbędne do drogi i przystąpiliśmy do konstruowania tratwy, która przeniosłaby nasze pakunki i nas samych.

Oczywiście, zawsze istniało prawdopodobieństwo, że natrafimy na tunele całkowicie wypełnione wodą. Naszym zabezpieczeniem przeciwko takiej niespodziance była nie przepuszczająca wody plast–powłoka, chociaż nie mogliśmy być pewni, czy rzeczywiście dzięki niej przetransportujemy bezpiecznie tratwę razem z pasażerami pod wodą, dopóki nie zaszłaby taka konieczność.

Przygotowując się do wodnej wyprawy straciliśmy wszelkie poczucie czasu. Jedliśmy, spaliśmy i pracowaliśmy, kiedy byliśmy głodni, zmęczeni i wypoczęci. Zapomniałem, że mam na ręce zegarek, a liczba dni spędzonych pod ziemią już dawno myliła mi się. W gruncie rzeczy każdorazowe poruszenie tego tematu wywoływało gorące spory, aż w końcu przyjęto sugestię Annet, by się tym nie zajmować.

Któregoś dnia wreszcie nasza tratwa była gotowa. Przygotowaliśmy ją najlepiej, jak potrafiliśmy, mając na uwadze przede wszystkim to, by była maksymalnie bezpieczna. Załadowaliśmy ją wszelkimi dobrami, jakie mogły przydać się nam na powierzchni planety, o ile kiedykolwiek mieliśmy znów na tę powierzchnię dotrzeć.

Ostatniej naszej nocy w schronie policzyłem, jak zwykle, wszystkie dzieci przed udaniem się na spoczynek. Jednego brakowało. Policzyłem jeszcze raz, dokładnie przypatrując się wszystkim łóżkom. Gytha... Brakowało Gythy.

Moje własne łóżko stało przy drzwiach, nikt nie mógł więc wyjść z pomieszczenia, nie zwracając mojej uwagi, a jednak przez krótką chwilę przebywałem w zasłoniętej części sypialni, gdzie nocowały Annet i Dagny; sprawdzałem, czy Annet nie potrzebuje jakiejś pomocy przy dziewczynce. To zapewne wtedy jej siostra wyslizgnęła się na zewnątrz. Ale dokąd? Z całą pewnością nie szukała przygody, wiedząc co spotkało bliźniaki.

Uznałem, że muszę zachować spokój. Postanowiłem nie alarmować wszystkich, zanim sam nie przeprowadzę poszukiwań. Wyszedłem ze schronu, by się rozejrzeć. Już po kilku sekundach moje oczy przystosowały się do ciemności i natychmiast ujrzałem światło latarki, docierające od podstawy skalnych schodów, które wszystkich nas tutaj przywiodły. Zirytowany lekkomyślnością Gythy —

przecież nie mogliśmy być pewni, mimo że nie znalazłem już więcej śladów, czy zabiłem wszystkie potwory — ruszyłem w tym właśnie kierunku.

Zamierzałem udzielić dziewczynce ostrej reprimendy, kiedy tylko do niej dotrę, jednak, kiedy zobaczyłem gdzie ona stoi nie tylko zaniemówiłem, ale też zatrzymałem się w pół kroku. Ciemność była tu niemal nieprzenikniona, jednak tylko tak długo, dopóki Gytha nie przystąpiła do pracy; trzymała bowiem w ręce jeden z prętów, które przyniosłem z lodowej grotty. Koniec pręta wycelowany był w skalną ścianę. Z tego czubka właśnie zaczęły wydobywać się promienne blaski, jasne, chociaż bardzo słabe w porównaniu z tymi, które wydobywały się z pręta, gdy walczyłem z potworem.

— Gytha!

Odwróciła głowę, jednak nie rzuciła pręta. Na jej twarzy widniał wyraz upartej determinacji, który w tej chwili bardzo upodabniał ją do siostry.

— Powiedziałeś, że pręty są bezużyteczne — powiedziała, chcąc usprawiedliwić swe poczynania — jednak doskonale pasują do tego.

Dopiero teraz zauważyłem, że używa dwóch prętów, po to, by wyryć na skale jakiś napis. Taśmy do czytania były na Bekane w tak powszechnym użyciu, że niemal zapomnieliśmy już, co to jest pisanie odręczne. A jednak Gytha знаła tę sztukę; nauczyła się jej, tak jak i wielu innych rzeczy, przeglądając stare taśmy.

— „Griss Lugard” — przeczytała to, co już widniało na ścianie. — „Przyjaciel”. Tak, to prawda, był naszym przyjacielem. Uczynił dla nas wszystko, co tylko mógł. Pewnie ucieszyłby się, gdyby mógł zobaczyć ten napis.

Odebrałem jej pręty, a potem, do dzisiejszego dnia nie wiem dlaczego, pod jej nieforemnymi literami składającymi się na słowo „Przyjaciel”, wydobywając z pręta resztki energii dopisałem jedno słowo od siebie. Gytha czytała to słowo, literka po literce, w miarę jak powstawało:

— M-u-z-y-k-a-n-t. Muzykant. Tak, to też by go ucieszyło. Bardzo dobrze, że to napisałeś, Vere. Bardzo dobrze, że na zawsze uwieczniliśmy jego imię na tej skale. Nie potrafiłabym tak po prostu odejść, pozostawić go tutaj, jakby nigdy nie istniał.

Ktoś mógłby powiedzieć, że zaprezentowała łzawą nostalgię, rodem z powieści. A jednak miała rację, to, co teraz zrobiła, było naszym obowiązkiem wobec Lugarda. Byłem uradowany, że o tym pomyślała.

Tak jak nikt nie zauważył naszego zniknięcia, nikt też nie dostrzegł naszego

powrotu. Nie zamieniliśmy już między sobą ani jednego słowa, tylko od razu położyliśmy się do łóżek.

Nad „ranem”, jeżeli w ogóle jakkolwiek porę w tych ciemnościach można było nazwać porankiem, po raz ostatni sprawdziliśmy nasze ładunki. Załadowaliśmy na tratwę zapasy, które przynieśli do groty Lugard i jego poprzednicy. Ubrany byłem teraz w tunikę funkcjonariusza Służb, z której poodrywałem oznaki szarży, gdyż nie miały już żadnego znaczenia. Ta, którą wybrałem — najlepiej na mnie pasowała — należała kiedyś do kapitana. Przez chwilę w zadumie zastanawiałem się, co też stało się z tym człowiekiem, na jednym z odległych światów lub pomiędzy światami.

Zeszliśmy do groty lodowej bez większego trudu, transportując Dagny jak wcześniej Lugarda, dodatkowo owiniętą w nieprzemakalną piastę, mającą chronić ją przed zimnem i wilgocią, kiedy już będziemy na wodzie. Kłopot sprawiło dopiero opuszczenie tratwy na wodę, a potem bezpieczne wejście na jej pokład. A jednak i tego dokonaliśmy bez większych problemów. Zanim odbiliśmy od dziury w skalnej ścianie, która była dla nas przystanią, serce zabiło mi trochę mocniej; wcale nie byłem pewien, czy wybieramy rozwiązanie dla nas najlepsze. Szybko odegnałem jednak od siebie wahanie. Chociażby ze względu na Dagny, musieliśmy działać teraz szybko i zdecydowanie.

Szczęśliwie nurt nie był wcale tak szybki, jak początkowo przypuszczałem. Po prostu był wystarczający, by spokojnie nieść naszą tratwę. Na jej dziobie (o ile tratwa może mieć dziób) umieściliśmy jedną z lamp; jej światło powinno w porę wydobyć z mroku każde zagrażające nam niebezpieczeństwo. That i ja zajęliśmy miejsca na burtach, by w razie potrzeby

odpychać tratwę od skalnych ścian. Powietrze wciąż było zimne, jednak w miarę, jak oddalaliśmy się od groty, słabł mróz i wkrótce temperatura przypominała już tę, jaka panowała w naszym obozie.

Popatrzyłem na zegarek, gdyż chciałem wiedzieć, jak długo będziemy płynęli. Wyruszyliśmy o godzinie dwunastej, nie miałem jednak pojęcia, czy ta dwunasta oznaczała północ czy południe. Po trzeciej godzinie wciąż byliśmy w drodze. Raz czy dwa razy skalny sufit znajdował się tak nisko nad naszymi głowami, że musieliśmy kłaść się na tratwie, jednak poza tym nie mieliśmy żadnych poważnych problemów.

W dziesiątej godzinie podróży nie wiedzieliśmy, jak długą drogę już pokonaliśmy. Ale to właśnie w tej dziesiątej godzinie Emrys niespodziewanie podniósł rękę do góry i wskazując palcem, wykrzyknął:

— Gwiazda!

W tej samej chwili światło lampy wydobyło z mroku roślinność, która z całą pewnością nie była w stanie wegetować pod ziemią. Nagle poczuliśmy powietrze o wiele świeższe niż do tej pory; do tego momentu nie zdawaliśmy sobie sprawy, jaką stęchłą oddechaliśmy. A zatem nie znajdowaliśmy się już w grotach, jednak, ponieważ dookoła była noc, nie mieliśmy pojęcia, w jakim punkcie Beltane wypłynęliśmy.

Ściągnąłem lampę z dziobu i zacząłem świecić nią dookoła, by nieco zorientować się, na jakim terenie się znajdujemy. Dookoła rosły karłowate krzaki, jednak widoczne one były tylko blisko brzegu. Ponad nami wciąż górowały wysokie i postrzępione skały. Jednak w pewnej chwili kanion, którym płynęliśmy, rozszerzył się i ujrzeliśmy fragment piaszczystego brzegu. Natychmiast skierowałem tratwę w tamtym kierunku i wkrótce jej dno zaszurało o piasek. Sięgnąłem dłonią i po chwili miałem w niej odrobinę żółtego piachu i wyrastających z niego źdźbeł szorstkiej trawy. Uznałem, że możemy w tym miejscu spokojnie doczekać świtu. Gdy powiedziałem to głośno, wszyscy z ulgą przystali na moją propozycję.

Wszyscy byliśmy zeszywniali i utrudzeni podróżą. Thad i ja znieśliśmy ją w miarę najlepiej, ze względu na nasze zajęcie przy burtach. Jednak, gdy wyskoczyliśmy na brzeg, wszyscy daliśmy z siebie resztki sił, wciągając tratwę tak daleko na brzeg, by nie porwał jej nurt.

Rozbiliśmy obóz, a potem zająłem się kompasem, który również mieliśmy wśród naszego ekwipunku. Na mojej drugiej mapie w ogóle nie było zaznaczonej rzeki. Zapewne ten, kto ją przygotowywał, nie dotarł do niej. Kompas wskazał mi jednak, że droga, którą przebyliśmy, wiodła na południowy zachód, a to oznaczało, iż minęliśmy góry i znajdujemy się mniej więcej w pobliżu wielkiego Rezerwatu. O ile pamiętałem, była tu jedynie dzicz i pustkowie. Jednak znajdowały się tutaj też samotne stacje badawcze i byłem przekonany, że o świcie potrafię jakąś z nich odszukać. Prawdę mówiąc, znalazłszy się na otwartej przestrzeni, pod niebem, odczułem ogromną ulgę i nie miałem najmniejszych wątpliwości, że od tej chwili nasza sytuacja będzie zmieniać się tylko na lepsze.

Zjedliśmy skromny posiłek i rozwinęliśmy posłania. Trudno opisać, jak bardzo byliśmy zmęczeni, a jednak kazałem Thadowi czuwać, z oszałamiaczem w ręce, na jednym krańcu obozu, podczas gdy sam ustawiłem się na drugim krańcu. W stanie, w jakim się znajdowaliśmy, żaden z nas nie mógł być dobrym wartownikiem, a jednak

musiałem podejmować wszelkie kroki, jakie były możliwe, dla zapewnienia bezpieczeństwa Wędrowców...

Obudził mnie jakiś dźwięk, który po chwili powtórzył się: głośny, przeciągły skrzek. Otworzyłem oczy, zamrugałem, gdyż słońce na niebie świeciło pełnym blaskiem i zauważyłem ptaka wchodzącego do rzeki. Po chwili woda zamknęła się nad jego łbem. Guskaw! Być może zaniepokoił się go swoją obecnością w tym miejscu, jednak już fakt, że ujrzałem go na własne oczy świadczył, iż znajdujemy się na całkowitym odludziu. Wyprostowałem się powoli i uważnie rozejrzałem się dookoła.

Żadne z ciał otulonych kocami nawet nie drgnęło. Był wczesny poranek, a my znajdowaliśmy się w głębokim kanionie. Popatrzyłem w kierunku, z którego przybyliśmy i ujrzałem swój znak rozpoznawczy dość okazałych rozmiarów. Whitecone, dawny wulkan, który teraz pokrywała gruba czapa śniegu. A więc, rzeczywiście pokonaliśmy pod ziemią całe pasmo górskie.

Skoro za naszymi plecami znajdował się Whitecone, rzeka, którą wypłynęliśmy musiała być słynną Redwater, chociaż jej woda nie miała ani śladu purpurowego zabarwienia, tak charakterystycznego dla wszelkiej wody płynącej w Rezerwach. Nie słyszałem o żadnym innym szlaku wodnym w tej okolicy, a skoro przecież miałem być kiedyś tutaj Strażnikiem, podczas nauki aż nadto czasu spędziłem nad mapami tych terenów.

Skoro znajdowaliśmy się nad Redwater, a byłem tego pewien, powinniśmy jedynie kontynuować naszą podróż w tym samym, co dotychczas, kierunku, a wkrótce dotrzemy do mostu stanowiącego fragment drogi do Rezerwatu. Aniav, główna stacja badawcza, znajdowała się jedynie w niewielkiej odległości od mostu. Odetchnąłem z ulgą. Rozpoznawszy teren, poczułem się tak dobrze, jakbym widział już co najmniej zarysy wieży komunikacyjnej w Kynvet.

Przystąpiłem do przygotowywania śniadania, wykorzystując przenośną kuchenkę. Ciepła strawa miała być symbolem naszego triumfu nad ciemnością i jaskiniami. Jedno po drugim po kolei budziły się dzieci, pragnące równie mocno jak ja, by szybko wyruszyć w dalszą drogę. Na stacji na pewno znajdziemy jakiś oblatywacz; jeżeli wszyscy nie zmieścimy się do niego za jednym razem, polecą przede wszystkim Annet z Dagny oraz tak wielu spośród nas, jak tylko zmieści się w maszynie, a reszta poczeka na drugą turę — takie snułem plany. W pewnym momencie oprzytomniałem jednak. Owszem, wyszliśmy z ciemności na jasną planetę,

ale co dalej? Co stało się tutaj? Przecież już wkrótce może się okazać, że nie jesteśmy tu wcale bezpieczniejsi niż w podziemiach.

Zważywszy na niebezpieczeństwo, ostrzegłem Wędrowców, że musimy poruszać się z wielką ostrożnością. Nie byłem pewien, czy wszyscy zgadzają się ze mną, jednak w krytycznej sytuacji zdecydowany byłem wymusić na nich posłuszeństwo.

— Nie wiemy, co zdarzyło się na Beltane. Dla naszego własnego bezpieczeństwa musimy przede wszystkim zorientować się, czy i jakich mamy tu wrogów. Istnieje szansa, że problemy, które wyniknęły w porcie i w osiedlach, tutaj nie dotarły. Mam nadzieję, że w Aniaiv uzyskamy wszelką pomoc, jakiej nam trzeba. Na pewno funkcjonuje tam łączność, a poza tym, gdy tam się znajdziemy, szczegółowo zapoznamy się z sytuacją. Ale na razie musimy być naprawdę ostrożni.

Niektórzy pokiwali głowami. Spodziewałem się protestów ze strony Annet, te jednak nie nastąpiły. Na jej twarzy pojawił się jedynie cień uśmiechu, po czym powiedziała:

— Cóż, zgadzam się na to. Jednak, im szybciej będziemy dokładnie znali nasze położenie, tym lepiej.

Zastanowiła mnie zmiana jej postawy. Odniosłem wrażenie, iż przynajmniej w głębi duszy przyjęła do wiadomości, że Lugard mógł mówić prawdę i że, być może, powróciliśmy na planetę, na której czaiły się jedynie niebezpieczeństwa. Nie miałem jednak czasu, by ją o to zapytać.

Ponownie załadowaliśmy tratwę i wypchnęliśmy ją na wodę. Prąd rzeki był jednak bardzo słaby i razem z Thadem stanęliśmy po obu krawędziach tratwy, wiosłując. Kiedy opadliśmy z sił, Annet przekazała Dagny Prithi i razem z Gythą zajęły moje miejsce, natomiast Emrys z Sabianem — miejsce Thada. Mimo naszych ogromnych wysiłków zapadł zmierzch, a my byliśmy jeszcze daleko od mostu. Woda, płynąca teraz pomiędzy niskimi brzegami o czerwonej barwie gleby, przybrała taki właśnie kolor.

Ponownie rozbiliśmy obóz, wstaliśmy o świcie i znów wiosłowaliśmy. Było późne popołudnie, kiedy wreszcie zobaczyliśmy most. Wydobyliśmy tratwę na brzeg i ukryliśmy większość jej ładunku, zabierając jedynie to, co było niezbędne na dalszą drogę. Gytha, Annet, Dagny, Ifors, Dinan i Prima schowali się w krzakach przy moście, gdzie mogli pozostawać przez długi czas niezauważeni, natomiast dla trzech z nas nie było jeszcze mowy o wypoczynku. Sabian, na moją prośbę, objął posterunek

obserwacyjny na drugim brzegu.

Na drodze nie było żadnych widocznych znaków, które świadczyłyby, że poruszały się nią ostatnio jakieś pojazdy. W zasadzie używano tutaj pojazdów naziemnych, ponieważ helikoptery zbyt często straszyły zwierzęta. Jeżeli nawet ktoś ostatnio używał tej drogi, burza, która musiała przejść niedawno, zniszczyła wszelkie ślady. Zauważyłem jedynie rzadkie odciski kopyt i pazurów, świadczące, że wciąż krążyły tu jakieś zwierzęta.

Wymarła droga zaniepokoiła mnie i na wszelki wypadek mocniej ująłem swój oszałamiacz. Zacząłem rozglądać się nerwowo na wszystkie strony; właściwie to w każdej chwili spodziewałem się ataku.

Rozdział dziesiąty

— To jest największy Rezerwat, prawda? — Thad przysunął się bliżej do mnie. Jego głos był niski, cichy, jakby wraz ze mną dzielił niepewność i obawy, że zostaniemy podsłuchani.

Emrys tymczasem szedł środkiem drogi, kilka kroków za nami.

— Tak. Jego centrum jest Aniaiv. — Nie wierzyłem, że powinniśmy obawiać się zwierząt. Przebywały zwykle w najdzikszych ostępach Rezerwatu; co najwyżej mogłem nie mieć pewności, jak zachowują się mutanty, specjalnie tutaj sprowadzane i obserwowane.

Aniaiv miało kiedyś status priorytetowego ośrodka w dziedzinie badań nad mutantami. Tak było jednak przed bardzo wieloma laty. Gdy zredukowano środki na te badania, ich centrum przeniesiono do Rezerwatu Pilav, znacznie bliżej ludzkich osiedli.

Gdy mineliśmy zakręt drogi, naszym oczom ukazała się stacja badawcza. Jak wszystkie posterunki tego typu, zaprojektowana została w taki sposób, by jak najmniej kontrastować z naturalnym środowiskiem. Jej ściany nie były gładkie, lecz postawiono je z kamieni o najróżniejszych kształtach i rozmiarach. Na pokrytym darnią dachu pięły się winorośle, a park maszyn ukryty był wśród gęstych krzaków.

Złożyłem dłoń w tubkę, przyłożyłem do ust i wydobyłem z gardła sygnał rozpoznawczy Strażników. Jednak, chociaż wszyscy trzej ze wzrastającą niecierpliwością przez długą chwilę wpatrywaliśmy się w ciemny prostokąt na frontowej ścianie stacji, oznaczający drzwi, nie doczekaliśmy się żadnego odzewu. Nie pozostało nam więc nic innego, jak tylko wejść do środka bez zaproszenia.

Jeżeli stacji broniła tarcza szokowa, wkrótce miałem się o tym przekonać. Ostrzegłszy chłopców, że możemy na nią natrafić, pierwszy ruszyłem w kierunku budynku. Trzymałem przed sobą wyciągnięte ręce. Zwierzęta, które zderzały się z tarczą szokową, doznawały jedynie, jak mnie uczono, lekkiego i krótkotrwałego porażenia. Nie miałem natomiast pojęcia, jak na działanie takiej tarczy reaguje człowiek. Moje dłonie nie natrafiły jednak na żadną barierę i wkrótce znalazłem się przy drzwiach, które były lekko uchylone.

Z każdym krokiem, który stawiałem, ogarniało mnie coraz większe zdenerwowanie. Aniaiv była przecież jedną z najważniejszych stacji. Skoro

pozostawiono ją pustą, naprawdę musiało wydarzyć się coś strasznego. Co tutaj się stało?

Drzwi otworzyły się szerzej, kiedy tylko ich dotknąłem. Ostrożnie przekroczyłem próg i znalazłem się w głównym pomieszczeniu. Tak jak na wszystkich stacjach, wydzielono w nim część sypialną, wypoczynkowo—biurową i jadalną. Z tyłu znajdowały się jeszcze drzwi do małego laboratorium i magazynu. Zanim moje oczy przyzwyczyły się do półmroku panującego wewnątrz stacji, nieomal upadłem, gdyż poślizgnąłem się na czymś, leżącym na podłodze. Szybko zapaliłem latarkę i podniosłem z podłogi kawałek piasty, takiej, jakiej używa się zwykle do pakowania produktów żywnościowych. Przesunąwszy światłem latarki dookoła, zauważyłem kolejne ślady nieporządku. Jakieś krzesło leżało wywrócone na podłodze, a jego nogi zwrócone były dokładnie w moim kierunku. Na stole znajdowały się talerze z zaschniętą żywnością. Na biurku panował niesamowity bałagan.

Stojaki, w których zwykle ustawiano oszałamiacze o największej mocy były puste. Kiedy zbliżałem się do biurka, usłyszałem jakiś szelest. Małe zwierzątko, pokryte futrem, zbyt szybkie, abym mógł je dokładnie zobaczyć, pierzchnęło spod któregoś z mebli i wbiegło do magazynu. A więc, stacja opuszczona została nie tylko w pośpiechu, ale i dość dawno temu.

Zauważyłem włącznik światel i przesunąłem po nim dwukrotnie dłonią, by uzyskać jak największą jasność.

— Nikogo nie ma? — zapytał Thad z progu.

Przeszedłem do części sypialnej. Na półkach wciąż leżały drobne przedmioty osobiste, a wszystkie cztery łóżka były starannie zasłane. Jakikolwiek był powód odwołania ludzi z tego miejsca, nie spakowali się. Upewniłem się co do tego otwierając szafy, w których znalazłem ubrania na zmianę i bieliznę.

W laboratorium panował w zasadzie porządek, chociaż na podłodze pod ścianą zauważyłem porozbijane pojemniki i nie dojedzone porcje żywności. Zza jakiegoś pudła usłyszałem ostrzegawcze warknięcie.

— Nie ma ich — odpowiedziałem na pytanie Thada, wycofując się z laboratorium; cokolwiek żywego znajdowało się w środku, z pewnością było groźne. Istnieją małe stworzenia, które ludziom niezorientowanym nie wydają się groźne, a dopiero przy bliższym zetknięciu okazują się śmiertelnym zagrożeniem.

Mogło istnieć tylko jedno wytłumaczenie stanu rzeczy, który zastałem. Znów

podszedłem do biurka, na którym leżał wielki zwój taśmy z zapisem przebiegu pracy na stacji. Przez długi czas maszyna pisząca, wciąż podłączona, wyrzucała tylko czystą taśmę, a nie było sposobu, by dowiedzieć się, jak dawno temu cała taśma w urządzeniu rejestrującym skończyła się.

Zapisy prowadzone na takich stacjach były kodowane, jednak kod był prosty, służył jedynie zagęszczeniu zapisu. Dlatego bez trudu przeczytałem ostatnie zapisy: dotyczyły wyłącznie ruchów zwierząt. Dwie notatki dotyczyły drapieżników, które czynią spustoszenia na pastwiskach. W normalnych warunkach strażnicy ucierali temperament takich drapieżników, wychodząc na patrol z oszałamiaczami.

— Łączność... — Thad wskazał na kolejne przyrządy.

Jednym skokiem znalazłem się w tym miejscu. Kiedy uniosłem ręczny mikrofon, od razu usłyszałem szum, dowodzący bez najmniejszych wątpliwości, że połączenie jest aktywne. Przełączyłem urządzenie na odbiór, jednak urządzenie nie zareagowało.

— Nadaj wiadomość — powiedział Thad.

— Jeszcze nie teraz. — Odłożyłem mikrofon i zlikwidowałem połączenie. — Nie możemy dać żadnego sygnału naszej obecności, dopóki nie wiemy, z kim mamy do czynienia...

Przez chwilę jakby chciał zakwestionować moją decyzję, jednak zaraz pokiwał głową.

— Rozumiem — przyznał. — Nie wiadomo, z czyjej strony grozi nam niebezpieczeństwo.

— Właśnie. A teraz rozejrzyjmy się za jakimś oblatywaczem.

W parku maszyn znaleźliśmy pojazd naziemny i helikopter. Ten pierwszy miał otwartą pokrywę silnika i otoczony był porzucanymi narzędziami, jakby ten, kto zajmował się nim, w pośpiechu został wezwany gdzieś indziej. Thad popstrzył na niego bystrym okiem.

— Trzeba mu chyba dokręcić kilka śrubek, ale na pierwszy rzut oka wygląda na sprawny.

Emrys z kolei wsiadł do helikoptera i, zanim zdołałem zareagować, uruchomił procedury startowe. Jednak maszyna nie zareagowała. Pomyślałem, że zapewne obleje pozostawiono swojemu losowi, ponieważ były bezużyteczne, a stację opuszczano w wielkim pośpiechu.

— Wsiadaj! — zawołałem do Emrysa. — Przypomnij sobie, co

uzgodniliśmy. Działamy powoli i rozważnie. Uruchomimy helikopter i natychmiast zostaniemy zauważeni na radarach. Jeżeli mamy używać jakiegokolwiek środka transportu, musi to być pojazd naziemny, posiadający osłonę antyrozpoznawczą. Ale — dodałem, gdy Emrys skruszony wysiadł z maszyny — jeżeli koniecznie musisz sprawdzić się w działaniu, biegnij czym prędzej do mostu i sprowadź tu pozostałych. Zdaje się, że będzie padał deszcz i to wkrótce.

Po jasnym poranku pozostało tylko wspomnienie. Na niebie pojawiły się ciemne i ciężkie chmury. Kiedy Emrys odszedł, skierowałem się ku Thadowi i pojazdowi. Miał rację. Maszyna była prawie gotowa do drogi, należało tylko skrócić kilka elementów. Jeżeli nie było w niej więcej usterek, dysponowaliśmy środkiem transportu o wiele lepiej przystosowanym do naszych potrzeb, niż helikopter dalekiego zasięgu, czy oblatywacz. Mimo że korzystając z tego pojazdu, mogliśmy podróżować jedynie po powierzchni planety, dawał on nam dużą przewagę nad ewentualnymi przeciwnikami; był niewykrywalny dla radarów. Poza tym, przeznaczony do podglądania zwierząt, pojazd ten należał do typu nie używanego powszechnie na Beltane, a więc nieznanego bandytom ze statku, o ile to właśnie z nimi mieliśmy się zmierzyć.

— Złóż go jak najszybciej — powiedziałem do Thada. — Potem ukryjemy się w stacji. Zanim nie skończy się deszcz, niewiele możemy zdziałać.

Kiedy wreszcie wszyscy w komplecie znaleźliśmy się w budynku stacji, większość dzieci była przemoknięta. Ułożyłem Dagny w najwygodniejszym łóżku, a Thad szybko uruchomił ogrzewanie. Gdy zamknęliśmy drzwi do stacji, by do środka nie padał deszcz, poczuliśmy się o wiele bezpieczniej, niż w trakcie minionych dni w podziemnym schronie.

— Co tu się stało? — Annet spojrzała na brudne naczynia, na krzesło, którego nikt z nas dotąd nie postawił na nogi oraz na taśmę, która z biurka zsunęła się na podłogę.

— Cała załoga pryskała stąd chyba w wielkim pośpiechu; nie wiem, jak dawno temu. Tymczasem sprawdźmy, czy nie mamy tutaj jakichś nieproszonych gości.

Z oszałamiaczem w ręce ponownie wszedłem do laboratorium. Ostrzegłem pozostałych, by nie podążali za mną i przełączyłem oszałamiacz z maksymalnej mocy na niską, ponieważ zwierzę, które ścigałem było niewielkie, skoro potrafiło skryć się za kartonem sięgającym zaledwie do mojego kolana. Rozpyliłem trujący gaz kierując

go tam, gdzie uprzednio słyszałem warkot zwierzęcia. Po chwili zacząłem rozrzucać kartony i pudła, aż wreszcie natrafiłem na mojego przeciwnika. Leżał bezwładny, nieruchomy, z pyszczkiem zakończonym ostrym noskiem, skierowanym ku górze, jakby spał w najlepsze.

Był to szczuracz, zwierzę z natury wdzierające się do ludzkich osiedli, jednak o wiele groźniejsze, niż na to wyglądało. Jego zakrzywione pazury wydzielają truciznę, niebezpieczną dla człowieka. Podniosłem bezwładnego szczuracza, położyłem na pokrywie kartonu i na wszelki wypadek kontynuowałem poszukiwania. Osobnik, którego unieszkodliwiłem zdawał się jednak jedynym w tym laboratorium. Pokazałem go dzieciom, nakazując, by wystrzegały się kontaktów z podobnymi intruzami, po czym wyniosłem na zewnątrz. Ułożyłem go pod okapem, by w suchym miejscu przetrwał najgorszą burzę. Wiedziałem, że świeże powietrze szybko wyrwie go z oszołomienia.

Annet tymczasem znalazła urządzenia do komunikacji i zaczęła nastawiać łączność na pasmo portu. Miałem tylko tyle czasu, by wyrwać jej z ręki mikrofon.

— Co robisz? — zawołała gwałtownie.

— Uzgodniliśmy przecież: żadnych nierozważnych kroków, zanim nie przekonamy się, co się dzieje — przypomniałem jej.

— Nie mamy czasu na zabawę w podchody — próbowała odebrać mi mikrofon — musimy przetransportować Dagny na leczenie tak szybko, jak tylko się da. Jeżeli wezwiemy pomoc, zapewne przyślą po nią szybki oblatywacz.

— Najpierw spróbuj jednak odebrać jakąkolwiek wiadomość z zewnątrz. — Miałem nadzieję, że absolutna cisza w eterze trochę ostudzi jej zamiary. — Feehoime to chyba jedyne osiedle po tej stronie gór. Spróbuj usłyszeć, co oni nadają!

Ustawiłem odbiornik na właściwy zakres i zaczęliśmy nasłuchiwać. Jednak w ciągu kilku pełnych napięcia minut nie dotarł do nas żaden odgłos z Feehoime; z głośników docierał jedynie szum pracującego systemu.

Wreszcie Annet popatrzyła na mnie niczego nie rozumiejącym spojrzeniem.

— Dziwne, przecież powinniśmy słyszeć przynajmniej ich sygnały rozpoznawcze.

— Owszem. Lecz jeśli nikogo tam nie ma? Potrząsnęła gwałtownie głową, nie tylko przecząc mej sugestii, ale jakby odganiając od siebie własne obawy.

— To niemożliwe... Spróbuj coś nadać na częstotliwości awaryjnej.

— Posłuchaj tylko, Annet. Jeśli Lugard miał rację, możemy przez ten system

ściągnąć na siebie jeszcze gorsze kłopoty, niż mamy teraz. Nie działajmy nierozważnie. Mamy tutaj pojazd naziemny. Ludzie, którzy tu pracowali naprawiali go akurat, kiedy niespodziewanie musieli porzucić stację. Potrafię dokończyć tę pracę, kiedy tylko pogoda trochę się poprawi. Pojazdy naziemne są, co prawda, bardzo wolne, jednak mają systemy zabezpieczające, które bardzo nam się przydadzą. Obiecuję ci, że gdy tylko będziemy w stanie ruszyć ten pojazd, wyruszymy do Feehoime. Potem przeprawa przez góry będzie drobiazgiem. Powiedz mi jednak, czy nadal jesteś przekonana, że wszystko na planecie funkcjonuje tak, jak dawniej? — Zatoczyłem ręką szerokie koło po pokoju. — Uciekając stąd, ci ludzie zabrali ze sobą wszelką broń, jaką dysponowali.

— Dobrze, już dobrze. Ale, kiedy tylko będzie można...

— Wyjedziemy stąd — obiecałem jej.

Odstąpiła od stanowiska komunikacyjnego i pochyliła się, by ustawić przewrócone krzesło. Potem przeszła do kuchenki. Badała stan zapasów w niej się znajdujących, a ja podszedłem do biurka w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu, który podpowiedziałyby mi, co się tutaj wydarzyło. A jednak nie byłem w stanie znaleźć niczego, poza rutynowymi taśmami dotyczącymi badań prowadzonych w Rezerwacie. Późnym popołudniem burza trochę osłabła. Gdy tylko stało się to możliwe, Thad i ja wyszliśmy na zewnątrz, by naprawić pojazd. Okazało się, że chłopak doskonale zna konstrukcję podobnych maszyn i był dla mnie nieocenionym pomocnikiem. Jednak obaj nie byliśmy wykwalifikowani w tej dziedzinie i nie pracowaliśmy tak sprawnie, jak byśmy chcieli. Prowizorycznie tylko złożyliśmy maszynę, gdy kolejna burza z powrotem przegnała nas pod dach.

Noc była straszna. Pewnie pobyt pod ziemią, gdzie burze nie zagrażały nam, spotęgował nasz strach przed żywiołem. Przetrwaliśmy jednak nawałnicę skuleni w łóżkach i wyruszyliśmy w drogę następnego dnia o świcie. Powitał nas mokry świat, lecz burza i wichura skończyły się. Nasz pojazd przystosowany był do wożenia ekwipunku po Rezerwacie i był na tyle przestronny, że wszyscy do niego się zmieściliśmy. Na razie nie uruchamiałem zabezpieczenia antyradarowego, ponieważ uznałem, że urządzenie to najbardziej potrzebne będzie, gdy znajdziemy się w pobliżu Feehoime.

Droga była wyboista i pełna kałuż, j jednak takie przeszkody nie zagrażały naszemu pojazdowi i pewnie sunęliśmy do przodu z jednostajną szybkością. Dwukrotnie musieliśmy omijać zwalone drzewa, a raz nawet przebyliśmy strumień,

który powstał w poprzek drogi, sięgający aż do klamek w drzwiczkach.

Co jakiś czas ukazywały się nam zwierzęta, zawsze jednak w znacznej odległości. W południe zatrzymaliśmy się na odpoczynek pod osłoną strzelistej skały, zwieńczonej wysoką anteną systemu komunikacyjnego Rezerwatu. Annet podała wodę Dagny, która zaczynała reagować na jej opiekuńcze zabiegi i po raz pierwszy sama powiedziała, że chce pić. Nie sprawiała wrażenie, że wie, co dzieje się dookoła niej, a jednak, kiedy wszyscy jedliśmy racje energetyczne, nie trzeba było już zmuszać jej do powolnego ssania i połykania żywności. Sama ujęła naczynie w drobne rączki.

— Nawet, jeżeli nas nie rozpoznaje — powiedziała Annet — pewnie zdaje sobie sprawę, że wyszliśmy z grot, a to może oznaczać tylko to, że dochodzi do zdrowia. Ile czasu minie jeszcze, zanim dotrzemy do Feehoime?

Pomyślałem, że uda nam się tam dojechać przed zmrokiem i zacząłem przygotowywać Annet na podjęcie kolejnych środków ostrożności, które będziemy musieli przedsięwziąć, gdy tam dotrzemy. Kiedy mówiłem jej, że musimy zatrzymać pojazd w pewnej odległości od osady i że najpierw ja wyjdę na zewnątrz, by zbadać teren, pozostawiając resztę grupy w maszynie, nie protestowała, ale czułem, że zachowuje spokój raczej dlatego, żeby nie sprzeczać się ze mną, niż żeby przypuszczała, że środki bezpieczeństwa są rzeczywiście niezbędne.

Do tej pory byłem w Feehoime tylko jeden raz i była to bardzo krótka wizyta; zaledwie przesiadka z oblatywacza do pojazdu naziemnego, by wspólnie w dwoma innymi kandydatami na Strażników zwiedzić tutejszy Rezerwat. Feehoime było większe od Kynvet, ale tylko dlatego, że po tej stronie gór była to jedyna ludzka osada. W porównaniu z miastami z innych światów, było jednak zaledwie niewielką wioską. Stanowiło kwaterę główną Strażników.

Z każdą minutą jechałem coraz wolniej i uważnie wpatrywałem się w tablicę rozdzielczą pojazdu. Przez cały czas w mojej głowie kołatał niepokój o stan pojazdu, który złożyliśmy tylko prowizorycznie. Gdyby zawiódł nasz środek transportu, w samym sercu Rezerwatu mogliśmy z powodzeniem poczuć się jak w grobie. Jak dotąd, na szczęście, nic nie wskazywało jednak na kłopoty z tej strony.

Zmierzch zapadał szybko, gdyż na niebie znowu zaczęły gromadzić się ciemne chmury. W tej sytuacji przyspieszyłem, by wyprzedzić kolejną burzę. Wkrótce zjechałem z drogi do niewielkiego wąwozu i tam zatrzymałem pojazd, pod nawisem skalnym i dodatkową osłoną gęstych drzew. Było to doskonałe schronienie przed nawet najsilniejszymi wichurami i burzami. Jeśli tylko dzieci nie będą wychodziły na

zewnątrz, nic im nie groziło.

Nie zabrałem ze sobą niczego, poza oszałamiaczem. Miałem nadzieję, że w trakcie poszukiwań zastąpię go bronią o większej mocy. Annet obiecała mi, że nie zapali żadnego światła, dopóki nie wrócę, a Thad zajął miejsce za pulpitem rozdzielczym, z zadaniem włączenia przyrządu antyradarowego natychmiast, gdy się oddalę.

Dopiero wtedy wyruszyłem w drogę. Kiedy po kilkudziesięciu krokach odwróciłem się jeszcze, odniosłem wrażenie, że pojazd znikł, dzięki czemu odczułem ogromną ulgę. Wędrowcy byli bezpieczni przynajmniej tak długo, dopóki potrafili usiedzieć spokojnie w jego kabinie.

Nie miałem zamiaru wracać na drogę. Postanowiłem skrócić sobie trasę marszu, idąc na przelaj. W razie niespodziewanego ataku zawsze łatwiej było skryć się w krzakach, czy pomiędzy drzewami, niż w przydrożnym rowie. W oddali widziałem pierwsze zabudowania Feehoime. Nie paliło się tam ani jedno światełko, co samo w sobie było już wystarczającym ostrzeżeniem o zbliżających się kłopotach.

Dopiero teraz zauważyłem, że teren wokół osiedla oczyszczony jest z większych drzew i co gęstszych skupisk krzaków. Zabudowania w Feehoime były przeważnie owalne lub okrągłe, a na dachu każdego z budynków znajdowało się lądowisko dla helikopterów. Nie wiedziałem ilu ludzi zamieszkuje to miejsce, ale sądziłem, że w tych ciemnych zabudowaniach znajdują się mieszkania i domy przynajmniej dla dwustu osób. Wybudowano tu też centrum handlowe, w którym dawniej kwitł szeroki handel i gdzie kiedyś sprzedawano nawet produkty spoza planety. W ostatnim czasie straciło ono jednak na znaczeniu. Każde osiedle było praktycznie samowystarczalne.

Zacząłem iść przez pola uprawne, starannie rozglądając się, żeby nie natrafić na promieniowanie bezpieczeństwa. Wkrótce jednak stwierdziłem, że błękitnych promieni, zwykle ograniczających strefę bezpieczeństwa i rozpościerających się od wartowni do wartowni, w ogóle nie ma. Gałąź, którą pchnąłem tam, gdzie powinien płynąć promień, w ogóle nie zdrżała. A więc zaniechano stosowania tej pierwszej zapory. Jeszcze nie wiedziałem, dlaczego. Jednak ciemne domy, wyłączone zabezpieczenia naziemne — wszystko to powoli układało się w obraz, który nie bardzo mi się podobał. Przy pierwszym budynku natrafiłem na helikopter stojący frontem do ściany, z kabiną zmiażdżoną od uderzenia właśnie w nią. Zaświeciłem latarką do jego wnętrza, spojrzałem, po czym szybko wyłączyłem ją i spróbowałem

wymazać ze swej wyobraźni to, co widziałem w tym krótkim momencie. Zeskoczyłem na ziemię. Nie wierzyłem. Tego by tu nie było, gdyby w Feehoime pozostał ktoś żywy!

Wszedłem do pierwszego z brzegu budynku i znów znalazłem... Jedno krótkie spojrzenie sprawiło, że wybiegłem na zewnątrz jeszcze szybciej niż wszedłem. Ale przecież nie zajrzałem jeszcze do budynków dowodzenia. Miałem nadzieję tam coś odkryć, tam dowiedzieć się, co tutaj się wydarzyło. Może znajdę jakąś informację, chociażby krotki zapis na taśmie?

Wkrótce zacząłem natrafiać na zwłoki również na otwartym powietrzu. Siady na ziemi wyraźnie wskazywały, że drapieżniki z Rezerwatu miały tu niezłą ucztę. Unikałem tych okropnych widoków, jak mogłem, jednak aby wejść do budynku, o który mi chodziło, musiałem przestąpić ponad szkieletem po człowieku, który zmarł niewiele ponad dwa tygodnie wcześniej.

W pokoju dowodzenia zastałem martwych ludzi, którzy zginęli na swoich posterunkach. Nigdzie jednak nie natrafiłem na najmniejszy nawet ślad, który tłumaczyłby, dlaczego wyginęli tak nagle i równocześnie wszyscy ludzie w osiedlu, które liczyło sobie przecież sto lat planetarnych.

Obejrzałem kilka trupów, w miarę najlepiej zachowanych. Żaden z nich nie miał ani rany szarpanej, ani nawet śladu po promieniu laserowym. Wszystko wskazywało na to, że po prostu padali na twarz w tym miejscu, w którym się znajdowali i umierali, a cały ten proces w skali osiedla nie trwał dłużej niż kilka sekund.

Gaz? Ale przecież wówczas nie zmarliby ci, którzy byli na otwartej przestrzeni. A może poza budynkami znalazłem tych silniejszych, którzy zdołali wyczołgać się z pomieszczeń, zanim dopadła ich śmierć? Nie słyszałem dotąd o żadnej broni, która byłaby w stanie spowodować taką powszechną rzeź.

Przybysze spoza naszego świata mogli natomiast nie tylko o niej słyszeć, ale mogli ją również posiadać. Słyszeliśmy na Beltane plotki o potężnych urządzeniach, które potrafiły niszczyć wszystkie żywe istoty na całych planetach i pozostawiać nienaruszonymi całą ich strukturę; w ten sposób najeźdźcy zastawali świat opustoszały i gotowy do zamieszkania przez zdobywców. Jeśli uciekinierzy, którzy wylądowali na statku dysponowali taką właśnie bronią — być może próbowali jej przed wyruszeniem na dalsze podboje, dokładnie jak przewidział Lugard. Ale czemu służyła tak bezsensowna masakra?

Stałem bezradny na środku pokoju łączności. Wszystkie obwody były otwarte, jak wtedy, gdy martwi lub umierający mężczyźni padali głowami na tablice rozdzielcze. Ujrzałem na jednej z tablic silne białe światło, oznaczające wolny kanał łączności. Podeszedłszy bliżej, przeczytałem symbol Haychax, znajdującego się zaraz za górami. A jednak głośniki wydawały z siebie jedynie cichy szum, tak jak na stacji Strażników.

Jednego byłem pewien: w Feehoime nie uzyskam żadnej pomocy. Nie miałem też zamiaru prowadzić swych Wędrowców do tego miejsca masakry. Zacząłem jednak szukać broni. W końcu znalazłem trzy oszałamiacze i jeden miotacz promieni laserowych, jednak zbyt ciężki, bym sam mógł go nosić. Zresztą, kiedy go próbnie uruchomiłem, okazało się, że jest już prawie rozładowany. Fakt, iż w osiedlu, które nadzorowało funkcjonowanie trzech Rezerwatów znalazłem tylko tyle broni, był kolejnym niepokojącym zagadnieniem. Wskazywał na to, że ktoś szukał tu broni już przede mną i ją znalazł. Przypuszczałem, że przy okazji splądrowano i zabrano stąd wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Potwierdzenie tego przypuszczenia uzyskałem, gdy znalazłem się w centralnym magazynie.

Gdy tam wszedłem, włosy stanęły mi dęba. Wszystkie pudła i kontenery miały poodrywane wieka i pokrywy, a większość ich zawartości została powyrzucana na zewnątrz i po prostu podeptana. Siady dewastacji aż nadto świadczyły, że nie dokonał tego żaden z mieszkańców Beltane, ponieważ kilka odcisków butów nie pozostawiało wątpliwości: były to buty używane do lotów w przestrzeni. Grabieżcy musieli więc pochodzić z obozu uchodźców. Czy byli oni także winni masakry? Przykłęknąłem i rozejrzałem się, po czym umoczyłem palec w jednym z rozlanych płynów. Oblizawszy go, uznałem, że jest jeszcze świeży, a więc spustoszenia magazynu z pewnością dokonano nie dawniej niż dobie temu. Zwłoki w mieście leżały o wiele dłużej, być może nawet od tego dnia, którego, wraz z Lugardem, schodziliśmy właśnie do podziemi.

Postanowiłem zebrać trochę zapasów, które mogłyby posłużyć Wędrowcom. Znalazłszy torbę przystosowaną do opuszczania na spadochronie w Rezerwacie, gdyby brakowało miejsca do lądowania, zapakowałem do niej małe puszki i racje energetyczne. Nie zabraliśmy z grot wiele jedzenia i jeśli teraz mieliśmy trzymać się z dala od osiedli, musieliśmy wykorzystywać wszystko, co tylko udawało się zdobyć.

Torba okazała się zbyt ciężka, by ją nieść na ramieniu, musiałem więc ją za sobą ciągnąć. Na szczęście była bardzo trwała i nie musiałem przejmować się, że ją

rozedrę. W ten sposób dotarłem do głównego lądowiska. I tutaj natrafiłem na obraz bezmyślnego i totalnego zniszczenia. Kilkakrotnie ośmieliłem się użyć latarki, włączając ją na krótkie chwile, a w jej blasku zobaczyłem przynajmniej dwa spalone helikoptery. Kolejnych kilka maszyn potraktowano laserami. Na placu nie pozostał ani jeden sprawny pojazd.

Miałem dość Feehoime — grobu, którym stała się osada. Po tej stronie gór znajdowały się jeszcze dwie stacje Strażników, wątpiłem jednak, czy w którejś z nich uzyskam jakąkolwiek pomoc. Zapewne najrozsądniej byłoby udać się w drogę powrotną w kierunku Kynvet. Jak najdłuższą trasę powinniśmy pokonać naszym pojazdem, a potem pieszo przedostać się przez góry. Coraz natarczywiej drążyło jednak moje myśli pytanie, czy taki powrót ma w ogóle jakiś sens.

Ciągnąc nagromadzone zapasy, ruszyłem w drogę powrotną przez pole. Akurat znajdowałem się na jego skraju, pomiędzy drzewami, kiedy zobaczyłem na niebie jakiś błysk. Jego źródło znajdowało się daleko od Feehoime, jednak z pewnością nie była to jasna gwiazda. Mogło to być wyłącznie światło pozycyjne helikoptera. Jego kurs był dziwaczny, leciał raz do góry, raz w dół, jakby za sterami siedział niedoświadczony pilot, albo miał jakieś problemy techniczne. Szybszym krokiem skierowałem się do miejsca, gdzie znajdował się pojazd, pragnąc tylko jednego: by Wędrowcom nie przyszło do głów dawać pilotowi jakieś sygnały. To, co zobaczyłem w Feehoime utwierdziło mnie znacznie mocniej w przekonaniu, że powinniśmy być bardzo czujni.

Zerwał się deszcz, zaczęły moczyć mnie ciężkie i gęste, duże krople zimnej wody. Gdy zacząłem wspinać się pod górę, waga przemoczonej torby z zapasami jakby jeszcze wzrosła. Zadrzałem, gdy usłyszałem odgłos pioruna i jaskrawy błysk na niebie. Tak bardzo pragnąłem znaleźć się we wnętrzu ciepłego pojazdu, że zacząłem biec.

Rozdział jedenasty

Leżałem na brzuchu w bardzo wątpliwym schronieniu, jakie dawały mi krzaki, z głową skierowaną w dół, ku miejscu, w którym stał pojazd. Nie widziałem go, gdyż osłona radarowa czyniła go nie tylko niewykrywalnym dla urządzeń mechanicznych, ale także dla ludzkich oczu. Deszcz uderzał mnie w plecy, woda docierała nawet do mojej bielizny. Mimo że wciąż było lato, charakteryzujące się na Beltane bardzo ciepłymi dniami, ta burzowa noc zapowiadała rychłą jesień i w tej chwili niczego tak nie pragnąłem jak ciepłego i suchego koca. A jednak świadomość, że gdzieś nad moją głową lata jakiś obcy helikopter, czyniła mnie podwójnie ostrożnym. Każdy sygnał, jaki przekazałbym teraz Wędrowcom czekającym w pojeździe mógłby nas zdradzić.

Złożywszy dłonie wokół latarki, pozostawiłem dla promieni świetlnych tylko wąski przesmyk, chociaż podświadomie byłem przekonany, iż w takiej burzy żaden pilot długo nie utrzyma helikoptera w powietrzu i maszyna, którą przez chwilę obserwowałem, dawno już wylądowała na ziemi.

Teraz nacisnąłem włącznik, jeden raz, drugi i trzeci. Miałem nadzieję, że Wędrowcy ujrzą te błyski bez większych kłopotów. Jednak kiedy pode mną nic się nie wydarzyło, ogarnęło mnie zniecierpliwienie i gotów byłem potraktować niewidzialną maszynę oszałamiaczem. Najbardziej bałem się tego, że dzieci zdążyły już nawiązać łączność z helikopterem i zaraz może się tu wydarzyć wielkie nieszczęście.

Niespodziewanie na dole coś krótko błysnęło i wreszcie ujrzałem ciemny kształt maszyny. W środku nie paliło się żadne światło, a więc dzieci posłuchały mojego ostrzeżenia.

Poderwałem się na nogi i podbiegłem do pojazdu, ciągnąc za sobą ciężką torbę.

— Vere? — Usłyszałem zaniepokojony głos Annet.

— Tak, to ja! — Szarpnąłem za klamkę przy drzwiczkach. — Wpuście mnie do środka, szybko.

Gdy znalazłem się wewnątrz, przemarznięty i mokry, usłyszałem ciche głosy protestu z ust dzieci, które potraçałem i oblewałem wodą z fałd mojej tuniki.

— Ten helikopter, czy łączyliście się z nim? — zapytałem.

Pochyliłem się ponad Annet i ponownie uruchomiłem zabezpieczenie antyradarowe.

— Nie — odparł Thad. — Powiedziałaś przecież...

— Dlaczego nie było nam wolno tego zrobić? — krzyknęła Annet, wyraźnie rozzłoszczona. — Thad trzymał mikrofon tak, że bym go nawet nie mogła dotknąć. Ale dlaczego pytasz? Co się stało, Vere?

Byłem tak zmęczony, że nie miałem dość sił, by cokolwiek tłamsić w sobie, skrywać przed nimi. W końcu i tak kiedyś by się dowiedzieli. Im szybciej, tym lepiej, przynajmniej będą zdawać sobie sprawę, jak wielkie jest niebezpieczeństwo.

— Znalazłem martwe miasto — powiedziałem głucho.

— To znaczy, że nikogo tam nie było? — Annet nie była zaskoczona, raczej nie dowierzała mi. — Dokąd jednak wszyscy poszli, do portu, przez góry?

— Powiedziałem „martwe”, a nie „opustoszałe”. Miasto, a w nim martwych ludzi.

Poczułem, jak ciało Annet sztywnieje.

— Co to znaczy? — zapytała. — Czy ktoś ich pozabijał?

— Ci, których widziałem, nie mieli żadnych widocznych ran. Po prostu, w jednej chwili jeszcze żyli, a w następnej już nie. Taki los spotkał wszystkich ludzi, w całym mieście. W jakiś czas po tej rzezi ktoś splądrował miasto. Zabrałem dwa oszłamiacze; w całej osadzie nie było ani jednej sztuki broni więcej.

— A więc Lugard miał rację — zauważył Thad ponuro.

— Uciekinierzy ze statku zaatakowali. Ale dlaczego wszystkich pozabijali?

— Nie! — Teraz Annet drżała. — Nie! To nie może być prawda! Vere, musimy wrócić do Kynvet. Weź helikopter, w Feehoime muszą być jakieś helikoptery!

— Były. Ktoś je wszystkie bardzo starannie poniszczył. W osadzie nie ma żadnego sprawnego środka transportu.

— Co więc zrobimy? Dagny...

— Mamy ten pojazd i wiele żywności. W tej chwili powinniśmy cofnąć się do Rezerwatu, przejść góry...

— Ten helikopter — przerwał mi Thad. — Czy uważasz, że to byli złoczyńcy?

— To mogli być nasi ludzie, poszukujący kogoś, kto może przeżył w Feehoime — powiedziała Annet. — Jeżeli tak było i jeśli nie połączyliśmy się z nim... — przyjęła oskarżycielski ton.

— Czy widziałaś kiedyś normalny helikopter, latający w taki sposób? — zapytał Thad. — Coś było nie tak z maszyną, albo z pilotem. Czy wracamy tą samą

drogą, którą przyjechaliśmy, Vere?

Prawdę mówiąc, kusiło mnie to rozwiązanie, W stacji Strażników mogliśmy znaleźć schronienie, być może nawet wykorzystalibyśmy ją jako bazę wypadową, podczas poszukiwania najlepszej drogi przez góry. Z drugiej strony jednak, korzystanie z jakichkolwiek obiektów mogłoby uczynić z nas ofiary bezmyślnych wandalii. Mogli przecież znaleźć w Feehoime mapy, na których zlokalizowane były wszystkie stacje w Rezerwatach.

— Chyba nie. Wyruszymy stąd na pomocny wschód, w kierunku krainy wzgórz. Jest tam taka stacja, na której prowadzone są wyłącznie badania nad mutantami, Gur Horn. Tam się skierujemy. Być może tam właśnie znów będziemy mogli uzupełnić zapasy.

Tej nocy jednak nie mogliśmy już, ze względu na pogodę, kontynuować podróży, mimo że grunt niemal palił mi się pod nogami. Musieliśmy pozostać na miejscu, we w miarę bezpiecznym schronieniu w pojeździe. Nie mogliśmy włączać świateł które mogłyby nas zdradzić i to był kolejny argument przeciwko podróży w nocy. Obawiałem się, że Annet zaoponuje przeciwko temu przymusowemu postojowi, jednak milczała. Przystąpiła natomiast do przestawiania naszych siedzeń, by każdy tej nocy na minimalnej przestrzeni skorzystał z maksymalnego w tych warunkach komfortu. Zanim zdecydowaliśmy się na sen, każdy z nas zjadł obfity posiłek.

Nasze zmęczenie było tak wielkie, że nikt nie miał kłopotu z zaśnięciem. Dwukrotnie budziły mnie krzyki śpiących dzieci, jednak za każdym razem przekonywałem się, że powodem tych odgłosów są tylko dręczące ich koszmary. Za każdym razem budziła się też Annet. W pewnej chwili przysunęła się do mnie i zapytała:

— Vere, czy damy radę przejść przez te góry?

— Jeżeli będziemy szli powoli i ostrożnie, damy radę. Jest lato i wszystkie przełęcze są otwarte. Powinniśmy wyjść po drugiej stronie łańcucha, niedaleko Butte Hold... — Zawahałem się, przypomniawszy sobie nieproszonych gości Lugarda w Butte. Jeżeli ściągnęły ich tam plotki o skarbach, być może teraz właśnie ich tam szukają.

— Vere... — szept Annet był ledwie słyszalny — chcę, żebyś wiedział...

— Co? — ponagliłem ją, gdy przerwała na zbyt długo.

— Widzisz, w Yetholme prowadzono kontrolowane eksperymenty dla wojska... — Usłyszałem, jak ciężko przełyka ślinę, jakby wszelkie słowa

przychodziły jej z wielkim trudem.

— To było wiele lat temu. Czy nie zamknięto tego laboratorium raz na zawsze?

— Wszyscy mówili, że zamknięto. Doktor Corfu... wiesz, co on zrobił?

— Zażył podwójną dawkę środków nasennych i nigdy już się nie obudził.

— Nie chciał prowadzić ostatniego eksperymentu, a oni strasznie na niego naciskali. Mama opowiadała kiedyś, jak wyglądał jego początkowy etap. Pracowali nad jakimś zmutowanym wirusem. Vere, ten wirus miał zabijać wszystkie inteligentne istoty, atakował jedynie umysł, natomiast wszystko inne pozostawiał nietknięte, by przyszli zdobywcy mogli rozgościć się na gotowym. Ten wirus nie czynił szkody nawet zwierzętom, działał jedynie na te, którym wstrzykiwano specjalny środek, w celach badawczych. Vere, co będzie, jeżeli...

Znów przypomniałem sobie jedno z ostrzeżeń Lugarda. Na planecie mogą istnieć sekrety, które przyszli najeźdźcy, dotarłszy do nich, z radością powitają jako fragmenty własnego uzbrojenia. Wirus o właściwościach, jakie opisała Annet, wykorzystany przeciwko niczego nie spodziewającemu się miastu, nawet kontynentowi lub światu był orężem przeciwko jakiemu nie sposób było się bronić. Wirus... odruchowo sięgnąłem dłonią do klamki. Jeśli taki wirus zaatakował Feeholme, to przecież już mogłem być jego nosicielem, a nawet martwym człowiekiem. Być może było już za późno na refleksję; byliśmy zgubieni. Przecież od wielu godzin oddychałem na niewielkiej przestrzeni tym samym powietrzem co wszystkie dzieci. Z powodu mojego braku rozwagi teraz śmierć groziła im wszystkim!

— Być może... — zacząłem mówić.

— Nie — szepnęła Annet — powiedziałaś, że oni nie żyli już od dłuższego czasu.

— Tak.

— Wirus, nad którym pracowali w Yethoime, mógł żyć tylko czterdzieści osiem godzin. Po tym czasie nikomu już nic nie groziło. Poza tym, wynaleziono też środek uodparniający przeciwko niemu. Gdybyśmy tylko znaleźli raporty z wynikami badań... Czy przeprowadzimy pojazd przez góry?

— Nie. Ale będziemy nim jechali najdalej, jak tylko się da. Najpierw musimy dotrzeć do Gur Horn. Jeżeli dobrze pamiętam, zawsze przebywała tam tylko mała załoga. Przy mutantach nie było wiele zajęcia. Weźmiemy stamtąd więcej zapasów,

może schronimy się na dzień lub dwa. To najwyżej położona stała baza w Rezerwatach.

— Jakie mutanty tam otrzymywano?

— Nie wiem. Kiedy jechałem do Aniaiv, nie zatrzymałem się w Gur Horn. Jedynie informowano nas, do czego służy ta baza, kiedy oglądaliśmy ją z góry, z oblatywacza.

— Czy załoga miała jakieś środki transportu?

— Z całą pewnością pojazd naziemny, być może także helikopter. Często transportowali ranne zwierzęta. Mutanty bywały atakowane przez naturalnych mieszkańców rezerwatów. By obserwować ich zachowanie i reakcje nie można było trzymać ich w klatkach.

Pomyślałem, że być może znajdziemy tam helikopter, dzięki czemu o połowę zmniejszymy uciążliwości przeprawy przez góry. Zapragnąłem jak najszybciej wyruszyć w drogę.

Burza ustąpiła dopiero na krótko przed świtem. Gdy tylko zrobiło się wystarczająco jasno, uruchomiłem silnik i ruszyliśmy. Pojazdy naziemne na Beltane przystosowane były do ruchu w najtrudniejszych warunkach, dlatego wyboista droga nie stanowiła dla naszej maszyny problemu, jednak przez cały czas niepokoiłem się, czy wystarczy nam paliwa. Drzemała we mnie obawa, że zanim dotrzemy do celu, będziemy musieli pozostawić pojazd i część drogi pokonać pieszo.

Szczęśliwie droga na południowy wschód wiodła przez otwartą przestrzeń. Trasa była mocno pofałdowana, dlatego jeszcze przed południem dwukrotnie musieliśmy się zatrzymywać, gdyż Prima i Ifors chorowali od ciągłego podjeżdżania i gwałtownych, stromych zjazdów. Dagny leżała przez cały czas bez ruchu, grubo zawinięta w koce. Jadła już i piła, Jednak oczy miała przeważnie zamknięte, a Annet nie była w stanie określić, czy dziewczynka śpi, czy też jest zamroczona.

W południe wypoczęliśmy przy niewielkim strumyku, jak zwykle posilając się racjami energetycznymi. Zanim wyruszyliśmy w dalszą drogę napełniłem wodą wszystkie naczynia, nie będąc pewien, czy wzgórze, ku którym zmierzamy, mają swe własne źródła.

W miarę, jak posuwaliśmy się naprzód, wzgórze dookoła nas wyrastały coraz wyżej, a szeroka droga zamieniała się powoli w krętą ścieżkę. Zdawało mi się, że postąpiłem bardzo rozważnie, zabierając w podróż wodę, gdyż teren dookoła coraz bardziej przypominał pustynię. Podróżowaliśmy coraz wolniej. A jednak w pewnej

chwili znów natrafiliśmy na szeroki szlak, który mógł prowadzić jedynie do Gur Horn.

Odległości widziane z powietrza znacznie różnią się od doświadczanych na ziemi. Kiedy leciałem ponad tą trasą w ramach praktyk, zdawało mi się, że stacja służąca do badań mutantów znajduje się zaledwie w niewielkiej odległości od centralnej stacji Strażników i że obie położone są zaledwie o rzut kamieniem od Feeholme. Teraz droga tak mi się dłużyła, że zaczynałem już podejrzewać, iż mimo wszystko pobłądziłem wśród wzgórz i nie mamy najmniejszej szansy, by dotrzeć do Gur Horn.

Pogrążony w czarnych myślach, o mało nie rozjechałem stworzenia, które pojawiło się na środku drogi. Bez wątplenia przystanęło na niej celowo, chcąc nas zatrzymać.

— Ystroben! — krzyknęła Gytha, wystawiwszy głowę ponad moje ramię. — Vere, to jest prawdziwy ystroben!

Spojrząwszy na zwierzę, w pierwszej chwili gotów byłbym zgodzić się z Gythą. Miało czerwone, grube futro, okrągły łeb i owłosione uszy o kształcie wachlarzy. Jego pysk miał owalny kształt, łapy były czarne, a ogon bardzo krótki. A jednak różniło się ono od ystrobena i im dłużej wpatrywałem się w nie, tym bardziej wyraźne wydawały mi się te różnice. Po pierwsze: łeb był znacznie większy, o szerszej czaszce. Samo stworzenie było o wiele większe od każdego ystrobena, jakiego kiedykolwiek widziałem. Przypatrywało się nam i dalekie było od jakiegokolwiek bojaźni, strachu przed nami.

— Vere, popatrz, on chce, żebyśmy coś zrobili!

Gdybym na własne oczy nie zobaczył tego, co teraz nastąpiło, nigdy bym w to nie uwierzył. Zwierzę uniosło się nagle na dwie łapy, podeszło bliżej do nas i zaczęło dawać nam jakieś znaki przednimi łapami. Nie było co do tego wątpliwości — coś chciało nam przekazać.

— Mutant!

— Chce czegoś od nas — powiedziała Gytha, podkreślając swoje słowa silnym uściskiem dłoni na moim ramieniu.

— Ale... — Annet dotknęła przełącznika na tablicy rozdzielczej — przecież nasza osłona jest włączona. Ono nie ma prawa nas widzieć!

— Jeżeli to jest mutant — odparła Gytha — jest w stanie robić takie rzeczy, o jakich ci się w ogóle nie śniło. Vere, musimy przekonać się, czego on od nas chce.

Nie miałem jednak głowy do gry w kotka i myszkę ze zwierzętami. Poza tym nie dowierzałem mutantom. Kto wie, co chodziło po głowie takiemu olbrzymowi, wyzwolonemu spod kontroli laboratorium? Postanowiłem jak najszybciej pozbyć się intruza. Włączyłem odpowiedni system obronny i ystroben zachwiał się. Widać było, że z trudem utrzymuje się w pozycji pionowej. Otworzył pysk, zapewne w okrzyku bólu, który nie dotarł jednak do naszej dźwiękoszczelnej, hermetycznej kabiny. Wreszcie opadł na cztery łapy i kołysząc się, niepewnym krokiem zszedł z drogi. Po chwili zniknął w gęstych krzakach.

— Co zrobiłeś? — zapytał mnie Thad.

— Użyłem tarczy dźwiękowej. Pojazdy naziemne mają je wbudowane na wypadek ataku dzikich zwierząt.

Dłoń Gythy na moim ramieniu zacisnęła się w pięść.

— Nie musiałeś tego robić! — krzyknęła. — Przecież on nie miał złych zamiarów. Chciał coś nam powiedzieć...

Nie słuchałem jej protestów, ruszyłem natomiast pojazdem z maksymalną prędkością, chcąc oddalić się z tego miejsca najszybciej, jak to było możliwe. Niespodziewanie wyjechaliśmy na otwartą przestrzeń, pokrytą bujną roślinnością. Przyczyna tej odmiany stała się oczywista, kiedy oczom naszym ukazało się coś na kształt gejzera — fontanna czystej wody, która na ziemi formowała się w płytki strumień, wpadający nieco dalej do stawu. Stamtąd woda wypływała szeroką kaskadą na lekko opadające w dół pole, które porośnięte było niskimi trzcinami i inną roślinnością, uwielbiającą krystaliczną, świeżą wodę.

Za fontanną ujrzelśmy kolejny budynek, postawiony przez ludzi, jednak starannie wkomponowany w krajobraz. Oto, zupełnie niespodziewanie, znaleźliśmy się w Gur Horn. Było to dla mnie takim zaskoczeniem, że nie zdołałem przedsięwziąć żadnych środków ostrożności. Jeżeli na stacji znajdował się ktokolwiek o wrogich wobec nas zamiarach, wystawiliśmy się w tej chwili na celowniki wszelkiej broni, jaką posiadał. A jednak wszystkie moje zmysły podpowiadały mi, że w stacji nie ma żadnych ludzi. Na parkingu przy niej nie zauważyłem ani jednej maszyny, niczego, nawet pojazdu naziemnego.

Rozhermetyzowałemabinę i jej wnętrze od razu ożyło wszelkim hałasem tego świata, czyli odgłosami z zewnątrz. Zaiste był to hałas — jednak hałas, zwiastujący żałobę: do naszych uszu docierały głośne pojękiwania, od czasu do czasu przerywane żalonym skrzekiem, głuchym dudnieniem i złowrogim warkotem.

Najgorsze, że wszystkie te odgłosy zdawały się dobiegać z budynku.

— Co to? — Annet natychmiast chwyciła za oszałamiacz.

Już miałem otworzyć drzwi, jednak w tej sytuacji zawahałem się. Zacząłem obawiać się, że wpadliśmy w spore kłopoty. A jednak nadal nie widziałem, by cokolwiek poruszało się.

— Vere, ystroben! — Gytha skupiła na sobie moją uwagę, ciągnąc mnie za rękę. Odwróciłem się w kierunku, gdzie wskazywała. Zwierzę, które przed kilkoma minutami próbowało przeciwstawić się działaniu tarczy dźwiękowej, albo jego replika, znów stało w pobliżu naszego pojazdu. Miało półprzymknięte oczy i kiwało głową na boki, jakby było nie do końca przytomne. Uparcie jednak trzymało się na nogach i po chwili wyminęło maszynę, po czym skierowało się do budynku. Także i ono wydobywało teraz dźwięki z gardła, jakby niski, dudniący skowyt, zdecydowanie dominujący nad pozostałymi odgłosami.

— Vere! Popatrz! On czegoś od ciebie chce!

Ystroben dotarł do fontanny i zatrzymał się. Ciężko oddychał, usta miał szeroko otwarte, jakby z wielkim trudem łąpał powietrze. W pewnej chwili uniósł przednią łapę i mimo że z trudem był w stanie stać na trzech, tą uniesioną wykonał wyraźny gest ku nam.

Bez wątpienia chodziło mu o coś, co jego zdaniem było bardzo pilne. Tym razem nie oparłem się jego wezwaniu. Jednak, kiedy wyslizgnałem się na drogę, z oszałamiaczem w pogotowiu, rzuciłem za siebie stanowcze rozkazy:

— Niech nikt za mną nie idzie. Zanim podejmiecie jakiegokolwiek ruchy, czekajcie na mój wyraźny sygnał. Jeżeli go nie uzyskacie, odjeżdżajcie...

Nie pozostawiłem im czasu na protesty, lecz szybko zatrzęsnałem drzwiczki i ostrożnie ruszyłem w kierunku fontanny. Ystroben, widząc że wreszcie idę, zdawał się być zadowolony. Odwrócił się i skierował nie do budynku, który do tej pory uznawałem za jego cel, lecz w prawo, ścieżką prowadzącą na tyły stacji. Pośpieszyłem za nim.

Wówczas zauważyłem pierwsze ślady tragedii. Najprawdopodobniej dostawa mutantów z jakiegoś laboratorium dotarła tu na krótko przed gwałtownym atakiem, który — nie miałem już wątpliwości — całkowicie zniszczył nasz świat. Trzymano je w niewielkich klatkach i zapewne zamierzano wypuścić do Rezerwatu, jednak najwyraźniej zostały zupełnie zapomniane; a właściwie to w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby się nimi zająć. Przez długi czas nie dostawały wody, ani jedzenia, o czym

świadczyło przede wszystkim kilka padniętych sztuk. Dla nich na ratunek było już za późno. Ystoben szturchnął nosem jedną z klatek i zobaczyłem w niej, leżącego na boku, przedstawiciela jego gatunku. Spróbował podnieść głowę słysząc nasze kroki, jednak zaraz opadła mu ona z powrotem.

Jeszcze jedno spojrzenie dookoła i już wiedziałem, że nie ma tu dla nas żadnego zagrożenia, jest za to wiele do zrobienia. Wywołałem wszystkie dzieci z pojazdu i wkrótce wszyscy w pośpiechu otwieraliśmy klatki, donosiliśmy jedzenie i wodę z fontanny.

Niektóre spośród żyjących jeszcze stworzeń nie były w stanie w ogóle się ruszać i te wynosiliśmy z klatek na własnych ramionach. Te, które zniosły głódówkę najlepiej, od razu po pierwszym posiłku uciekały w dzikie ostępy Rezerwatu. Dla pozostałych zostawiliśmy tyle jedzenia i wody, by mogły dochodzić do własnych sił w pobliżu klatek. Doliczyliśmy się też pięciu padłych mutantów.

Budynek był pusty i tradycyjnie już znaleźliśmy ślady świadczące, że opuszczano go w wielkim pośpiechu. Ucieszyłem się jednak, nie znalazłszy w środku trupów. Miejsca było tu zaledwie dla dwuosobowej załogi, toteż gdy wszyscy weszliśmy do środka, zapanował straszny tłok, ale mimo wszystko mogliśmy się tutaj rozgościć. Najbardziej byłem jednak zadowolony, gdy znalazłem beczkę z paliwem. Postanowiłem, że odpoczniemy tu przynajmniej przez jeden dzień, a ja wykorzystam wolny czas na uzupełnienie paliwa i sprawdzenie stanu pojazdu. Potem mieliśmy wyruszyć w dalszą drogę.

Zajmowałem się samochodem, kiedy podeszła do mnie Gytha.

— Vere — zapytała — czy te wszystkie zwierzęta to mutanty?

— Myślę, że tak.

— Czy są bardzo inteligentne?

Wzruszyłem ramionami. Skąd mogłem wiedzieć? Musiałbym mieć wyniki badań laboratoryjnych. Ystoben, którego spotkaliśmy na drodze z pewnością wykazał sporą inteligencję w swoich wysiłkach, zmierzających do ściągnięcia nas do klatek. Oczywiście wszyscy słyszeliśmy w przeszłości opowieści o zwierzętach świadomie współpracujących z ludźmi i pod ich kierunkiem. Opowiadano sobie o nich ekscytujące historie, głównie wojenne. Używano ich też do badania warunków na planetach, na których ludzie dopiero po nich stawiali swoje pierwsze kroki. Inteligentne mutanty były bardzo przydatne, jednak nie wszystkie wykazywały cechy i zdolności, które można było wykorzystywać. Koszty ich hodowania jednak zawsze

zwracały się, dlatego prowadzono nad ich rozwojem nieustanne i intensywne badania.

W klatkach na które natrafiliśmy, znajdowało się łącznie dwadzieścia mutantów, żywych i umarłych, piętnastu gatunków. Niektóre były mi zupełnie nieznanne, w tym dwa spośród pięciu martwych. Teraz wszystkie z konieczności zostały wypuszczone na wolność bez urządzeń prowadzących, więc długotrwałe badania nad nimi poszły na marne. Nie był to jednak w tej chwili nasz największy problem.

— Nie wiem. Może nikt na tej stacji tego nie wiedział. Pewnie przywieziono je tutaj właśnie po to, by je badać w naturalnych warunkach — odpowiedziałem na pytanie Gythy.

— Czy któreś z nich są niebezpieczne?

— Nie. Nasza farmakologia zna już wystarczająco pewne środki przeciwko agresywnym zachowaniom. Potrafią się bronić przed niebezpieczeństwem, jednak nigdy nie atakują pierwsze.

— A ten pryszczoróg...

Przez chwilę nie wiedziałem, o czym ona mówi. Ostatniego pryszczoroga widziałem przecież tak dawno temu.

— Jaki pryszczoróg?

— Ten, którego widzieliśmy na ekranie w Butte. Vere, czy to był mutant?

— To niemożliwe. Nigdy nie słyszałem o podobnych pracach nad pryszczorogami.

— Ale ktoś mógł prowadzić je w ukryciu?

— Wszystko jest możliwe...

Gytha szybko pokiwała głową.

— Widzisz — kontynuowała — kiedy komendant wojskowy opuścił Beltane, kiedy wszyscy twierdzili, że prowadzą badania wojenne, wiele laboratoriów nie składało szczegółowych raportów do centrali.

Miała rację. Dlaczego jednak martwiła się o tego jednego pryszczoroga? Zapytałem ją o to.

— Sama nie wiem — odparła. — Prima ciągle o nim wspomina. Mówi, że patrzył na nas z nienawiścią.

— Nawet, gdyby tak było, w co nie wierzę — odparłem ten pryszczoróg, jeżeli wciąż żyje, znajduje się bardzo daleko od nas, na północy, w najbardziej wyludnionej części planety. Nie może być dla nas żadnym zagrożeniem.

— Ale, Vere, jeżeli wszyscy — zawahała się na chwilę, lecz zaraz kontynuowała — jeżeli wszyscy oprócz nas są martwi, wówczas mutanty zaczną pełnić na Beltane rolę ludzi, zachowywać się jak ludzie, rządzić, prawda?

Tak, było to możliwe, jednak wolałem, żeby nawet się nad tym nie zastanawiać, dopóki nie byliśmy pewni...

— Nie wiemy, czy wszyscy nie żyją — powiedziałem stanowczym głosem. — Jutro przeprowadzimy wywiad w terenie. Kiedy tylko znajdziemy najlepszy szlak do przeprawy przez góry, ruszymy w drogę. Ani się obejrzysz, jak będziemy w domu.

— Nie chcę do domu, Vere. Nie chcę tam jechać, jeżeli Kynvet wygląda tak jak Feeholme.

— Nadchodzi zima. Musimy trafić do domu, zanim śnieg zamknie szlaki w górach — kontynuowałem, jakbym w ogóle nie słyszał jej ostatnich słów; nie byłem w stanie w żaden sposób na nie zareagować, gdyż dokładnie wyrażały moje własne uczucia. Prześladowała mnie myśl, że lepiej schronić się w Butte lub w jakiejś stacji na terenie Rezerwatu, niż wracać do martwego Kynvet. Wiedziałem, że nie wolno mi pokazywać dzieciom dzieła zniszczenia, które wchłonęło także ich rodziców.

— Vere, popatrz tylko... — złapała mnie za rękę i zmusiła, żebym popatrzył na Gur Horn.

Na dachu tkwił Thad, zgodnie z moim poleceniem, by rozejrzał się trochę z góry po okolicy. Przebywał tam już od dłuższego czasu, teraz jednak machał energicznie ręką, chcąc zwrócić na siebie uwagę. Machnąłem do niego, by czym prędzej zszedł na ziemię, a sam pośpieszyłam do chaty.

— Jakiś helikopter rozbił się na wzgórzu, na północ od nas — wystękał, zdyszany, kiedy znalazł się na dole. — Zapalił się.

Czy to była ta sama maszyna, którą widzieliśmy poprzedniej nocy? Jeśli rozbiła się o ziemię i stanęła w ogniu, mamy musiał być los załogi.

— Sabian, zestaw pierwszej pomocy. — Annet, która słyszała słowa Thada, zaczęła wydawać polecenia. — Thad, czy nasza maszyna jest w stanie tam dojechać?

Z powątpiewaniem potrząsnął głową.

— Nie wiem. Tam jest bardzo stromo. Można się jednak wspiąć...

— Annet, co ty zamierzasz?..

— Zamierzam pomóc ludziom w potrzebie. — Popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jaki zwykle rezerwowało się dla najbrzydszych pryszczorogów. — Być może są ranni. Musimy się pośpieszyć.

Zrozumiałem, że w tej chwili żadne moje argumenty nie powstrzymają jej.

Rozdział dwunasty

— Thad, zostaniesz tutaj i będziesz wszystkiego pilnował. — Nic nie mogło zmienić raz podjętego postanowienia Annet, jednak nie zamierzała opuszczać dzieci, nie zaprowadzając w Gur Horn jako takiego porządku.

Oczywiście, spodziewałem się protestu z jego strony, a jednak milczał. Znikł gdzieś jego wrodzony upór, który charakteryzował go, zanim podjęliśmy naszą wyprawę w podziemia. Teraz pokiwał jedynie głową i przyjął ode mnie zapasowy oszałamiacz.

— Pozostawajcie przez cały czas w budynku. Poza tym wiesz, co robić — na wszelki wypadek obdarzyłem go komplementem. Znow pokiwał twierdząco głową.

Wyruszyliśmy tylko Annet i ja. Przerzuciła przez ramię zestaw pierwszej pomocy i bez chwili zwłoki skierowała się w tę stronę, którą wskazał Thad. Musiałem iść bardzo szybko, żeby za nią nadążyć. Zmierzaliśmy prosto w kierunku wysokiego słupa ognia i dymu. Stanowił taką wskazówkę, że nie sposób było zablądzić.

Potyając się, niemal biegła po nierównym terenie, śpiesząc się do helikoptera. Nie miałem zamiaru przestrzegać ją przed nadmiernym wysiłkiem. Byłem przekonany, że wkrótce zabraknie jej tchu i zwolni. A jednak równym, szybkim krokiem, dotarła do samego wraku. Dopiero wtedy zatrzymała się, ciężko dysząc. Po chwili przystanąłem obok niej. Helikopter był już tylko gorącą, wypaloną kupą żelastwa.

— Nikt nie mógł tego przeżyć — powiedziałem.

Jej przyśpieszony, ciężki oddech przeszedł w szloch. Nie patrzyła na mnie.

— Sprawdź jeszcze wrak...

— Nie musisz — odparła drżącym głosem. Równie dobrze jak ja wiedziała, że byłoby to bezużyteczne.

Ostatni raz tak wstrząśniętą widziałem ją w podziemnym tunelu, w chwili, gdy zdała sobie sprawę, że jesteśmy odcięci od powierzchni Beltane. Cóż, życie na planecie było dotąd wolne od wszelkiej przemocy, gwałtu, tragedii; doświadczenie czegoś takiego po raz pierwszy musiało być okropnym przeżyciem. Później widziała śmierć Lugarda, tragedię Dagny... A nie zaznała jeszcze najgorszego, nie widziała martwego Feehoime, nie znała prawdziwych rozmiarów nieszczęścia, które nas dotknęło. To było jeszcze przed nią.

Annet powoli odwróciła się, nie patrząc na mnie. Wzrok miała wbity w ziemię. Powolnym krokiem zaczęła iść w kierunku stacji.

Ja tym czasem mimo wszystko skoncentrowałem swoją uwagę na wraku. Szczęśliwie helikopter upadł na odkryty teren, dzięki czemu nie doszło do dużego pożaru. Jako przyszły Strażnik uczyłem się, że właśnie pożar jest największym nieszczęściem dla Rezerwatu.

Z wraku bił taki żar, że nie mogłem podejść do niego zbyt blisko. Nie miałem też nadziei na zidentyfikowanie pilota, który go prowadził. Istniała jednak szansa, że uważne oględziny staną się dla mnie jakąś wskazówką, wyjaśnieniem tego, co wydarzyło się na Beltane.

Miałem rację. Szybko przekonałem się, że mam do czynienia z maszyną takiego typu, jakiego na planecie nigdy nie używano. Wkrótce wśród porzucanych dookoła ładunków znalazłem też miotacz laserowy; przed wojną taką bronią dysponowały jedynie Służby, jednak po opuszczeniu przez nie Beltane, nie powinien być pozostać tutaj ani jeden jej egzemplarz.

Nie byłem w stanie rozpoznać przyczyny katastrofy, wciąż jednak miałem świeżo w pamięci opowieść Annet o wirusie. Była to też jedna z przyczyn, dla których nie dotykałem niczego, co pochodziło z helikoptera. Jeśli tę maszynę pilotowali umierający ludzie, to przecież wszystko, z czym mieli kontakt, mogło być zakażone.

Jednak ofiarami, na które natknąłem się w Feehoime byli wyłącznie ludzie na stałe zamieszkujący Beltane. Czy ten wypadek oznaczał, że zaraza zaczyna przenosić się także na uciekinierów, którzy wylądowali tu za zgodą Komitetu? Czy byli na tyle nieostrożni, że wkroczyli na tereny niektórych osiedli, zanim wirus wyginął? Nurtowało mnie jeszcze wiele pytań, odpowiedzi na które mogłem jedynie zgadywać. Pewien byłem tylko jednego: helikopter pochodził z innego świata.

Kiedy wróciłem na stację, Annet przygotowywała już jedzenie. Zapach gotowanych potraw wyczułem kilkadziesiąt kroków przed budynkiem. That natomiast powitał mnie już w progu pytaniem:

— I co?

— Niewiele się dowiedziałem. Jedynie tego, że nie był to helikopter z Beltane. Być może jakaś zwiadowcza maszyna ze statku uchodźców. Nie mam całkowitej pewności. Wiem jednak na pewno, że wszyscy musimy trzymać się z dala od wraku.

Annet podchwyciła moje znaczące spojrzenie.

— Tak — powiedziała szybko. — Jak najdalej od tego wraku.

Zjedliśmy i ustaliliśmy plan straży nocnej. Annet została zwolniona z warty, gdyż jej stałym obowiązkiem była opieka nad Dagny. Wartę mieli trzymać kolejno Gytha, Thad, Emrys, Sabian i ja. Nie wiedziałem, czy rzeczywiście powinniśmy spodziewać się jakiegoś niebezpieczeństwa, uznałem jednak, że powinniśmy zabezpieczyć się przed wszelkimi niemiłymi niespodziankami.

Ponieważ tymczasem zapadł zmrok, wziąłem latarkę i obszedłem klatki mutantów. Większości już tu nie było, ale ystroben, który doprowadził mnie do tego miejsca, wciąż czuwał przy swoim osłabionym towarzyszu. Wsuwał mu do pyska jedzenie, a ten jadł w milczeniu, nie będąc w stanie podnieść się na cztery łapy.

Widząc że obok stoi puste naczynie, przyniosłem im świeżą wodę, a potem, złożwszy dłonie w kubek, zacząłem pić wycieńczone zwierzę. Zdrowy ystroben odsunął się, wydając odgłos, który wziąłem za wyraz wdzięczności za okazaną pomoc.

Osobnik, którego poilem był rodzaju żeńskiego i bez wątpienia był w ciąży. Drugi stanowił zapewne jego parę. Niewiele wiedziałem do tej pory o ystrobenach. Przywieziono je na Beltane z zewnątrz i były tu wielką rzadkością. Dopiero ostatnio zaczęto umieszczać je w Rezerwatach. Wcześniej żyły jedynie w laboratoriach i najprawdopodobniej były przedmiotem długoterminowego eksperymentu, który właśnie się zakończył. Jeszcze przez chwilę przyglądałem się im, przyniosłem kolejną porcję wody, a potem zająłem się pozostałymi mutantami. Zależało mi, by szybko odzyskały siły, gdyż nie mogliśmy tu długo przebywać i im pomagać. Chociaż... Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie byłoby naj mądrzej, gdybyśmy pozostali tu tak długo, jak by to tylko było możliwe? Gur Horn zdawało się bezpiecznym schronieniem i jego jedyną wadą była właściwie tylko pewna ciasnota.

Nie miałem pojęcia, jak długo potrwa podróż przez góry. Czasami szlaki bywały zamknięte z powodu lawin, jednak o tej porze roku przejście powinno być w miarę pewne i bezpieczne. Po długim zastanowieniu uznałem wreszcie, że pozostanie w Gur Horn nie miałoby sensu. Jeśli Butte nie było okupowane, stanowiło lepsze schronienie, niż jakiegokolwiek miejsce po tej stronie gór.

Ponieważ miałem stać na warcie jako ostatni, położyłem się szybko spać wiedząc, że Thad obudzi mnie, kiedy przyjdzie moja kolej. Sen miałem niespokojny, przerywany, tak bardzo nękały mnie problemy, którym musiałem stawiać czoła podczas ostatnich dni. Toteż kiedy Thad potrząsnął moim ramieniem, od razu zerwałem się na nogi.

— Nic się nie dzieje — wyszeptał mi do ucha — jedynie kilka mutantów wróciło, żeby się najść. Nie podchodzą jednak pod drzwi.

— W porządku. — Kazałem Thadowi położyć się, a sam objąłem posterunek.

Wśród panującej ciszy zacząłem zastanawiać się nad naszym losem. Było nas dziesięcioro, a dookoła jedynie obcy świat, w którym na pewno nie mamy już przyjaciół, a zapewne mamy wielu wrogów.. Mimo że myśl ta narzucała się sama w okolicznościach, w jakich funkcjonowaliśmy przez ostatnie dni, nie chciałem w to uwierzyć. Nie możliwe! Przecież musi być ktoś jeszcze, poza nami. Potrzeba odnalezienia innych ludzi nagle wezbrała we mnie z taką siłą, że w jednej chwili zapragnąłem jak najszybciej wszystkich pobudzić i natychmiast wyruszyć na poszukiwania. Zwalczyłem jednak w sobie tę niecierpliwość i o świcie, nie budząc reszty, w ciszy rozpocząłem drobiazgowo przygotowania do drogi. Przede wszystkim posortowałem zapasy żywności, te z pojazdu, z Feeholme i te, które znaleźliśmy na miejscu, zamierzając zabrać przede wszystkim artykuły najlżejsze, a jednocześnie najbardziej zasobne w energię.

Przeglądając dokumenty stacji natrafiłem na mapę zachodniej części gór z zaznaczonymi przełęczami. Na mapie ktoś odręcznie dorysował trasę dostępną latem dla pojazdów naziemnych.

Gdy tylko poskładaliśmy nasze osobiste bagaże, przystąpiliśmy do ładowania bagażnika pojazdu, postanowiwszy zabrać w drogę tyle jedzenia i tyle wody pitnej, ile to tylko było możliwe. Następnie zajęliśmy się naszymi ubraniami, zastępując najbrudniejsze i najbardziej poniszczone tymi, które znaleźliśmy w stacji. Annet, Prima i Gytha dopasowały część ubrań tak, by pasowały również na najmłodsze, a więc najmniejsze dzieci. Wszystkie przygotowania zabrały nam cały dzień.

Późnym popołudniem Ifors powiedział mi, że dwa ystrobeny opuściły wreszcie klatkę i oddalają się, idąc wzdłuż strumienia. Przerwaliśmy na chwilę prace, by ostatni raz za nimi popatrzeć. Osobnik płci męskiej szedł pierwszy, kontrolując teren, a jego partnerka niepewnie podążała za nim, często zatrzymując się. Oddychała ciężko, a głowę miała opuszczoną bardzo nisko.

Gytha pomachała za nimi, chociaż żaden ystroben nie mógł już tego zauważyć. Cała ich energia i uwaga skoncentrowana była na tym, co przed nimi.

— Mam nadzieję, że nie będzie im źle — powiedziała

Gytha.

— Vere — Prima popatrzyła na mnie — teraz na Beltane wiele mutantów

będzie żyło na wolności, prawda?

— Przypuszczam, że tak. Większość z nich przebywa już w Rezerwatach. Pamiętaj, Komitet zalecił takie rozwiązanie już kilka miesięcy temu. Trudno było trzymać je w laboratoriach, gdyż brakowało dla nich żywności, a zlikwidowanie ich byłoby niepotrzebnym okrucieństwem.

— Ale czy są jeszcze jakieś mutanty w klatkach, pozbawione żywności i wody?

— Chyba nie. Zdaje się, że gdy ostatni raz wyruszyliśmy do Butte, funkcjonowało jeszcze tylko jedno duże laboratorium, które zajmowało się mutantami w Kibthrow. Te, które tu znaleźliśmy pochodzą właśnie z Kibthrow. Poznałem to po oznaczeniach na klatkach. Sądzę, że to ostatnia partia. Wszystkie miały żyć odtąd na wolności, w Rezerwatach.

— Kibthrow — powtórzyła Prima. — To jest za górami, na północ od portu, prawda?

— Tak.

— A więc, Vere, kiedy przejdziemy przez góry, czy ktoś z nas mógłby tam pójść?... Tylko po to, żeby mieć pewność. Tak, obiecuję ci to.

I zamierzałem dotrzymać tej obietnicy. Być może nie przepadałem za mutantami, ale to, co zastałem tutaj kazało mi zwrócić na nie baczniejszą uwagę. Poszukując ludzi, zamierzałem upewniać się, że żadne zwierzę nie zostało skazane na powolną śmierć głodową w klatce dlatego, że człowiek nie zdążył wypuścić go na wolność.

— Rano... — Annet skończyła przesywać i prasować ostatnie małe ubranko, tym razem dla Dinana Norkota.

— Tak — odpowiedziałem twierdząco na nie zadane pytanie. Wcześniej rano zamierzałem wyruszyć w drogę.

Mimo że w ciągu dnia nie widzieliśmy niczego, co sugerowałoby jakiegokolwiek zagrożenie, ponownie wystawiliśmy nocne warty. Niebo tym razem było czyste, rozgwieżdżone i noc bardzo jasna. Opuścił nas ostatni żywy mutant. Mimo to rozsypałem całe jedzenie, jakie po nich pozostało w pobliżu klatek; jeżeli będą powracały, z łatwością znajdą jedzenie, a poza tym nie będą zanadto zbliżać się do budynku.

Objąwszy posterunek zacząłem zastanawiać się podczas warty nad słowami Gythy. Zakładając, że liczba ludzi na Beltane ograniczyłaby się zaledwie do

niewielkiej garstki (wciąż odrzucałem od siebie myśl, że to jesteśmy jedynie my), co wtedy stałoby się z mutantami? Niektórzy eksperymetatorzy wypowiadali się z ogromnym uznaniem o ich inteligencji. Kontynent był ogromny i w większości porośnięty dziką roślinnością; warunki do samodzielnego życia miałyby więc doskonałe. Czy byłaby w stanie wyłonić się z nich nowa, inteligentna rasa, panująca nad planetą? Gdyby tak się stało, człowiek musiałby zniknąć...

Nad ranem zjedliśmy ostatni posiłek w tymczasowym obozie i zapakowaliśmy się do pojazdu. Po raz pierwszy Dagny sprawiała wrażenie w pełni rozbudzonej i świadomej, co się wokół niej dzieje. Siedziała przytulona do Annet, rozglądała się ciekawa wszelkich widoków za szybami, jednak mówiła bardzo niewiele. Annet była przekonana, że to efekt wyjścia z podziemi oraz tego, iż właściwie nic nas od tego czasu nie niepokoiło i że przez cały czas wędrowaliśmy właściwie przez spokojne tereny. Ostrzeżyliśmy wszystkich, na wszelki wypadek by w obecności Dagny nie wspominali o niczym, czego zaznaliśmy w grotach.

Nasza trasa wiodła niedaleko rozbitego helikoptera, ale objechałem go tak szerokim łukiem, jak tylko byłem w stanie. Z maszyny wciąż unosiła się wąska wstęga czarnego dymu.

A potem bez przeszkód już podróżowaliśmy w kierunku krainy gór, chociaż teren był tak wyboisty, że człowiek maszerujący umiarkowanie szybkim krokiem, bez trudu wyprzedziłby nasz pojazd. Nie stosowałem żadnych osłon, gdyż na pustkowiu, w jakim się znajdowaliśmy, w coraz bardziej skalistym terenie, praktycznie nie było stworzeń, których moglibyśmy się obawiać.

Krótko przed południem natrafiliśmy na potężną galopkę.

Zatrzymała się na drodze naszego pojazdu i nie miała najmniejszego zamiaru ruszyć się. Była pięknym, klasycznym przedstawicielem swojego gatunku, który jako jeden z nielicznych na Beltane osiągał dość wysokie rozmiary. Miała bardzo grube futro i długie pazury na przednich łapach, podczas gdy jej tylne kopyta, wielkie i płaskie, umożliwiały szybkie przemieszczanie się po piaszczystym gruncie. Przestraszona galopka stawiała włosy swojego futra na sztorc i wówczas okazywało się, że są one ostre niczym igły. Gdy uciekała, biegła zawsze na dwóch kopytach i nie istniało na Bekane stworzenie, które byłoby w stanie ją dogonić.

Ta jednak nie zamierzała nigdzie biegać i już po kilku sekundach wiedziałem dlaczego. Szarzielony odcień jej futra świadczył, że niedawno zniosła jaja i teraz ich pilnowała. Gdzieś niedaleko nas, wśród skał, musiało więc znajdować się gniazdo i to

było przyczyną zablokowania naszej trasy przez ciężkie, liczące ponad sześć stóp wzrostu, stworzenie. Galopki były tak silnymi zwierzętami, że rozszoszczone, potrafiły poważnie zniszczyć nawet tak ciężki pojazd, jakim się poruszaliśmy.

Nacisnąłem na przycisk uruchamiający tarczę dźwiękową, gdyż nie miałem najmniejszej nadziei, że galopka sama usunie się nam z drogi. Popatrzyłem na jej język szybko wysuwający się i wsuwający do pyska. Galopki nie miały uszu w naszym rozumieniu i wszystkie bodźce dźwiękowe odbierały językiem. Kakofonia dźwięków o wysokiej częstotliwości musiała być więc dla niej udręką.

Zaczęła więc się, chwiać na niepewnych łapach, aż wreszcie cofnęła się za skałę i tam dopiero upadła. Ja tymczasem dodałem pojazdowi dodatkowej energii i szybko przebyłem niegościnnie teren.

Emrys siedzący z tyłu, doniósł mi tymczasem:

— Widzę jej głowę. Ciągłe porusza językiem, ale nie goni nas. Vere! Teraz podniosła się i podeszła do jakiejś szczeliny.

— To jej gniazdo — uznałem. Wyłączyłem tarczę dźwiękową, gdy oddaliliśmy się na tyle, że galopka nie mogła już spodziewać się z naszej strony zagrożenia. Poza tym instynkt z pewnością trzymał ją blisko gniazda i wiedziałem, że nie oddali się od niego, dopóki nie wyklują się młode. A jednak incydent ten dowiódł, że muszę być bardziej czujny; nawet najbardziej spokojna okolica mogła skrywać nieprzyjemne niespodzianki.

— Dagny — popatrzyłem na dziewczynkę. Czy to zdarzenie nie odbije się niekorzystnie na jej stanie?

Annet potrząsnęła głową ostrzegawczo i uspokajająco. Dagny wciąż była do niej przytulona, a oczy miała zamknięte.

— Śpi — powiedziała.

Gdy w południe zrobiliśmy sobie przerwę na posiłek, dokładnie zlustrowałem teren, zanim zgodziłem się na opuszczenie pojazdu. Mimo że słońce stało wysoko, w górach było zimno. Znajdowaliśmy się już na dużej wysokości, a po dokładnym porównaniu terenu z mapą doszedłem do wniosku, że znajdujemy się już niedaleko miejsca, w którym będziemy musieli pozostawić pojazd. zaproponowałem, że gdy dotrzemy do tego miejsca, rozbijemy tam obóz na noc, nawet jeśli do zmroku będzie jeszcze brakowało paru godzin. Pieszą wędrowkę zamierzałem rozpocząć wraz z nowym brzaskiem. Nocne obozowisko rozbiliśmy na szerokiej półce skalnej, odrobinę pochyłej. Na wszelki wypadek pod koła pojazdu podłożyliśmy duże

kamienie, dzięki czemu upewniliśmy się, że maszyna nie spadnie w przepaść podczas naszego snu. Mimo że słońce wciąż świeciło jasnym blaskiem, chłód był jeszcze większy niż podczas południowego postoju. Szczelnie zapiąłem swą tunikę i upewniwszy wszystkich, że w tym miejscu pozostaniemy przez całą noc, udałem się na zwiady. Wędrowcom powiedziałem, że nie będzie mnie mniej więcej przez godzinę.

Przełęcz była wąska, jednak trasę dobrze w przeszłości oznakowano. Nie musiałem więc martwić się, czy przypadkiem nie pobłądziliśmy. Jeżeli wyruszymy o świcie i nie będziemy zatrzymywali się po drodze, przed zmrokiem przebedziemy góry. A u ich podnóża znajdowało się, a przynajmniej powinno się znajdować, schronisko dla podróżnych.

Nie natknąłem się na żadne żywe stworzenie, poza kilkoma, raczej leniwymi czarnymi ptaszyskami, co uznałem za sprzyjającą okoliczność. Pogoda też zdawała się nam sprzyjać.

Annet rozłożyła na kamieniach przenośną kuchenkę i kiedy wróciłem z mojej rozpoznawczej wędrowki, podała mi kubek gorącej kawy. Niestety, musieliśmy zostawić zbędny sprzęt właśnie tutaj — ta decyzja dotyczyła także kuchenki — i była to ostatnia okazja, by pić gorący płyn, czy jeść podgrzany posiłek. Od następnego dnia mogliśmy już liczyć tylko na racje energetyczne i nic innego, dopóki nie dotrzemy do Butte. Miałem nadzieję, że nasza wędrowka do osady nie potrwa dłużej niż dwa dni, chociaż sama myśl o podróży przez krainę lawy napawała mnie lekkim przerażeniem.

Tej nocy znów wystawiliśmy warty. Annet, która miała już mniej kłopotów z Dagny, postanowiła także trzymać straż Przez część nocy, dlatego mogliśmy nieco skrócić okresy poszczególnych wart i każdy z nas mógł trochę więcej czasu przeznaczyć na sen. W kabinie naszego pojazdu było jednak bardzo ciasno i przypuszczam, że tylko najmłodszy spośród nas — a więc najmniejszy — wyspali się jako tako. Jeśli o mnie chodzi, byłem cały ścierpnięty po nocy spędzonej niemal na siedząco, dlatego z wielką ulgą i radością powitałem świt.

Annet jeszcze raz przyrządziła gorącą kawę i jedzenie, zanim schowaliśmy kuchenkę w bagażniku. Po śniadaniu wszyscy, z wyjątkiem Dagny, zarzuciliśmy pakunki na plecy. Każdy z nas obowiązkowo niósł dwa pojemniki z wodą. Ucieszyłem się stwierdziwszy, że mała Dagny wygląda jeszcze lepiej niż poprzedniego dnia. Ustaliliśmy, że będzie maszerowała obok Annet, a Pritha pójdzie zaraz za nimi, służąc pomocą w razie jakiegokolwiek potrzeby.

Ja miałem iść na czele, za mną Gytha, Emrys, Sabian, Annet i dwie dziewczynki, a potem jeszcze Dinan, Ifors i Thad, zamykający pochód. Pozwoliłem na zmiany w szyku podczas wędrówki, z jednym wyjątkiem: ja przez cały czas miałem iść pierwszy. Obaj z Thadem nieśliśmy liny, zakończone stalowymi hakami, które do tej pory tak dobrze nam służyły i które, w razie potrzeby, miały posłużyć jako liny ratownicze.

Kiedy tylko słońce pokazało się na niebie, wyruszyliśmy. Nie sądzę, by wówczas ktokolwiek z nas obejrzał się z żalem za siebie.

Rozdział trzynasty

Wspinaliśmy się oczywiście o wiele wolniej, niż czyniłbym to, gdybym odbywał tę wędrówkę sam, a jednak chodziło nam przede wszystkim o oszczędzanie sił. Im dłużej była w stanie iść Dagny, tym lepiej było dla nas wszystkich. Było zimno, bardzo zimno — prawie tak jak w grocie lodowej. A porywisty wiatr bez przerwy szarpał naszymi tunikami.

Nigdzie nie było już drzew, gdzieniegdzie spomiędzy skał prześwitywały jedynie kępy rzadkiej trawy i skąpe krzaki. Nieliczne górskie zwierzęta nie sprawiały wrażenia, że się nas boją; przyglądały się nam raczej bardziej z zaciekawieniem niż z obawą. Na każdym krótkim postoju przykładałem do oczu lornetkę i patrzyłem na drogę, którą już przebyliśmy. Właściwie nie wiedziałem, co spodziewam się zobaczyć. Oczywiście, nikt nie mógł natknąć się na wrak helikoptera. Obawiałem się jedynie tego, że nie wszyscy, którzy nim lecieli, zginęli i za naszymi plecami może pojawić się wróg, zmuszony — jak i my — przejść przez góry. Mimo że nie padał deszcz, niebo było z każdą chwilą coraz bardziej zachmurzone. Pogarszająca się pogoda była tym czynnikiem, który nakazywał mi przyśpieszać marsz. Do tej pory Dagny spisywała się lepiej, niż początkowo przypuszczałem, dotrzymując kroku Annet i Prithy. Kilkakrotnie nawet odezwała się, pokazując im paluszkami jakieś szczególnie ciekawe zwierzęta, które pojawiały się w oddali.

Wkrótce znaleźliśmy się tak wysoko, że jedyną roślinnością, jaką zauważaliśmy, były wysokogórskie porosty. W załomach skał widzieliśmy śnieg. Wiatr hulał w najlepsze i niewiele chroniły nas przed nim nawet postawione na sztorc kołnierzyki naszych tunik. Najgorsze, że właśnie wtedy Dagny zaczęła słabnąć — akurat, gdy zbliżał się najtrudniejszy fragment naszej wędrówki. Zarządziłem postój.

Pomiędzy dwiema wysokimi skałami widniała dość szeroka szczelina i tam znaleźliśmy schronienie. Podczas, gdy pozostali jedli z apetytem nasze energetyczne posiłki, ja zacząłem oglądać mapę, którą znalazłem w stacji. Nie było obawy, że zgubimy drogę; ta była bardzo dobrze oznaczona w terenie. Spróbowałem określić dystans, jaki dzielił nas jeszcze od schroniska po drugiej stronie łańcucha górskiego.

— Jak daleko? — zapytała Annet. Dagny siedziała jej na kolanach, główkę miała opartą o jej ramię, oczy zamknięte.

Pomyślałem, że jej oddech jest trochę zbyt szybki, chociaż wszyscy spośród

nas oddychali trochę łapczywiej niż zwykle.

— Musimy przedostać się przez przełęcz, a potem będziemy już mieli do przejścia niewiele więcej, niż odległość, jaka w tej chwili dzieli nas od maszyny.

— Ona nie da rady tego przejść — powiedziała Annet stanowczo.

Wiedziałem, że ma rację.

Otworzyłem plecak i wysypałem całą jego zawartość na ziemię. Przed wyruszeniem w drogę bardzo przerzedziliśmy zawartość naszych bagaży, przewidzieliśmy jednak także, iż znajdzie potrzeba jeszcze większego odchudzenia niesionych przez nas ciężarów, chociażby w takim wypadku, z jakim mieliśmy właśnie do czynienia.

Przede wszystkim odkładałem na bok to, bez czego nie moglibyśmy się obejść. Z pewnością potrzebne były dodatkowe ładunki do oszałamacza i porcje energetyczne, z których większość i tak wkrótce zjemy. Jednak dodatkowe koce... Thad położył dłoń na jednym z nich.

— Ja go wezmę. Drugim owiniesz dziewczynkę. A to... — wskazał na zapasową lampę — przytroczę sobie do pasa.

Kiedy zatem ponownie ruszaliśmy w drogę, Dagny, opatulona w koc, tkwiła w moim plecaku. Prawie nie ruszała się.

Głowę miała opartą na moim ramieniu, a ja wyczuwałem, że powoli znów ogarniają śpiączka.

Szczęśliwie marsz po skalistej drodze nie wymagał wysiłku i w duchu dziękowałem ludziom z Bezpieczeństwa, którzy kiedyś przystosowali tę trasę do szybkiego marszu. Oczywiście nie było tak dobrze, że nie mogło być lepiej, a jednak rzeczywistość i tak przekraczała moje najśmielsze oczekiwania.

Przełęcz była głębokim wcięciem pomiędzy dwoma szczytami. Nigdy nie docierało tu słońce, a wiatr hulał w niej ze zdwojoną energią, dlatego nieustannie podpieraliśmy się o skalne ściany, ostrożnie stawiając każdy krok. Dagny ważyła o wiele więcej niż pakunki, które wyrzuciłem, musiałem więc być podwójnie ostrożny, by w którymś momencie, pod wpływem nieostrożnego stąpienia, czy silniejszego podmuchu nie przewrócić się.

Za przełęczą trasa prowadziła już w dół. Wiedziałem, że zejdziemy na niższy poziom niż ten, na którym pozostawiliśmy pojazd. Cieszyłem się z tego i już gratulowałem sobie w duchu udanej przeprawy, gdy wpadliśmy w prawdziwe kłopoty.

Wciąż prowadząc całą grupę, niespodziewanie natknąłem się na głęboką

wyrwę, ucinając nasz szlak pod kątem prostym, tak równo, jakby jakiś gigant posłużył się nożem, by zniweczyć wysiłki ludzi, którzy przygotowywali tę trasę. Nie miałem pojęcia, czy wyrwa istniała już wtedy, gdy Bezpieczeństwo przygotowywało górską przeprawę. W każdym razie nie była ona zaznaczona na mapie. Była zbyt szeroka, żeby ją przeskoczyć, a nie miałem pojęcia, jakim sposobem moglibyśmy zbudować tutaj most.

Wycofaliśmy się za niewielki załom skalny i skuliśmy wszyscy razem. Gorączkowo zastanawiałem się, co zrobić. Mieliśmy liny i haki. Wykorzystując je, mogliśmy opuścić się do szczeliny, a potem spróbować wspiąć się z powrotem na drugą stronę przepaści, mając nadzieję, że wcześniej stabilnie umocujemy haki w górze.

Zostawiłem Dagny z Annet, polecając całej grupie pookrywać się kocami dla zachowania ciepła. Thad umocował liny i kontrolował moje zejście do rozpadliny. Na jej dnie grunt był bardzo nierówny, pełen luźnych kamieni, które uniemożliwiały swobodne chodzenie; wciąż trzeba było patrzeć na ziemię, by przy nieopatrzonym kroku nie skrzyć nogi.

Długo rozglądałem się, zanim znalazłem fragment ściany, po którym ewentualnie moglibyśmy wspinać się przy pomocy lin. Uznałem, że tej wspinaczki możemy nie dokończyć przed zapadnięciem zmroku i z takim też przekonaniem powróciłem do prowizorycznego schroniska.

Noc zbliżała się bardzo szybko. Spożyliśmy posiłek i odbyliśmy naradę. Annet stanowczo sprzeciwiła się nocowaniu w chłodzie, pod gołym niebem. Martwiła się o stan Dagny, ale nie tylko, także o pozostałe dzieci. Rozważywszy wszystkie za i przeciw zgodziłem się z nią. Postanowiłem zrobić wszystko, by rozpadlinę pokonać jeszcze za dnia i dalszą drogę — mapa wskazywała, że niewiele jej jeszcze pozostało — odbyć przy świetle lamp i latarek. Należało jedynie używać ich bardzo uważnie, by nie skupić na sobie uwagi kogoś, kogo wcale nie chcielibyśmy informować o naszym istnieniu.

— To, że nas ktoś zobaczy — odparła Annet, kiedy powiedziałem o tym głośno — to tylko potencjalne zagrożenie, które tak naprawdę może wcale nie istnieć. Spędzenie nocy w tym miejscu grozi o wiele bardziej poważnymi konsekwencjami.

— Zatem maksymalnie osłaniajmy światła — mówiłem — kierując promienie latarek jedynie na szlak. Taki marsz będzie bardzo wolny...

— Ale lepszy taki marsz, niż pozostawanie tutaj.

— Zatem, do dzieła. Najpierw musimy przebyć jednak rozpadlinę.

Okazało się, że to pierwsze zadanie nie przerosło naszych możliwości. Wzajemnie się asekurując, bezpiecznie pokonaliśmy drogę w dół i w górę. Z rozpadliny wyszedłem ostatni, z Dagny na plecach, niemal wciągnięty na linie przez chłopców, gdyż na samodzielną wspinaczkę z takim ciężarem nie miałem sił.

Po zmroku nie widziałem już wskazówek mojego zegarka, dlatego nie mam pojęcia, jak długo trwało nasze czołganie się — to chyba najwłaściwsze słowo — w dół po górskim zboczach, w słabym świetle latarek. Droga, która za dnia zdawała się prosta i łatwa, w nocy, dla ludzi obciążonych licznymi pakunkami, zmęczonych i głodnych, była prawdziwą udręką. Trzymaliśmy się blisko siebie, stąpając sobie niemal po piętach, gdyż każde oddalenie się na bok groziło przewróceniem się i upadkiem w przepaść.

Noc była pochmurna, jednak na szczęście nie padał deszcz. Po długiej, uciążliwej wędrówce dotarło do mnie, że wiatr nie jest już tak mocny, jak w najwyższych partiach gór, a pod nogami zaczynają pojawiać się nawet rośliny. A jednak szliśmy jeszcze przynajmniej godzinę, zanim latarka Thada, który tym razem szedł na początku, wyłowiła z ciemności frontową ścianę górskiego schroniska.

Nie był to wygodny, ani dobrze postawiony budynek; w niczym nie przypominał stacji stawianych w Rezerwatach. Jego drzwi krzywo wisiały na jednym zawiasie, a ponad progiem wiatr w najlepsze zamiatał liście i ziemię. A jednak z ulgą przyjąłem te oznaki, świadczące, iż budynek od bardzo dawna przez nikogo nie był wykorzystywany, bo nasza samotność w tym wypadku oznaczała zarazem bezpieczeństwo.

Potykaç się, wkroczyliśmy do schroniska i jak na zawołanie padliśmy pokotem na brudną podłogę. Jedynie Thad obszedł z latarką wszystkie kąty, a my przyglądaliśmy się oświetlanym przez niego fragmentom chaty. Powoli docierało do nas, jak ubogie i zapuszczone jest nasze nowe schronienie. Nie było tu łóżek — pozostały po nich tylko twarde deski na Podpórkach. Jedyna szafa świeciła pustymi półkami. Poza tym nie stał tu ani jeden mebel, nie było kuchenki, wody, niczego.

Obgryzione kości w jednym z kątów świadczyły, że po opuszczeniu tego miejsca przez ludzi, chroniły się tutaj czasem zwierzęta. Kości były jednak bardzo stare, zapewne więc i zwierzęta przybywały tutaj bardzo rzadko.

Annet postawiła na ziemi swój plecak, wyciągnęła koce i szybko rozłożyła je na jednej z desek, przygotowując pośłanie dla Dagny. Po chwili odebrała

dziewczynkę ode mnie. A ja zapragnąłem w tej chwili czegoś gorącego do picia, chociaż wiedziałem, że pragnienie to pozostanie tej nocy jedynie marzeniem.

Ci spośród nas, dla których nie starczyło tych twardych łóżek, porozkładali się na kocach, rozwiniętych bezpośrednio na podłodze. Sam zająłem miejsce blisko drzwi, z oszałamiaczem gotowym do natychmiastowego użycia, pod ręką. Mimo ogromnego zmęczenia, nie mogłem zapominać o naszej sytuacji; z tej strony gór wystawienie wart na noc było jeszcze bardziej wskazane niż przed ich przebyciem.

Wiatr cichł wraz z każdą upływającą sekundą. Moje ciało było tak obolałe, że każdy ruch sprawiał mi trudność, a jednak nie byłem senny. Odnosiłem wrażenie, że przekroczyłem granicę, za którą potrzeba snu już nie występuje. Słyszałem ciężkie oddechy pozostałych. Tej nocy nikt nie pojękiwał, nikt nie miał koszmarów; wszyscy po prostu głęboko oddychali, skrajnie wyczerpani.

Nie miałem pojęcia, w jakiej znajdujemy się odległości od Butte Hold. Być może odczytałbym to z mapy, ale tej nocy nie miałem już do tego siły. Zastanawiałem się, czy damy radę przebyć pieszo niezbadane ostępy krainy lawy, leżące teraz pomiędzy nami a Butte. Jeżeli nie... Może lepiej byłoby nie wracać do Butte, mimo że zostawiliśmy tam helikopter z mnóstwem zapasów?

Byłem zbyt zmęczony, żeby myśleć logicznie, a jednak wszelkie problemy jakby się uparły, jeden po drugim zaczęły nawarstwiać się w moim nie funkcjonującym już sprawnie umyśle. Coraz bardziej korciło mnie, by posłuchać Annet i kontynuować wyprawę w kierunku osiedli, w których jeszcze niedawno z całą pewnością zamieszkiwali ludzie. Mielibyśmy do pokonania znacznie krótszą i łatwiejszą drogę. Musieliśmy poszukać jakiegoś środka transportu i wtedy dopiero podjąć próbę przedostania się do Butte. Butte stałoby się naszą centralną bazą...

— Vere.

Odwrociłem głowę od drzwi. Zbliżył się do mnie Thad; poznałem go po głosie.

— Przejmę wartę.

Nie pragnąłem niczego innego, jak pozbycia się chociaż na chwilę tej odpowiedzialności, jednak wiedziałem, że przecież nie zasnę.

— Nie mogę spać — powiedziałem. — Zostanę.

— Vere... — Nie zaakceptował mojej nie wypowiedzianej sugestii, by z powrotem położył się. — Dokąd teraz pójdziemy?

— Do Butte Hold, jeżeli to będzie możliwe.

— Czy możemy nie dać rady przebyć krainy lawy? — Chyba sam już się nad tym zastanawiał, tak jak ja.

— Być może. Być może też w Butte będą ludzie ze statku. — W kilku słowach, urywanym szeptem, po raz pierwszy powiedziałem mu o spotkaniu Lugarda z uciekinierami.

— Uważasz więc, że szukają skarbu? Tego, który widzieliśmy w lodowej grocie?

— Sądzę, że o to im chodzi.

— Co więc zrobimy?

— To, co jesteśmy w stanie. Nad ranem dokładnie obejrzymy mapy; może znajdzie się jakieś mało uczęszczane przejście do Butte, takie, z jakiego z całą pewnością nie będą korzystał uchodźcy. Jeżeli będziemy mogli skorzystać z takiej trasy i jeśli Butte rzeczywiście będzie puste, wprowadzimy się tam— Butte ma bardzo rozbudowane systemy obronne.

— Lugard wiedział o nich wszystko. My jednak w ogóle ich nie znamy.

— To się nauczymy, metodą prób i błędów, jeżeli zajdzie taka potrzeba — odparłem. Rozmowa z Thadem, co dziwne, uspokajała mnie, jakbym potrzebował właśnie tej wymiany zdań na temat szans i zagrożeń, jakie na nas czekają, żeby zrzucić z siebie ogromne napięcie. Nagle poczułem się tak senny, że nie byłem w stanie utrzymać otwartych oczu.

— Przejmij wartość, Thad. — Miałem jeszcze tylko tyle siły, żeby powiedzieć te słowa. Pamiętam jeszcze, jak głowa opadła mi na koc, a potem już nic.

Gdy obudziłem się promienie słońca padały na moją twarz. Było ciepło i ten fakt z radością odnotowywało całe moje ciało. Usłyszałem jakieś przytłumione dźwięki rozmowy prowadzonej szeptem. Kiedy usiadłem i przetarłem oczy, ujrzałem, że dzieci postarały się doprowadzić schronisko do jako takiego porządku.

Pożółkłe liście i piasek zostały wymiecione na dwór. Koce, z wyjątkiem tego, na którym spałem, leżały starannie złożone na jednym z łóżek. Annet siedziała przy drzwiach na miejscu, gdzie zasnąłem. Pod ręką miała oszałamiacz, zajęta jednak była sortowaniem jakichś owoców, które odkładała na wielki, zielony liść. Prima zajęta była razem z nią. A Dagny siedziała pomiędzy nimi, od czasu do czasu sięgając po jeden z owoców i jedząc go. Po pozostałych dzieciach w schronisku nie było ani śladu. Pritha podniosła oczy i zobaczyła, że obudziłem się, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

— Vere już nie śpi, Annet — powiedziała.

— Najwyższy czas — zagrzmiała Annet. Wiedziałem jednak, że nie ma do mnie pretensji o zbyt długi sen. Podniosła się z kolan. — Umyj się. Zaraz za schroniskiem płynie strumyk. Potem dostaniesz śniadanie. Pewnie potrzebujesz nie mniej jedzenia niż snu.

— Skoro tak twierdzisz, zgadzam się.

Doskonale zdawałem sobie sprawę z ogromnej pustej przestrzeni w moim żołądku, a jednak nie to było teraz najważniejsze. Uderzyła mnie swobodna atmosfera, w jakiej prowadziliśmy tę rozmowę. Annet, po raz pierwszy od wielu dni była niemal wesoła, a jej radość spowodowana była pewnością i radością, że wkrótce powróci do ukochanego domu. Czy ten nastrój wywołał w niej fakt, iż znajdowaliśmy się już tak niedaleko upragnionego celu naszej podróży? Czy spodziewała się, że zastanie dom nietknięty, kiedy powrócimy do Kynvet? Wątpiłem w taką ewentualność, a jednak nie zamierzałem na razie niszczyć atmosfery swobody i wesołości. Sam cieszyłem się, że napięcie, które towarzyszyło nam bezustannie przez ostatnie dni, trochę opadło.

Rzeczywiście, za schroniskiem płynął wąski strumyk i z radością z niego teraz skorzystałem. Możliwość umycia się dodatkowo poprawiła moje samopoczucie. Wciąż klęczałem nad wodą, kiedy pojawił się przy mnie Thad. Widząc, że kończę mycie, zaczął bez wstępów:

— Rano dokładnie obejrzałem mapę. Kraina lawy znajduje się dokładnie pomiędzy nami a Butte. Jednak — zmarszczył czoło — wspiałem się na najwyższy punkt, jaki był dostępny w pobliżu, ponieważ chciałem cokolwiek zobaczyć na własne oczy. Zobaczyłem... Nie powiedziałem jeszcze pozostałym. Wołałem, żebyś ty dowiedział się pierwszy.

— W porządku. — Wytarłem dłonie w długą trawę. — O co chodzi?

— Vere! Jesteś gotowy? Śniadanie! — zawołała Annet.

Thad miał niepewną minę.

— Czy chodzi o coś, o czym lepiej byłoby jeszcze im nie mówić? — skinąłem głową w kierunku schroniska.

Thad przytaknął.

— Gytha też widziała, ale będzie cicho. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Właściwie, to możesz spokojnie zjeść śniadanie, a potem się martwić.

— Vere — Gytha podeszła aż do strumyka — chodź, bo...

Thad uciszył ją ruchem ręki i przez sekundę sprawiała wrażenie, jakby się na niego rozzłościła. Zaraz jednak na jej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

Śniadanie nie smakowało mi więc tak jak mogłoby. Bez słowa zjadłem rację energetyczną, która teraz z trudem przechodziła mi przez gardło, a na deser połknąłem trochę owoców, zebranych przez Annet. Odgadywałem, że Thad i Gytha niecierpliwą się, jednak starannie ukrywali to przed pozostałymi. Najadłszy się, wyszedłem wreszcie ze schroniska tłumacząc, że mam zamiar zlustrować okolicę. Po raz pierwszy Annet nie pytała mnie dokąd idę. Ucieszyłem się z tego, jednak, na wszelki wypadek, by nie zawołała mnie w ostatniej chwili, opuściłem schronisko w wielkim pośpiechu.

Thad i Gytha poprowadzili mnie ku zaimprovizowanej drabinie, opartej o smagane wiatrem drzewo. Zbudowana z nierównych drągów i kijów, stała tu już zapewne od długiego czasu. Gdy wspieiliśmy się dzięki niej na najwyższą gałąź zdolną, by nas utrzymać, przyłożyłem do oczu lornetkę. Kiedy wyregulowałem ostrość, od razu zauważyłem helikopter. Tkwił przed moimi oczyma, stojąc na ziemi, w cieniu kilku drzew i mimo sporej odległości, sprawiał wrażenie sprawnego i gotowego do lotu.

— Bez problemu dolecielibyśmy nim do Butte — zauważył Thad.

Było to oczywiście prawdą, jednak sam fakt, że o niecałą godzinę drogi od nas znajdował się helikopter, wcale nie oznaczał, że możemy po prostu do niego wsiąść i odlecieć. Sądzę, że te same wątpliwości miał Thad, bo zaraz dodał:

— Nie wiemy, czy na pewno jest sprawny. Jednak długo obserwowaliśmy go, Gytha i ja, na zmianę, przez większość poranka. Nie zauważyliśmy wokół niego żadnego ruchu. Nie wiem, może to pułapka?

Rozumował poprawnie, jednak nie byłem skłonny z własnymi przypuszczeniami posuwać się aż tak daleko.

— Jeżeli to jest pułapka, to na pewno nie zastawiona na nas — powiedziałem. — Gdyby ktoś dowiedział się o naszej obecności, już byśmy o tym wiedzieli. Do tej pory natknęliśmy się tylko na jeden helikopter, a on przecież się rozbił. Z drugiej strony...

— Czy przypuszczasz, że tam są martwi ludzie, tak jak w Feehoime? — zapytała Gytha.

Nie widziałem powodów, by odpowiadać przecząco na to ponure pytanie.

— To bardzo możliwe.

— Ale skoro zabił ich jakiś wirus, już jest niegroźny, prawda? A przecież potrzebujemy tego helikoptera...

— Co wiesz o wirusie? — zawołałem, ale zupełnie niepotrzebnie. Leżała przecież obok nas w pojeździe, kiedy Annet opowiadała mi o swoich obawach.

— Słyszeliśmy. Thad i ja wiemy, wie też Emrys i Sabian. Innym niczego nie powiedzieliśmy. Prithajest przekonana, że mama wciąż na nią czeka. A Ifors przez cały czas mówi o ojcu. Lepiej niech o niczym nie wiedzą, dopóki to nie jest konieczne. Ale, Vere — powróciła do zasadniczej sprawy — czy możemy wykorzystać helikopter, skoro nie musimy się martwić, że zostaniemy zarażeni?

— Przypuszczam, że tak. Nie mamy jednak na razie pewności, że Feehoime zostało zaatakowane właśnie przez wirus.

— Przecież jesteś zdrowy, Vere, a ty tam byłeś. Przyniosłeś nam jedzenie. Jedliśmy je i nikt spośród nas nie zachorował, z wyjątkiem Dagny, a przecież nikt nie ma wątpliwości, że ona nie cierpi z powodu wirusa. — Gytha od razu chciała wyjaśnić sprawę.

— Prawda. Dlatego zrobimy tak: wy wszyscy tu zostaniecie. Thad, ty przejmiesz dowodzenie. Ja postaram się dotrzeć do helikoptera. Jeżeli będzie nadawał się do użytku, przylecę nim tutaj. — Przez chwilę milczałem. — Jeżeli wyruszę natychmiast, być może wrócę przed zmrokiem. Powiedzcie całej grupie, że badam naszą dalszą trasę.

— W porządku — powiedział Thad.

Kiedy znaleźliśmy się na ziemi, Gytha powiedziała niespodziewanie:

— Chcę iść z tobą, Vere.

— Nie.

— Ale, Vere, jeżeli to jest pułapka? Dobrze posługuję się oszałamiaczem i nie podejść z tobą do maszyny. Będę cię osłaniała, kiedy ty będziesz ją oglądał.

— Nie. — Po chwili moją odmowę poparłem argumentem, który, miałem nadzieję, przekonają: — Właśnie dlatego, że dobrze posługujesz się oszałamiaczem, Gytha, chcę, żebyś tu pozostała. Przeprowadzenie tutaj helikoptera to zadanie, które można wykonać w pojedynkę. Uwierz mi, zastosuję wszelkie środki ostrożności. A jeśli rzeczywiście zastawiono na nas pułapkę, jeżeli naprawdę ktoś od pewnego czasu nas śledzi, to najniebezpieczniej będzie właśnie tutaj, w schronisku. Dlatego, jak mnie nie będzie, wszyscy macie zamknąć się w środku i czekać, uważnie wypatrując, czy gdzieś na zewnątrz nie czai się niebezpieczeństwo.

Zagrozenie było raczej mało prawdopodobne, a jednak istniało i mogłem z czystym sumieniem przyznać przed samym sobą, że nie okłamuję Gythy. Nie protestowała, mimo że jej usta wygięły się na moment w buntowniczym grymasie.

— Jeżeli nie wrócę do zmroku — powiedziałem do Thada — przenocujcie, a potem szukajcie jakiegoś innego schronienia. Nadal uważam, że Butte jest najlepszym miejscem, do którego możemy się udać, o ile jest puste. Jednak...

Nie wiedziałem, jakich rad mu jeszcze udzielić. Nie mogłem przecież przewidzieć, co w najbliższych godzinach stanie się z nimi, ze mną... Po co więc obciążać Thada poleceniami, które mogły okazać się nietrafione, gdyby sytuacja rozwinęła się w nieprzewidywanym przeze mnie kierunku.

— Rób to, co będziesz uważał za najbardziej właściwe — dodałem.

— Tak. Vere...

Odwrociłem się, bo właściwie to już byłem w drodze.

— Uważaj na siebie — powiedział Thad, niemal ze złością w głosie — nie możemy sobie pozwolić na to, by cię stracić.

Do tej pory odnosiłem wrażenie, że Thad robi wszystko, żeby podważyć mój autorytet. Nie przyszło mi dotąd do głowy, że może mnie traktować tak, jak ja na początku tej przygody traktowałem Lugarda, jako wyrocznie i wzór do naśladowania. I wcale mi się ta myśl, kiedy już nadeszła, nie spodobała, ponieważ do tej roli byłem zupełnie nie przygotowany. Uniosłem dłoń w pozdrowieniu i szybkim krokiem ruszyłem przed siebie.

Pomyślałem, że aż dotąd nie planowaliśmy naszej przyszłości dalej, niż kilka dni naprzód. Sam spekulowałem, jak i wszyscy członkowie mojej grupki, że coś straszego musiało wydarzyć się na Beltane. Jednak nie zastanawiałem się, co dalej zrobimy, jeżeli pozostaliśmy na planecie jedynymi ludźmi. Powinniśmy pójść do portu i zawiadomić o naszym nieszczęściu wszystkie najbliższe światy. Lecz nie miałem żadnej pewności, że w ciągu najbliższych lat ktoś zareaguje na naszą wiadomość; może już nigdy nie doczekalibyśmy się reakcji. Co wtedy? Zacząłem odpędzać od siebie tę natrętną myśl. Powinienem przecież skupić się na tym, co czeka mnie w ciągu najbliższych godzin, a nie lat. A w ciągu najbliższych godzin miałem przecież sprawdzić helikopter.

Jeżeli został porzucony, lub jeśli znajdowały się w nim jedynie zwłoki, stanowił dar fortuny. Moglibyśmy już nie obawiać się wędrówki przez krainę lawy. Wiedziałem jaką udręką byłoby przejście przez nią na nogach, z bardzo

ograniczonymi zapasami, bez przewodnika, bez żadnej szczegółowej mapy.

Skręciłem trochę w lewo z dotychczasowego szlaku, idąc za wskazaniem kompasu. Wkraczałem do gęstego lasu, chociaż drzewa nie były tu jeszcze tak potężne jak te na dole. Zrozumiałem, że teraz dopiero tak naprawdę przyda mi się wiedza, jaką zdobyłem kształcąc się na Strażnika.

Tak, jak się spodziewałem, w miarę, jak schodziłem w dół, drzewa były wyższe, a wędrówka wśród nich trudniejsza. Co jakiś czas zatrzymywałem się i słuchałem. Jednak nigdy nie dotarł do mnie żaden dźwięk, poza typowymi odgłosami lasu.

Mimo iż tego nie odczuwałem, musiałem iść dość szybko, bo ściana drzew rozstała się przede mną niespodziewanie. Znalazłem się na małej polanie, na której stał helikopter.

Cofnąłem się szybko i zacząłem uważnie przypatrywać się maszynie. Jej drzwiczki były do połowy otwarte.

Kiedy zrozumiałem, dlaczego maszyna tutaj wylądowała, wyszedłem na polanę i ruszyłem w kierunku helikoptera, mimo że wiedziałem, iż za kilka chwil ujrzę widok, który wcale nie będzie przyjemny.

Rozdział czternasty

W środku znajdowało się czterech pasażerów; jeden z nich z pewnością znalazł się tutaj wbrew własnej woli. Siedział na miejscu pilota i miał na sobie ubranie pochodzące niewątpliwie z Beltane, podczas gdy osobnik znajdujący się za nim miał na sobie niekompletny mundur uchodźcy i miotacz laserowy w zaciśniętej ręce. Łatwo było domyśleć się, że groził nim pilotowi do samego końca. Pozostali dwaj pasażerowie helikoptera także mieli mundury.

Wolałbym nie przypominać sobie następnej godziny. Nie miałem przy sobie niczego, co mogłoby posłużyć mi do kopania w ziemi. W tej sytuacji zrobiłem dla zmarłych tyle, ile byłem w stanie: wydobyłem z helikoptera i zasypałem ich zwłoki suchym piaskiem. Gdy tego dokonałem, byłem skrajnie zmęczony, jednak dysponowałem helikopterem, który okazał się sprawny i zdolny do natychmiastowego lotu.

Mogłem jedynie spekulować, dokąd ci ludzie lecieli w swej ostatniej godzinie. Może chcieli dotrzeć do jakiegoś miejsca za górami, może chodziło im nawet o Butte Hold, bo przecież w okolicy nie było żadnego obozu, ani osiedla. Martwi byli już Jednak co najmniej od kilku dni.

Lot ku schronisku na zboczu góry okazał się niezwykle łatwy. Maszyna była dobrze utrzymana, nawet lepiej niż te z Kynvet, którymi do tej pory posługiwałem się. Ponieważ Jednak nie posiadała urządzenia rejestrującego loty, nie mogłem dowiedzieć się skąd tutaj przybyła, ani dokąd zmierzała w chwili, kiedy jej pilot i pasażerowie umarli.

Zmierzchało już, kiedy osadzałem helikopter na polanie przed schroniskiem. Wyszędłszy z kabiny, z ulgą stwierdziłem, że wszystkie dzieci są w komplecie.

— Do domu! — krzyknęła Annet, kiedy ujrzała mnie i helikopter. — Nareszcie będziemy mogli polecieć do domu.

— Nie tak od razu — powiedziałem.

— Dlaczego? — zawołała gwałtownie. — Musimy wrócić do Kynvet i dowiedzieć się wreszcie, co się stało.

— Jeśli o mnie chodzi, to mniej więcej wiem już, co się stało. — Wiedziałem, że prędzej czy później, będę musiał powiedzieć im wszystkim. — W tym helikopterze leciał Jeniec i jego strażnicy. Jeniec był człowiekiem z Bekane, a jego strażnikami —

uchodźcy ze statku.

— Kto to był? — zapytała Annet.

Potrząsnąłem głową.

— Nie wiem.

Ku mojej uldze Annet nie upierała się, zadała mi natomiast bardziej praktyczne pytanie:

— A więc, dokąd, jeżeli nie do domu?

— Do Butte Hold. Pamiętasz pokój łączności? — Jedyne tym mogłem ją skusić. Czy jednak za chwilę nie powie, że urządzenia komunikacyjne w innych miejscach nie udzieliły nam odpowiedzi na żadne pytania? A jeśli zacznie nalegać, by mimo wszystko lecieć do Kynvet, czy mój autorytet wystarczy, żeby jednak skierować się do Butte? Do tej pory nigdy nie sprzeczałyśmy się do granic uporczywości i w tej chwili była to ostatnia rzecz, jakiej było nam potrzeba.

— Do Butte — powtórzyła, a potem umilkła, jakby nad czymś się zastanawiała.

— To jest w tej chwili najbezpieczniejsze miejsce na planecie, jakie znam. Nic nie może równać się ze zgromadzonymi tam zapasami broni, narzędzi i żywności. Lugard mówił, że jest to tak umocniona forteca, że żadna siła istniejąca na tym świecie nie zdobędzie jej.

— Obyś miał rację. Na razie nie wiemy jaka siła występuje przeciwko, nie wiemy nawet, czy pochodzi z tego świata.

Ale, jeśli tak trzeba... Polecimy do Butte. Czy chcesz wyruszyć jeszcze dziś w nocy?

— Nie, wcześniej rano.

Spędziliśmy więc drugą noc w prymitywnym schronisku. Nie mieliśmy jednak powodu do narzekań. Dzięki uśmiechowi fortuny dysponowaliśmy doskonałym środkiem transportu i omijała nas konieczność odbycia długiego i uciążliwego marszu przez krainę lawy.

Przed snem sprawdziłem, czy działa system łączności helikoptera. Nie znalazłem w nim śladu awarii, jednak z eteru dobiegał jedynie cichy szum. Sam nie odważyłem się nadać żadnej wiadomości.

Już o świcie załadowaliśmy się wszyscy do kabiny. Gdy cała nasza dziesiątka znalazła się w środku, było nam tak ciasno jak w pojeździe naziemnym, jednak nic sobie z tego nie robiliśmy. Byliśmy szczęśliwi, że polecimy. Gdy wzniosłem maszynę

w powietrze, od razu obrałem kurs, który miał doprowadzić nas prosto do Butte.

Podczas lotu nad krainą lawy moja wdzięczność wobec losu, że nie musimy odbywać tej drogi pieszo, jeszcze wzrosła. Ziemia pod nami była jednym wielkim labiryntem rowów i kraterów. Przypomniałem sobie, że przecież jedyną wędrówkę po niej odbyliśmy pod przewodnictwem Lugarda. Zrozumiałem, że gdybym miał sam prowadzić moją gromadkę, najprawdopodobniej szybko bym zablądził i zaginęlibyśmy tutaj na zawsze.

Dolecieliśmy do Butte około południa. Annet, siedząca obok mnie, czujnie śledziła przyrządy kontrolujące, czy w pobliżu nas nie ma w powietrzu żadnej innej maszyny latającej. Jednak niebo było czyste, ani śladu zagrożenia. W pewnej chwili zameldowała mi, że lądowisko też jest puste i możemy osiąść na ziemi. Ten meldunek jednak mnie zdziwił.

— A helikopter, którym przylecieliśmy... — Kiedy to było? Ile dni temu? Nie potrafiłem ich policzyć, ze względu na nasz długi pobyt pod ziemią.

— Właśnie — teraz i Annet zastanowiła się nad tym. — Gdzie on jest?

Czy zabrali go bandyci, którzy nas szukali? Poczuję się trochę niepewnie. Moja niepewność zwiększyła się, gdy przypomniałem sobie, że przecież Lugard zamknął główne wrota do podziemnej części osady, kiedy po raz ostatni opuszczaliśmy to miejsce. Zatem, jeżeli nie pokonamy zabezpieczeń, które stały na jego straży, pozbawieni będziemy tego, czego teraz pragnęliśmy najbardziej, bezpiecznego schronienia. Zacząłem przeklinać swoją głupotę; przecież jeszcze w grotach, przed pogrzebem, powinienem był odebrać Lugardowi metalową płytkę, która była tu uniwersalnym kluczem.

Jednak Annet zaraz zameldowała mi, że główna brama jest otwarta, a to oznaczało, że ten przynajmniej problem nie istnieje. Po chwili namysłu postanowiłem wylądować helikopterem na dachu, nad bramą. Jeśli za nią czaiła się jakaś pułapka, istniała szansa, że jej uniknę w porę unosząc maszynę z powrotem w powietrze.

Gdy tylko postawiłem wszystkie koła helikoptera na powierzchni, od razu wyskoczyłem na zewnątrz, a oszołamiaczem w pogotowiu. Wiatr cicho zawodził wśród skał, było jednak bardzo gorąco, co od razu odczułem. Grube ubranie, które miałem na sobie, odpowiednie było w zimnych górach, ale nie w wiecznie upalnej krainie lawy.

Ruszyłem do drzwi wieży wartowniczej. Annet zajęła moje miejsce za sterami helikoptera; miała wznieść maszynę w powietrze w wypadku najmniejszych

kłopotów, nie zważając, czy dam radę powrócić, czy też nie.

Poczułem się dziwnie, przemierzając czujnie opustoszałe Butte, wietrząc na każdym kroku zasadzkę, podstęp, czy atak przeciwnika, którego nie znałem. Cisza uczyniła to miejsce niesamowitym. Oprócz odgłosu własnych kroków i szumu wiatru niczego nie słyszałem, a mimo to co kawałek zatrzymywałem się, nasłuchując. Wizyta na wieży niczego mi nie dała. Zszedłem więc na dół i po chwili przekroczyłem główne wrota Butte. Znalazłem się w hallu, z którego jedne drzwi prowadziły do pokoju łączności, inne do windy grawitacyjnej, a jeszcze inne do jadalni, w której tak niedawno jeszcze jedliśmy. Na razie nie napotykałem nikogo i niczego, co uzasadniałoby moją wzmożoną czujność.

Dopiero gdy wszedłem do jadalni, znalazłem dowody, że w Butte jednak ktoś był. Tak jak w magazynie w Feeholme, znalazłem tu ślady plądrowania, chociaż nikt tutaj niczego bezmyślnie nie zniszczył. Widać było, że zabrano stąd sporo zapasów żywności, jednak to, co zostało i tak mogło jeszcze służyć wielu ludziom przez długi czas.

Pokój łączności był następnym obiektem moich zainteresowań. Nie zastałem tu bałaganu, nie mogłem wywnioskować więc, czy od mojej ostatniej bytności tutaj ktoś posługiwał się zainstalowanym tu sprzętem. Sam nie próbowałem niczego uruchomić.

Powróciłem do głównych drzwi i dopiero teraz zauważyłem, że otwarto je za pomocą miotacza laserowego, przez co ponowne ich zamknięcie było teraz niemożliwe. To czyniło trochę bardziej skomplikowanym zamiar schronienia się w Butte, jednak uznałem, że tym problemem zajmę się później. Na razie osada była czysta i mogłem dać sygnał dzieciom czekającym w helikopterze, żeby tu przyszły.

Przez dwa dni pracowaliśmy nad uczynieniem z Butte prawdziwej fortecy. Spodziewałem się, że Annet będzie przeciwko temu protestowała, uznając te prace za stratę czasu. Ku mojemu zdziwieniu milczała jednak, większość czasu spędzając w pokoju łączności. Nie wątpiłem, że próbuje wyłowić Jakikolwiek sygnał, który świadczyłby, że na Beltane żyją Jeszcze, poza nami, jacyś dotychczasowi jej mieszkańcy.

Winda grawitacyjna ciągle działała. Nie dowierzałem jej zbyt, dlatego używałem jej najrzadziej jak mogłem. Na szczęście odkryliśmy inną drogę, właściwie luk towarowy, prowadzący do magazynów ukrytych pod ziemią. Ucieszyło mnie to, gdyż zdawałem sobie sprawę, iż maszyn, które Lugard wyprowadził na powierzchnię

nie można było wydostać przy wykorzystaniu tej windy. Wkrótce przekonałem się, że ta dodatkowa droga prowadzi bezpośrednio do małej półki utworzonej przez zastygłą lawę, na powierzchni Beltane.

Długo eksperymentowaliśmy z maszynami, aż w końcu znaleźliśmy tę, przy pomocy której mogliśmy zamknąć wejście do podziemnej części Butte. Zamontowany miała potężny laser i przy ogromnym wysiłku nas wszystkich dała się dociągnąć do frontowych drzwi. Wtedy do utworzonej w nich dziury napakowaliśmy szczelnie tyle suchej lawy, ile tylko się zmieściło i stopiliśmy ją laserem. Drzwi znów były zaporą nie do przebycia. Ponieważ nie było można ich otwierać, nie mieliśmy teraz w Butte normalnego wyjścia. Mogliśmy wychodzić na zewnątrz jedynie wąskim lufcikiem przez dach, albo niedawno odkrytym lukiem towarowym. Poza nami zapewne nikt nie wiedział o jego istnieniu.

W podziemnych magazynach znajdowało się tyle zapasów, że wprost trudno było określić, czy kiedykolwiek się nam skończą. Dlatego, gdy trzeciej nocy w Butte układałem się do snu byłem bardzo zmęczony, ale zarazem spokojny, bo udało się nam wszystkim zapewnić taki stopień bezpieczeństwa, jakiego nie mieliśmy od początku tej przygody. Mój spokój nie trwał jednak długo, bo zaraz podeszła do mnie Annet.

— Kynvet. — Powiedziała tylko to jedno słowo, ale za to z taką determinacją, że nie miałem wątpliwości, iż tym razem postawi na swoim. — Może już nie istnieje, ale musimy wiedzieć.

Oczywiście, miała rację. A jednak, będąc już tak blisko momentu poznania tragicznej prawdy, bardzo chciałem ten moment opóźnić.

Annet zapewne zauważyła niechęć na mojej twarzy, bo po chwili powiedziała:

— Jeśli ty nie będziesz chciał, wyruszę tam nawet sama.

Wiedziałem, że nie rzuca tych słów na wiatr.

— Polecę do Kynvet — powiedziałem.

Wszelkie moje zadowolenie i poczucie bezpieczeństwa w jednej chwili zniknęło. A więc nie będę długo cieszył się spokojem, nawet nie wypocznę porządnie po tylu ciężkich dniach. Poczułem się tak, jakby otworzyła mi się rana, która już zdawała się wyleczona.

— Jeżeli... jeżeli wydarzyło się najgorsze — kontynuowała Annet, unikając mojego wzroku — jest jeszcze port i sygnał, który można wysłać.

— Wiesz, Annet, że sygnał...

— ...może podróżować w przestrzeni i przez całe wieki pozostać bez odpowiedzi, wiem. Jest jednak dla nas szansą, którą musimy podjąć. A więc, Kynvet i, jeżeli będzie to konieczne, port. Ale, Vere, tym razem nie polecisz sam.

— Ale nie z tobą.

— Nie ze mną. — Zgodziła się od razu, ku mojej wielkiej uldze. — Dwie osoby to pewniejszy patrol. Thad...

— Ale...

— Och, wiem. Patrzysz na niego jak na kogoś, kto chciałby pozbawić cię przywództwa. Oczywiście, nie jest on Vere Collisem, tak jak ty nie jesteś Grissem Lugardem. Musisz go zabrać z tego samego powodu, z jakiego chciałbyś go tu zostawić: jest następny po tobie, zaraz po tobie najsprawniejszy, najdzielniejszy, najbardziej odważny.

Miała rację, chociaż nie chciałem tego przyznać. Thad posiadał umiejętności, które predestynowały go do zastąpienia mnie, gdyby coś złego mi się przydarzyło. A fakt, że Annet brała pod uwagę tę możliwość, świadczył, iż powoli godziła się z myślą, że na Beltane zdarzyło się to najgorsze, co mogło się zdarzyć; przecież jeszcze kilka dni temu nie dopuszczała do siebie takiej myśli.

Spędziłem cały następny dzień na porządkowaniu spraw w Butte, chcąc pozostawić je w jak najlepszej gotowości do odpierania ewentualnych ataków. Dopiero następnego ranka wyruszyłem razem z Thadem do Kynvet i to, wbrew protestom

Annet, pieszo, gdyż uznałem, że helikopter musi pozostać ostatecznym środkiem ucieczki dla tych, którzy pozostawali w twierdzy. Poza tym byłem przekonany, że, nawet jeśli piesza podróż musiała być o wiele dłuższa, była bezpieczniejsza, gdyż zwiększała do maksimum naszą szansę na to, że aż do osiągnięcia celu wędrowki pozostaniemy nie wykryci.

Droga z Butte była zarośnięta chwastami, gdyż od dawna już nie używano jej. Przez ostatnich dziesięć lat do Butte podróżowano bardzo rzadko, a jeśli już, to korzystano z oblatywaczy albo z helikopterów. Na szczęście ślady dawnej drogi były na tyle wyraźne, że stanowiły dla nas wystarczającą wskazówkę. Nieśliśmy tylko najbardziej niezbędne zapasy i po oszałamiaczu z jednym dodatkowym ładunkiem amunicji. Długo szukałem w Butte bardziej stosownej i groźniejszej broni na tę wędrowkę. Jednak nie znalazłem niczego i w końcu pogodziłem się z myślą, że wszelką broń wywieziono z Beltane, kiedy planetę opuszczali żołnierze. Dlatego,

jeszcze przed wyruszeniem w drogę, laser, za pomocą którego zasklepiliśmy drzwi wejściowe do podziemnej części osady, wyniosłem na dach i nauczyłem Annet, jak się nim posługiwać w razie konieczności. Wcale nie miałem pewności, czy posłużyłaby się nim, nawet w najtragiczniejszej sytuacji, lecz przecież nigdy nie wiadomo, jak zachowa się człowiek, jeżeli śmierć zajrzy mu w oczy.

Można by powiedzieć, że trasa naszej wędrówki nie różniła się niczym od tras prowadzących przez najbliższe ostępy Rezerwatów, gdybyśmy nie natknęli się około południa na samotną farmę. Tam odkryliśmy kolejne oznaki tragedii. Była to stacja, w której prowadzono badania nad mutantami. Wszystkie zwierzęta pozostawały tu w klatkach i niemal wszystkie pozdychały. Uwolniliśmy zaledwie dwa, które jeszcze żyły. Nakarmiliśmy je i napoiiliśmy, po czym puściliśmy wolno. Pomyślałem, że jeśli natknemy się na nie podczas drogi powrotnej, wówczas zabierzemy je do Butte.

Budynek był pusty i nie znaleźliśmy żadnych wskazówek, które świadczyłyby, co stało się z jego mieszkańcami. Nie zauważyliśmy ani śladów walki, ani płądrowania, jednak nie mogło to być przecież dla nas żadnym pocieszeniem.

Ruszyliśmy w dalszą wędrówkę, wciąż trzymając się zarośniętej drogi. Sądzę, że stanowiła ona dla nas swoisty pomost, łączący nas z cywilizacją, jaką kiedyś posiadała Beltane oraz z bezpieczną przeszłością, którą przecież tak dobrze pamiętaliśmy. Rozmawialiśmy niewiele, aż do momentu, gdy Thad niespodziewanie wybuchnął:

— Vere, czy naprawdę uważasz, że na Beltane poza nami nikogo już nie ma?

— To jest możliwe.

— A uchodźcy?

— Ci w helikopterze nie żyli. Być może wszyscy stracili kontrolę nad swoimi poczynaniami.

Thad zatrzymał się i popatrzył mi w oczy.

— Tak chyba byłoby lepiej, prawda?

— Chyba tak. Musimy jednak mieć pewność.

Pozycja Thada w Kynvet była niemal równa mojej. Jego rodzice umarli w wyniku jakiegoś wypadku spowodowanego czymś błędem w laboratorium, więc wychowywała go rodzina Draxow, którzy byli krewnymi jego ojca. Nie miał więc specjalnie kogo opłakiwać.

— Pewnie masz rację — przyznał. — Co jednak zrobimy, Vere, kiedy już na dobre okaże się, że jesteśmy tutaj sami? Och, wiem, nadamy sygnał w przestrzeń. Ale

przecież może się stać tak, że nikt go nie odbierze. Co wtedy?

— Prawo łodzi — powiedziałem krótko.

— Prawo łodzi? — powtórzył. Po chwili zrozumiał. — Och, masz na myśli uregulowania w przestrzeni. Założymy kolonię jako rozbitkowie, czy tak? Ale przecież nie jesteśmy rozbitkami ze statku kosmicznego.

— Jesteśmy w sytuacji, w której to prawo ma zastosowanie. I będziemy na początek posiadali więcej, niż kiedykolwiek mieli inni rozbitkowie. Dysponujemy wszystkim, co jest na tej planecie. To nasza własność.

— Przecież maszyny kiedyś się zepsują. Większość z nich już teraz wymaga napraw, których nie jesteśmy w stanie przeprowadzić. A kiedy wszystko przestanie funkcjonować...

— Wtedy pozostaniemy już zdani tylko na własne siły. Musimy dokonać jak najwięcej, dopóki dysponujemy maszynami.

To musiałyby jednak trwać całe lata, a ja na razie nie chciałem wybiegać myślami w przyszłość dalej niż na kilka dni; przynajmniej, dopóki nie musiałem. Thadowi też zapewne nie podobały się takie perspektywy, bo nagle umilkł. Przez resztę dnia wymieniliśmy zaledwie kilka słów związanych z naszym marszem.

Tę noc spędziliśmy pod gołym niebem, w małym zagajniku przy strumieniu. Po zmroku na zmianę czuwaliliśmy, a nad ranem zjedliśmy racje energetyczne i wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Było już po południu, kiedy zaczęliśmy rozpoznawać okolicę. Napotykalismy mnóstwo oswojonych zwierząt krążących bez celu. Niektóre próbowały iść za nami, jednak staraliśmy się zniechęcać je do naszego towarzystwa, gdyż mogły zwrócić na nas czyjąś uwagę.

Wreszcie dotarliśmy do Kynvet, albo miejsca, w którym kiedyś stało Kynvet. Widziałem już kiedyś taśmy ilustrujące zniszczenia wojenne, ale pochodziły one z innych światów i nigdy nie przypuszczałem, że ujrzę coś takiego na własne oczy. Poczulem się, jakby ktoś z całej siły uderzył mnie w twarz.

Była tu tylko rozryta żółta ziemia, upstrzona fragmentami materiałów, które kiedyś składały się na nasze domy, laboratoria i inne zabudowania, stanowiące nieodłączne części naszego dzieciństwa. Nie został żaden wyraźny ślad, który dowodziłby, że w tym miejscu znajdowało się kiedyś osiedle. Można było odnieść wrażenie, że to pięść giganta uderzyła tutaj by zniweczyć wszystko, co kiedykolwiek zbudował człowiek.

— Nie... — Thad wydobył z siebie jedynie cichy jęk — dlaczego?...

— Pewnie nigdy się nie dowiemy.

— Ja... Ja... — ściągnął z ramienia oszałamiacz, jakby to był miotacz laserowy i mógł zniszczyć nim wrogów znajdujących się w pobliżu.

— Opamiętaj się, Thad. Broń może ci się jeszcze przydać.

Zapowiedź możliwej zemsty sprawiła, że trochę się uspokoił.

— Dokąd teraz?

— Do portu. — Nie miałem jednak wielkiej nadziei, że zastaniemy tam lepszą sytuację niż w Kynvet.

Początkowo mieliśmy zamiar przenocować w Kynvet, jednak w sytuacji, jaką zastaliśmy, postanowiliśmy odejść stąd jak najdalej. Dlatego zatrzymaliśmy się, gdy już było dobrze po zmroku i postanowiliśmy przenocować w wielkim magazynie, który służył do magazynowania zbiorów po żniwach. Pomędzy Kynvet a portem rozciągały się bowiem wielkie połacie pól uprawnych.

Zagłada na Beltane przyszła na krótko przed porą żniw. Wiedziałem, że nikt już nie sprzątnie tych pól, że teraz mogła się tym zająć jedynie nasza gromadka i że będziemy musieli to zrobić, jeżeli zamierzamy jeszcze kiedykolwiek jeść świeży chleb.

Następnego poranka dotarliśmy do granic Yetholme. Być może osiedle nie zostało potraktowane tak jak Kynvet, jednak w grotach słyszeliśmy odgłosy wielu wybuchów. W każdym razie postanowiliśmy, że w drodze powrotnej ominiemy szerokim łukiem i Yetholme i Haychax; teraz najważniejszą sprawą było dotarcie do portu, jak najszybciej i jak najkrótszą trasą. Byłem przekonany, że jeśli na Beltane pozostało jeszcze jakiegokolwiek cywilizowane życie, koncentruje się ono właśnie wokół portu.

Poruszaliśmy się teraz bardzo szybko, truchtając i odpoczywając na przemian. Był to sposób na najszybszą pieszą podróż, którego nauczyłem się podczas przygotowań do zawodu Strażnika. Byliśmy jednak wciąż w sporej odległości od portu, kiedy ujrzeliśmy przed sobą dwa wysokie stalowe filary, skierowane ku niebu.

— Statki! — wykrzyknął Thad.

— Spokojnie! — złapałem go za ramię i pociągnąłem na ziemię. Uznałem, że musimy teraz zachować jak najdalej posuniętą ostrożność i spryt.

Z całą pewnością statki, które widzieliśmy nie pochodziły z Beltane, nie były to też statki handlowe z żadnego innego świata.

— Patrol? — Thad nie rozpoznawał, lecz pytał. Zaczęliśmy czołgać się w kierunku statków. Na moment wstąpiła we mnie nadzieja: być może to ludzie z Bekane zdążyli wypuścić w przestrzeń błagalny sygnał i te statki przybyły z pomocą. W takim razie byliśmy bezpieczni. Wolałem jednak upewnić się, zanim zrobiłbym coś nieodwracalnego.

Na budynkach wokół bramy prowadzącej do portu widniały ślady walk. Stopione fragmenty konstrukcji świadczyły, że używano miotaczy laserowych. Powoli minęliśmy zniszczone helikoptery, a na dachu jednego z budynków ujrzeliśmy wbity w niego z ogromną siłą oblatywacz. Nie słyszeliśmy jednak żadnego dźwięku, nic nie świadczyło, że ktokolwiek tu przebywał w ciągu ostatnich kilku dni.

Przeszliśmy przez bramę i przykucnęliśmy za przewróconym helikopterem. Wyciągnąłem lornetkę, chcąc dokładnie obejrzeć teren, zanim postąpimy kolejny krok naprzód.

Statki z całą pewnością przebywały przez bardzo długi czas w przestrzeni; świadczyła o tym złuszczone farba na ich kadłubach. Ten stojący bliżej nas nie miał już szansy nigdy wznieść się w przestrzeń, gdyż jego silniki były zbyt skorodowane. Już wylądowanie tą maszyną było karkołomną sztuką. Pilot, który tego dokonał, musiał mieć niewiarygodne szczęście.

Na obu statkach widniały trochę zamazane znaki rozpoznawcze. Były to jakies nieznane mi symbole wojskowe, na pewno nie z Beltane. Pierwszy statek z uciekinierami nie wylądował w porcie; być może teraz miałem przed oczyma dwa następne, których pasażerowie zażądali dla siebie od Komitetu identycznych przywilejów.

Luki statków były otwarte, rampy wysunięte, jednak nic się wokół nich nie działo, panowała absolutna cisza. Skupiłem swój wzrok na rampie statku, który stał dalej od nas, patrzyłem przez chwilę, po czym poderwałem się na nogi.

— Co się stało, Vere.

— Na rampie leży martwy człowiek. Chyba nie mamy czego się bać. Chodźmy.

Nie zbliżyliśmy się do statków, lecz obszedłszy je szerokim łukiem, weszliśmy do głównego budynku portu. W wielkich salach nasze miękkie buty nie wydawały żadnego odgłosu w zetknięciu z kamiennymi posadzkami, o które przez wiele lat głośno i wesoło stukały podkute buty pilotów wyruszających w przestrzeń. Ślady upadku pojawiły się tu już na długo przed katastrofą — port przez wiele lat był

prawie nie wykorzystywany, nie remontowano go, wiele pomieszczeń było po prostu niepotrzebnych, które trwały niszcząc zamknięte na cztery spusty. Port przypominał pomnik — lecz nie pomnik martwego bohatera; upamiętniał raczej sposób życia, który odchodził w zapomnienie.

Pokój łączności, który był naszym pierwszym celem, okazał się całkowicie zniszczony. Musiały toczyć się w nim gwałtowne walki, bo niemal w każdym miejscu dawało się zauważyć ślady po działaniu promieni laserowych, a na posadzce widniały nawet plamy zakrzepłej krwi. Ale również ktoś próbował coś tu naprawiać, o czym świadczyły porzucane narzędzia i ślady prowizorycznych połączeń. Przypuszczałem, że to zwycięzcy, właśnie stąd i to skutecznie, wezwali na Planetę dwa kolejne statki.

Wszelkie naprawy, jakich tu zdołano dokonać były jedynie powierzchowne i nie miałem wątpliwości, że przywrócenie tego pomieszczenia do stanu używalności leży całkowicie poza zasięgiem moim i mojej gromady. Jednak szukaliśmy tutaj jeszcze czegoś, jeszcze jednego małego, bocznego pomieszczenia, o którego istnieniu niekoniecznie musieli wiedzieć najeźdźcy. Przeskakując nad szczątkami, powoli zbliżyliśmy się do jego drzwi.

Drzwi stawiały opór, dopóki obaj nie pchnęliśmy ich z całej siły. Stanąwszy w środku, znaleźliśmy się w centralnej bazie łączności. To stąd wychodziły z Beltane wszelkie sygnały kierowane w przestrzeń. Wychodziły, ale już nigdy nie wyjdą. Urządzenie emitujące roztrzaskane było na drobne kawałki.

— Nic z tego — powiedział Thad z rezygnacją po długiej chwili, podczas której zmagaliśmy się z bezsilną złością. — Tutaj także walczyli.

— Ktoś próbował wysłać sygnał, ale został przyłapany. Chociaż ani przez chwilę nie wierzyłem, że moglibyśmy otrzymać jakąkolwiek pomoc z przestrzeni, teraz ogarnęło mnie poczucie pustki; dopiero teraz mogłem być pewien, że jesteśmy naprawdę zupełnie sami. Odwróciłem się, chcąc stąd wyjść. Ponieważ Thad wciąż wpatrywał się w poniszczone urządzenia, cofnąłem się po niego i położyłem dłoń na jego ramieniu.

— Chodź, Thad. Nic tu po nas.

Nie mieliśmy tu już nic do szukania. Teraz pozostały nam do sprawdzenia już tylko stanowiska dowodzenia i centralny komputer, do którego spływały codziennie wszystkie raporty kierowane do Komitetu. Istniała drobna szansa, że jeśli coś z tego zachowało się w pamięci komputera, przede wszystkim, jeżeli go nie zniszczono,

otrzymamy przynajmniej częściową odpowiedź na pytanie, co zdarzyło się na planecie, kiedy my byliśmy w grotach. Powiedziałem o tym Thadowi i opuściliśmy zrujnowany pokój łączności, zmierzając ku centralnemu bankowi danych Beltane.

Rozdział piętnasty

Spodziewałem się, że informacje będą wymazane z pamięci komputera, albo że komputer będzie po prostu zniszczony. Tymczasem było zupełnie inaczej. Albo walki tutaj nie dotarły, albo nikt po prostu nie zainteresował się tymi zapisami. Podszedłem do stanowiska kontroli znajdującego się na środku pomieszczenia i zacząłem studiować przyciski i dźwignie na tablicy rozdzielczej. Ściana przede mną była jednym wielkim monitorem; wszelkie informacje przekazywane były tutaj w formie wizualnej i audialnej. Jeżeli wszystkie urządzenia były sprawne, mogłem uzyskać tu nie tylko pełne informacje o kolonizacji Beltane od momentu wylądowania na niej Pierwszego Statku, ale też wszystkie dane, uzyskane w wyniku badań laboratoryjnych na planecie. Oczywiście, większość informacji została zaklasyfikowana jako tajne i dostęp do nich możliwy był tylko po wprowadzeniu do bazy danych specjalnych kodów, których nie znałem.

Zawahałem się nie wiedząc, jaki szyfr da mi dostęp do informacji o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni. Przyszło mi słowo „uchodźcy”, bo moje dociekania dotyczyły zdarzeń związanych właśnie z nimi, poza tym kartoteka musiała zostać założona wraz z wylądowaniem na Beltane pierwszego ich statku. Głęboko odetchnąwszy wprowadziłem to słowo do komputera.

— „Czwartego dnia, szóstego miesiąca, 105 roku planetarnego...” —
Mechaniczny głos rozbrzmiewał donośnie w pomieszczeniu i czym prędzej go przyciszyłem. Głos bez Przeszkód wymieniał suche fakty: że statek z uchodźcami Poprosił o zgodę na lądowanie, że otrzymał zgodę i osiadł na północnej części planety, a jego pasażerowie otrzymali zgodę na osiedlenie się na Bekane. Usłyszałem, jakie warunki postawiono nowym osadnikom.

Od tych dobrze znanych mi faktów nagranie przeszło do informacji o następnych statkach, o prośbie dotyczącej kolejnego lądowania, o spotkaniu pomiędzy przedstawicielami ludzi ze statków a Komitetem, o głosowaniu poszczególnych osiedli. Wciąż nie dowiadywałem się niczego nowego. A jednak, nadszedł moment, kiedy uważniej zacząłem wsłuchiwać się w mechaniczny głos.

— „Dwunastego Dnia, siódmego miesiąca, 105 roku planetarnego, podczas otwartego spotkania postanowiono ratyfikować drugi traktat, wyrażając zgodę na lądowanie dwóch kolejnych statków, zastrzegając jednocześnie, że żadna następna

zgoda nie zostanie już udzielona. Zgromadzenie podjęło tę decyzję głosami w stosunku 1200 do 600”.

Głos umilkł. Zdawało się, że jeśli chodzi o problem uchodźców, to bank pamięci nie zawierał niczego więcej. Istniało jeszcze jedno miejsce, w którym mogłem dowiedzieć się czegoś więcej... Jeszcze raz wprowadziłem kod i czekałem.

Odpowiedź uzyskałem zakodowaną, składającą się z długiego szeregu liczb i skrótów, zrozumiałych tylko dla kogoś, kto nimi operował. Wydobywały się z głośników bez końca i zastanawiałem się, czy nie przerwać tej niezrozumiałej dla mnie transmisji, gdy nagle:

— „Sektor 4—5. Grupa uchodźców zjawiała się tutaj dziś rano. Żądali pomocy medycznej. Na siłę zabrali doktora Rehmersa. Zostawili ludzi na straży. Zabili Lofyensa i Mattoxa. Ograbili laboratorium Ryttox. Większość naszego personelu jest uwięziona. Uwaga: zabrali stare zapisy...”

W tym momencie znów transmisja została zakodowana, lecz po chwili znów usłyszeliśmy wyraźny głos:

— „Ściśle tajne, ściśle tajne”.

Zrozumiałem, że jakimś dziwnym zrządzeniem losu tajny materiał został zarejestrowany otwartym tekstem. I rzeczywiście. Tajna transmisja rozpoczęła się od prezentacji jakichś niezrozumiałych formuł biologicznych i chemicznych, a potem:

— „Wysoce niestabilny, niebezpieczny we wszelkich pracach. Nie rekomendowany do żadnych zastosowań. Rezultaty: niebezpieczeństwo epidemii — zabija w ciągu 48 godzin. Brak symptomów choroby, poza niewielkimi bólami głowy. Efekt działania: wylew krwi do mózgu. Aktywny, dopóki funkcjonuje zainfekowany obiekt. Przenoszenie: wyłącznie pomiędzy żywymi ludźmi. Niszczy wyłącznie inteligentne życie...” — Fragment transmisji znów był zakodowany. Po chwili głos kontynuował: — „Ściśle tajne, piąty stopień, podwójny kod. Zniszczymy wszystko, z wyjątkiem podstawowej formuły, która zostanie zakodowana i zamknięta w pojemnikach wieczystych...”

Koniec. Przez kilka minut obaj z Thadem milczeliśmy, a ciszy nie przerwał już żaden dźwięk z głośnika.

— Chyba dotarli do formuły. Ale dlaczego?...

— Lugard tego właśnie się bał — powiedziałem. Powtórzyłem Thadowi słowa weterana, który obawiał się pirackich ataków z użyciem broni biologicznej, zazwyczaj przechowywanej jedynie w laboratoriach. Sytuacja na Bekane wymknęła się zapewne

napastnikom spod kontroli.

— Użyli wirusa, a potem wszyscy po prostu poumierali. Niesłychane... — Odniosłem wrażenie, że Thad, który widział Już przecież i Kynvet i port, dopiero teraz uwierzył w koniec Beltane.

— Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, jak to się naprawdę stało — zauważyłem. Znow wprowadzałem kod, chcąc poznać jeszcze przynajmniej kilka ostatnich dziennych raportów. Dotarłem jeszcze do dwóch, jednego z Haychax i jednego z Kynvet; ten drugi urywał się w pół słowa. Żaden nie wspominał ani słowem o możliwym zagrożeniu.

— To chyba na razie wszystko — stwierdziłem. Uznałem, że pewnie wrócimy tu jeszcze i będziemy mogli poeksperymentować nad kodami, albo szukać sposobu dotarcia do wszystkich sekretów banku pamięci. Teraz nie mieliśmy na to czasu. Powoli wstałem i rozejrzałem się po wszystkich ścianach. W pomieszczeniu, w którym się znajdowaliśmy zawarte były olbrzymie ilości wiedzy, jednak w tej chwili była ona dla nas mało przydatna. Było tu jednak coś — wiedziałem, bo kilkakrotnie załatwiałem tu różne sprawy — co mogło być użyteczne i wiedziałem, gdzie tego szukać.

Podszedłem do ściany po mojej lewej stronie i na czytniku znajdującym się na niej, wystukałem sześciocyfrowy numer. Przez chwilę słychać było szum przekaźników i po chwili w korytku poniżej ukazały się dwie rolki taśmy Zexro. Zabrałem je i już miałem wyjść, kiedy usłyszałem krótki trzask i słowa:

— „Proszę o podpis. Wyniesienie dokumentu wymaga potwierdzenia tego faktu własnoręcznym podpisem”.

Thad jakby zakaszłał lub roześmiał się niewesoło, chrapliwie, co najdobitniej dowodziło, w jakim stanie znajduje się jego umysł. Ja jednak posłusznie odwróciłem się i przyłożyłem kciuk do bloku podpisów, wypowiadając głośno swoje nazwisko i fakt, że pochodzę z Kynvet oraz że taśmy zabieram w celach służbowych. Tymczasem dzięki śmiech Thada był coraz głośniejszy.

— Przestań! — krzyknąłem, złapałem go za ramię i mocno nim potrząsnąłem.

— Podpis! — powtórzył. — Podpisz się, jakby na planecie nic się nie wydarzyło, jakbyś zbierał materiały do nikomu niepotrzebnych badań!

— Tak. I nie ma w tym nic dziwnego. Maszyny pracują tak, jak je zaprogramowaliśmy.

I rzeczywiście, dokładnie tak myślałem. Świat mógł być martwy lub

umierający, jednak maszyna postępowała tak, jak ją zaprogramowaliśmy.

Szybkim krokiem wyszliśmy z tego ponurego pokoju nie dokończonych, a może teraz już dokończonych, historii. Chcieliśmy jak najszybciej wyjść z tego budynku, znaleźć się na polu, na którym stały statki z dziobami utkwionymi w niebo, od którego raz na zawsze zostaliśmy odcięci. A jednak, kiedy znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, ponure uczucie przygnębienia jakby od nas odpłynęło. Nagle, gdy ujrzeliśmy słońce nad głowami, gdy świeży wiatr owiał nasze twarze, z wielką mocą dotarło do nas to, że przecież wciąż żyjemy. Mimo że zasadniczy cel, dla którego znaleźliśmy się w porcie, został wypełniony i nie mieliśmy już nadziei, że ktoś jeszcze poza nami żyje na tej planecie, wiele innych rzeczy w tym miejscu mogło mieć dla nas znaczenie. Postanowiłem przeprowadzić trochę poszukiwań; być może mieliśmy szansę znaleźć coś, co przydałoby się w Butte.

Gdybyśmy znaleźli sprawny oblatywacz, mielibyśmy wiele szczęścia. Łatwiej byłoby nam rozdzielić się i prowadzić poszukiwania w pojedynkę, wyznaczając miejsce spotkania, jednak żaden z nas tego nie chciał. Samotne wędrówki przez tereny, które w całości i bez reszty pokonała śmierć były czymś, co przekraczało granice naszych możliwości.

Zresztą, to czego potrzebowaliśmy mogło znajdować się jedynie w kilku miejscach: w parku, gdzie stacjonowały wszystkie wehikuly będące w użyciu, w hali, gdzie przygotowywano statki do wylotu w przestrzeń, w warsztacie, w którym dokonywano napraw oraz w magazynie części zamiennych. Gdy wymieniłem te miejsca, Thad zgodził się, że nigdzie indziej nie musimy prowadzić poszukiwań. Ponieważ powoli zbliżał się wieczór, a potrzebowaliśmy na nasze poszukiwania o wiele więcej czasu, niż pozostało do zmroku, postanowiliśmy przenocować w martwym porcie.

Poszukiwania rozpoczęliśmy z samego rana. Park maszyn rozczarował nas. Tak jak w Feehoime, większość oblatywaczy i helikopterów została porozbijana. Oceeniłem, że najwyżej dwa z nich nadają się jeszcze do naprawy, chociaż wcale nie będzie to łatwa praca. Potrzeba było na to dużo czasu i taśm z instrukcjami.

Fatalnie wpływała na nas wszechogarniająca cisza. Wiał wiatr, słyszeliśmy nawoływania ptaków (nawet zbyt wielu jak na miejsce, w którym kiedyś żył człowiek), a od czasu do czasu gdzieś niedaleko przebiegło nawet jakieś większe zwierzę na czterech kopytach. A jednak przez cały czas rozglądaliśmy się niepewnie na boki lub za siebie, jakby spodziewając się gwałtownego, zdradzieckiego ataku.

Mieliśmy dziwaczne uczucie, że pomieszczenia, które odwiedzamy zostały opuszczone zaledwie kilka sekund przed naszym przybyciem. Napięcie narastało w nas, aż Thad powiedział:

— Oni tu są.

— Nie, nie ma tu nikogo. Przynajmniej nikogo nie widzieliśmy. — A jednak i ja przez cały czas odnosiłem wrażenie, że jestem obserwowany. Być może świadomość, że nad planetą zapanowała śmierć, wywoływała w nas wrażenie, iż przyglądają się nam stwory, których sami nie jesteśmy w stanie zauważyć.

Po parku maszyn przyszła kolej na dawną stację przygotowującą statki do wylotu w przestrzeń. Jak przez mgłę pamiętałem, że kiedy byłem mały, przyszedłem tu kiedyś z ojcem. Było to wówczas bardzo zatłoczone miejsce, na stanowiskach oczekiwały trzy, albo cztery statki ładowane, bądź rozładowywane, a wszędzie stały kartony i skrzynie z najróżniejszymi towarami i ładunkami.

Teraz ta wielka hala była zupełnie pusta. Pod jedną ze ścian składowano wielkie bele i ruszyliśmy właśnie w kierunku nich. Panował tu półmrok i znów zrobiło się nam trochę nieswojo.

Kiedy znaleźliśmy się przy ładunku, mogliśmy jedynie ciężko westchnąć.

— Wszystko splądrowane — powiedział Thad.

Miał rację. Resztki towarów, które przywieziono na Beltane z innych planet, zostały rozgrabione. Za belami wały się połamane skrzynie, popękane pojemniki i inne rzeczy, które grabieżcy uznali za nieprzydatne dla siebie. Gdybyśmy uważnie przeszukali to pobojowisko, pewnie znaleźlibyśmy coś wartościowego dla nas, ale ponieważ nie mieliśmy żadnego środka transportu poza własnymi nogami zrezygnowaliśmy z zabierania czegokolwiek. No, chyba że natrafilibyśmy na coś zupełnie wyjątkowego.

— Magazyn części zamiennych — wymieniłem następne miejsce poszukiwań, jakie mieliśmy na liście.

— Znów natrafimy na wraki — odparł Thad. — Darujmy już sobie te poszukiwania. Potrzebujemy raczej jedzenia...

Miał rację. Poza tym, byliśmy już przecież głodni; dawno nie pamiętaliśmy o śniadaniu zjedzonym z samego rana. Weszliśmy do biura, gdzie kiedyś załatwiano sprawy formalne związane z załadunkami i przeładunkami i zaczęliśmy rozglądać się. Pomieszczenie miało dwoje drzwi. Jedne prowadziły do wielkiej hali, z której właśnie wróciliśmy, a drugie na ulicę. Otworzyłem je i wyrzałem; powitała mnie jedynie

cisza. Zatrzasnąwszy je ponownie zabezpieczyłem je zasuwą, uniemożliwiająca otwarcie z zewnątrz. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem; może chciałem jak najdokładniej odgrodzić się od ciszy panującej na zewnątrz, która zdawała się zagrożeniem.

W rogu biura znajdowała się mała kuchenka, na której zapewne przygotowywano jedynie kawę. Przeszukawszy kilka szuflad Thad znalazł pół słoika z czarnym proszkiem i kilka filiżanek. Zapewne przeznaczone były dla oficjalnych gości, ponieważ każda nosiła symbol jakiegoś osiedla z Beltane.

Zauważyłem, że dobierając dwie filiżanki Thad odstawił na bok te z symbolami najlepiej znanych nam osiedli; wołał nie przywoływać do siebie wspomnień. Usiedliśmy przy biurku czekając aż woda się zagotuje. Byliśmy w ponurym nastroju i raczej unikaliśmy wzajemnych spojrzeń.

— Co teraz robimy? — Thad pierwszy przerwał krępującą ciszę.

— Wracamy do Butte.

— Czy uważasz, że... że naprawdę jesteśmy sami?

— Może przeżył ktoś na północy, ale bardzo w to wątpię. Każdy, kto ocalał kierowałby się przecież do portu.

— A uchodźcy?

— Także byliby tutaj przy statkach, gdyby żyli. — Też tak sędzę. — Popatrzył ponad moim ramieniem na drzwi do hali, które pozostawiliśmy lekko otwarte. — Nie mogę jednak pozbyć się uczucia, że ktoś gdzieś musi jeszcze, być na Beltane. Ale — nagle uniósł trochę głosu — nie chcę tego kogoś spotkać, obojętnie kto to jest!

Wstał, nalał wodę do filiżanek, po czym postawił je na biurku. Odnosiłem wrażenie, że doskonale go rozumiem.

Ponieważ mieliśmy tu spędzić kolejną noc, biuro uznaliśmy za miejsce równie dobre jak każde inne. Rozłożyliśmy koce na podłodze i uformowaliśmy sobie twarde łóżka, jednak nie zamierzaliśmy już iść do portu w poszukiwaniu czegoś lepszego.

Mimo że dotąd nie zauważyliśmy niczego, co spowodowałoby konieczność wystawiania wart, zgodziliśmy się, że każdy z nas będzie tym razem czuwał po pół nocy. Thad objął posterunek jako pierwszy. Myślałem, że na twardej podłodze nie zasnę, a jednak usnąłem i to dość szybko. Spałem spokojnie, bez żadnych koszmarów i zbudził mnie dopiero dotyk Thada. Jedną ręką potrząsał moim ramieniem, a drugą zakrył mi usta, zmuszając do milczenia.

Kiedy tylko otrząsnąłem się ze snu i moje zmysły zaczęły funkcjonować

normalnie, usłyszałem. Po hali ktoś chodził. Wyraźny, charakterystyczny stukot obuwia na posadzce nie pozostawiał wątpliwości, że są to buty używane do lotów w przestrzeni. Po chwili uważnego nasłuchiwania doszedłem do wniosku, że słyszę kroki przynajmniej dwóch osób.

Thad zbliżył usta do mojego ucha. Poczułem jego oddech na policzku, kiedy szeptał mi:

— Przyszli prosto z pola. Usłyszałem lądujący oblatywacz.

Razem podpełzaliśmy do drzwi i ostrożnie zajrzeliśmy do hali. Tam, gdzie znajdowały się splądrowane ładunki, ktoś stał pod ścianą i omiatał je promieniami mocnej lampy. Ujrzałem dwie sylwetki. A więc jednak nie byliśmy sami... Thad znów zaczął szeptać:

— Czy sądzisz, że nas obserwowali? Że wiedzą o naszej obecności?

— Nie. W przeciwnym wypadku by już nas dawno zaatakowali.

Z tego, co widzieliśmy plądrowali już przejrane i zdziesiątkowane artykuły. Nerwowość ich ruchów sugerowała, że bardzo im się śpieszy, albo że są bardzo przestraszeni.

Jeżeli wirus już ich zaatakował byli chodzącymi trupami i musieli o tym wiedzieć, jeśli znali los pozostałych ludzi. Jako tacy stanowili dla nas o wiele większe zagrożenie, niż ich miotacze laserowe.

— Pakujemy się i spływamy stąd — powiedziałem do Thada. — Nie pozostaw niczego, co mogłoby im podpowiedzieć, że tutaj byliśmy.

Poruszaliśmy się bardzo ostrożnie zbierając nasze rzeczy. Thad zebrał filizanki i ustawił je z powrotem w szufladzie, gdy tymczasem ja zamknąłem drzwiczki do szafy, w której znajdowała się kuchenka. Nie ośmieliliśmy się zapalić światła; pozostawała nam tylko nadzieja, że wszystko pozostawiliśmy w porządku i ktokolwiek znajdzie się w tym biurze, nie dostrzeże śladów naszej obecności. Z tą myślą otworzyłem drzwi na ulicę i szybko wymknęliśmy się na zewnątrz.

Gdy już miałem nadzieję, że bezpiecznie wyszliśmy z opresji usłyszeliśmy za sobą krzyki. Znajdowaliśmy się wtedy już dobrych kilkadziesiąt kroków od hali i musieliśmy jedynie przebiec lądowisko, by znaleźć się poza terenem portu,

— Lasery! — ostrzegłem Thada i skoczyliśmy, by ukryć się za załomem muru. Niespodziewanie natrafiliśmy na jakieś otwarte drzwi i wpadliśmy do budynku. Drzwi zatrzasnęły się za nami z wielkim hałasem. Oczywiście łatwo było je stopić promieniami laserowymi, jednak nawet krótki moment na to potrzebny, dawał nam

możliwość skuteczniejszej ucieczki.

Thad potknął się o coś w ciemności i niemal się przewrócił. Wydał dziki okrzyk przerażenia i szybko wyrwał się z okowów tego, co go osaczyło. Nie oglądając się na mnie pognął przed siebie. Ośmieliłem się na krótki moment zapalić latarkę i natychmiast pobiegłem za nim.

Budynek kończył się płaską ścianą, jednak w bocznych ścianach znajdowały się dwa szeregi drzwi. Wybrałem pierwsze po lewej stronie otworzyłem je i pociągnąłem Thada za sobą. Ku swej wielkiej radości ujrzałem wielkie, otwarte okno. Wystarczyła sekunda, żebyśmy przez nie wyskoczyli i znaleźli się w ogrodzie. Gdyby nasz skok był dłuższy, wpadlibyśmy do ogrodowego stawu.

Ogród okolony był grubym murem porośniętym przez gęsty bluszcz. Ucieszył mnie ten widok, ponieważ wiedziałem, że ręczny miotacz promieni laserowych nie ma szansy na uszkodzenie tego muru. Siła naszego strachu była tak wielka, że każdemu z nas jeden długi skok wystarczył, by wspiąć się na mur sięgający wysokością wzrostu człowieka. Przeskoczyliśmy go i znów znaleźliśmy się na ulicy.

Wciąż słyszeliśmy odległe nawoływania brzmiące tak, jak gdyby ci, którzy krzyczeli, nie zamierzali wszczynać alarmu, lecz z nami porozmawiać. Czy ścigający nas sądzili, że jesteśmy członkami ich bandy? Ale, skoro tak, po co mielibyśmy uciekać; nie, takie myślenie mi nie odpowiadało. Chyba że od chwili wybuchu epidemii wszyscy uchodźcy stali się dla siebie nawzajem wrogami.

Przez kilka chwil nie bardzo wiedziałem, w którym kierunku powinniśmy uciekać. Oddalenie się od portu na otwartą przestrzeń dałoby nam chyba największą przewagę. Powiedziałem to do Thada.

— A potem dokąd? — zapytał. — Do Butte?

— Nie. Boję się, że mogliby nas wyśledzić.

Mimo że umocniliśmy Butte jak tylko się dało, zbyt wiele widziałem w porcie, żeby sądzić, iż przeciwstawimy się atakowi, jeżeli najeźdźcy użyją przeciwko nam swych najpotężniejszych broni.

Biegliliśmy ulicą, starając się kryć pod murami budynków. Nagle na Thada padły promienie światła. Natychmiast rzucił się na ziemię i zniknął w cieniu.

— Halo... ..

Nie dopadły nas promienie laserowe, których w tej chwili spodziewaliśmy się. Po prostu ktoś nas wołał! Czy mimo wszystko ci ludzie nie byli wrogami, lecz przyjaciółmi? Może to ocaleni mieszkańcy Beltane?

— Poczekajcie! — Znów zawołanie, zamiast strzałów. My jednak nie czekaliśmy. Skręciliśmy pomiędzy dwa budynki, mając nadzieję, że po raz kolejny zmylimy pogoń.

— Oblatywacz... — wystękał Thad.

Nie było wątpliwości, głuchy odgłos silników oblatywacza był coraz bliższy. Instynktownie przykucnęliśmy pod murem mając nadzieję, że jego cień wystarczy, by pilot nas nie zobaczył. Maszyna przeleciała ponad dachem i po chwili wylądowała na ulicy, z której właśnie uciekliśmy. Pilot zapewne zamierzał dołączyć do tych, którzy nas poszukiwali, albo po prostu zabrać ich stamtąd.

— Uciekajmy!

Pozostało w nas jeszcze tyle sprytu i sił, by w końcu umknąć pogoni. Nie dostrzeżeni pozostawiliśmy zabudowania portu daleko za naszymi plecami. Spojrzenie wstecz nie było przyjemne. W porcie wciąż nas szukano, wokół zabudowań co chwilę błyskały potężne światła. Nasi prześladowcy zapewne byli przekonani, że ukryliśmy się tam w jakimś ciemnym i trudno dostępnym miejscu.

— Nie strzelali do nas — zauważył Thad. — Dlaczego?

— Może mają już dość zabijania? — powiedziałem ponuro. A może, gdy odkryli, że nie jesteśmy ich pobratymcami, nie znajdowali się już na linii strzału?

— A czy to mogli być nasi?

— W butach do lotów w przestrzeni? Nie sądzę.

— Co teraz robimy?

— Musimy zatoczyć szeroki łuk i ruszyć na północ. Jeżeli będą nas śledzić...

— Niby jak? Jeżeli nie pochodzą z Bekane, to nie mają żadnej szansy. Nie damy się im.

— To my nie będziemy mieli szansy, jeżeli zastosują promienie podczerwone. Dlatego musimy jak najdłużej trzymać się z dala od Butte. Będziemy mogli tam wrócić dopiero wtedy, gdy zrezygnują z poszukiwań, albo będziemy pewni, że prowadzą je w złym kierunku.

Promieniowanie podczerwone... Kolejny wspaniały wynalazek przeznaczony do jak najbardziej pokojowego zastosowania, który mógł okazać się dla nas zgubnym. Strażnicy używali go bardzo często do poszukiwania zwierząt. Z równym powodzeniem można było dzięki niemu szukać ludzi; czasami właśnie dzięki promieniowaniu podczerwonemu lokalizowano ich, przebywających akurat w Rezerwatach.

Ruszyliśmy więc na północ, dokładnie w przeciwną stronę wobec tej, z której przyszliliśmy do portu. Próbowałem zastanawiać się, czy jesteśmy w stanie oszukać promienie podczerwone. Pod ziemią, owszem. Jednak nie mogliśmy teraz zbliżyć się do krainy lawy, gdyż to mogłoby naszych prześladowców naprowadzić na Butte. Naszą jedyną szansą były groty w krainie wzgórz i musieliśmy tam właśnie się skryć, mimo iż nasze zapasy były na wyczerpaniu i nie mieliśmy żadnych widoków na ich uzupełnienie.

Na godzinę przed świtem byliśmy już daleko od portu, ale przecież oblatywacz mógł nas dogonić z łatwością. Potrzebowaliśmy odpoczynku, wybraliśmy więc gęsty zagajnik i tam się rozłożyliśmy. Tym razem Thad zasnął pierwszy, a ja trzymałem wartę.

Pod niskimi i gęstymi gałęziami młodych drzew było chłodno, miałem jednak pewność, że nikt nie jest w stanie zobaczyć nas z oblatywacza. Chociaż.., Tak naprawdę, to nie trzeba by nas widzieć, jeżeli w poszukiwaniach zastosowane zostałyby promienie podczerwone. Wtedy wystarczyłaby jedna wiązka promieni laserowych w naszym kierunku i to wszystko. Zginęlibyśmy nawet nie wiedząc, kiedy.

Usłyszałem oblatywacz, zbliżający się od południa. Pomyślałem, że jeśli rozdzielimy się z Thadem, naszym prześladowcom trudniej będzie nas namierzyć. Obudziłem go.

— Co?...

— Rusz się! — zawołałem. — Uciekamy na północ. Jednak nie całkowicie razem.

— Jasne.

Thad założył na ramię swoją torbę i zaczął biec. Ja ruszyłem zaraz za nim, jednak w pewnej odległości. Oblatywacz zdawał się krążyć dokładnie nad nami. W napięciu oczekiwałem na śmiertcionośną dawkę promieni, które spopielą moje ciało. Zamiast tego usłyszałem jednak głos dobiegający z gigantofonu umieszczonego na maszynie. W mroku brzmiał głucho i złowieszczo.

— Wiemy, kim jesteście. Wyjdźcie z ukrycia. Nie macie czego się obawiać...

— Słowa wypowiedane były z akcentem, jaki charakteryzował handlarzy, którzy kiedyś przybywali na Beltane.

— Wyjdźcie z ukrycia! Nie zamierzamy was skrzywdzić! Czy uważali nas za głupców? Kto by uwierzył bandytom, którzy zniszczyli wszystkie osiedla na planecie?

A jednak nie strzelali do nas, mimo że oblatywacz krążył bardzo blisko. Słyszałem kroki Thada, w pewnej odległości ode mnie. Czy to, że się rozdzieliliśmy, co było ostatecznym, desperackim krokiem mającym uniemożliwić pojmanie nas lub zabicie, naprawdę zbiło z tropu naszych prześladowców? Czy może istniał jakiś inny powód, dla którego nie chcieli nas uśmiercić?

Widzieliśmy ich trupy tak samo, jak trupy ludzi z Beltane. Czy może zostało ich równie mało jak nas i teraz szukali ocalałych mieszkańców planety, by podali im antidotum przeciwko śmiertelnemu wirusowi, antidotum, które przecież także wynaleziono w naszych laboratoriach? Moja wyobraźnia podsuwała mi taką właśnie odpowiedź. Jednak, cóż, prawdopodobnie nigdy nie dowiem się, co było prawdą.

— Moglibyśmy was ugotować naszymi laserami — kontynuował głos z gigantofonu. — Wiecie o tym dobrze. Jednak tego nie zrobimy. Wyjdźcie spośród tych drzew, ukażcie się nam. Wszyscy jesteśmy teraz w takiej samej sytuacji — my umieramy i wy umieracie. Tyle tylko, że wy umrzecie szybciej, jeżeli nie przestaniecie uciekać!

Najpierw prośby, potem groźby, a jednak pobrzmiewała w nich desperacja. Potrzebowali nas i to żywych. Mamę jednak było to pocieszenie.

Po chwili ziemia ocaliła nas i to właściwie w cudowny sposób. W gęstym zagajniku wybudowane było stanowisko obserwacyjne, służące badaniom zwyczajów dzikich zwierząt. Jak każde stanowisko tego typu, było ono wybetonowane i miało starannie zamaskowany wjazd, z betonową pokrywą. Szczęśliwy przypadek, że przykrywa była odsunięta, a ja wpadłem do wjazdu.

Nic mi się nie stało i od razu wysunąłem głowę, by przywołać Thada. Natychmiast do mnie przybiegł, wskoczył do środka, a ja zasunąłem pokrywę. Teraz mogliśmy sobie drwić z oblatywacza, promieni podczerwonych i miotaczy laserowych.

A jednak nadal baliśmy się. Siedzieliśmy w ciemności, opierając się jeden o drugiego, obawiając się zapalić latarkę. Wiele godzin minęło, gdy wreszcie, ku swej wielkiej uldze usłyszałem, że maszyna oddała się. Jeszcze nie mogłem uwierzyć, że jego załoga zrezygnowała z pościgu, zresztą raczej nie była to prawda. Jeżeli nie chcieli dostać nas martwych, lecz żywych, powinni teraz znaleźć miejsce do lądowania i rozpocząć pieszy pościg. Lecz jeśli tak było, przewaga była teraz zdecydowanie po naszej stronie.

— Myślę, że wylądują — powiedział Thad.

Jeżeli naprawdę to rozważali, to ich niewielkie szansę pałały jeszcze w miarę, jak oblatywacz oddalał się. Ruszyliby z Thadem przed siebie, wykorzystując wąski korytarz stanowiska obserwacyjnego, które przecież gdzieś musiało mieć swój koniec.

Rozdział szesnasty

Korytarz był wąski i z każdą chwilą bardziej płytki. Betonową posadzkę pokrywała gruba warstwa piachu, co świadczyło, że od dawna nikt tutaj nie prowadził żadnych badań. Dwukrotnie jeszcze natrafialiśmy na zrujnowane stanowiska obserwacyjne, zanim dotarliśmy do wąskiego wjazdu. Tam boleśnie uderzyłem golenią o jakiś kamień.

Wyszliśmy na powierzchnię i zaczęliśmy nasłuchiwać. Już od dłuższego czasu nie słyszeliśmy odgłosu oblatywacza. Jeżeli wylądował, mieliśmy przewagę i dystansu i doświadczenia nad tymi którzy nas ścigali. My pewniej czuliśmy się na ziemi, a oni w powietrzu. Musieliśmy jednak jak najszybciej ruszyć i pokonać możliwie długi dystans bez najmniejszego odpoczynku. Powiedziałem to Thadowi.

— Czy, jeśli przez cały czas będziemy szli na pomoc, dostaniemy się do Butte? — zapytał.

— Nie tak prędko. Na razie musimy zrobić dość szerokie koło.

— Przecież zabłądzimy...

— Nie. Wkrótce powinniśmy natrafić na dawne posterunki Bezpieczeństwa. One będą dalej naszymi drogowskazami.

Posterunki te były teraz zapewne jedynie ruinami. Przypomniałem sobie ten, który przez przypadek wywołaliśmy z pokoju łączności w Butte. Pryszczoróg, który w nim zasiadał sprawiał wrażenie zadomowionego na swoim miejscu. Wspomnienie to sprawiło, że po plecach przebiegł mi lekki dreszcz. Wkrótce wydostaliśmy się na szlak, który kiedyś był całkiem szeroką i równą drogą.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Thad. — Ciągłe jesteśmy w lesie, prawda?

Jego niepewność miała uzasadnione podstawy. Widoczność była bliska zero. Szeroka droga już po chwili okazała się jedynie krótkim wybiegiem dla badaczy życia mutantów. Natrafiliśmy na ścianę drzew niemal nie do przebycia.

Jednak mutanty tutaj, na północy? Przecież Rezerwaty dla mutantów znajdowały się jedynie po drugiej stronie gór! Chociaż dostęp do całości prac badawczych był na Beltane bardzo ograniczony. W początkowych latach Służby zainicjowały tak wiele projektów — z wielu później zrezygnowano — że setki spośród nich mogły pozostawać nieznane dla ludzi, którzy nie byli nimi bezpośrednio zainteresowani.

Ośmieliłem się włączyć latarkę. Już po chwili pochwaliłem się za ten pomysł, bo wśród gęstych drzew ujrzałem wejście do tunelu, ledwie widoczne w gęstwinie. Zasłonięte było siatką maskującą z drutu, która przez całe lata nie dopuszczała do środka zwierząt; dla nas odgarnięcie jej, by wejść do środka nie stanowiło problemu. Tego typu zabezpieczenia mogły trwać przez lata, nie zniszczone, wiedziałem więc, że znów mamy szczęście. Oby towarzyszyło nam ono jak najdłużej. Znalazłszy się u wylotu tunelu stwierdziliśmy, że rozdziela się w dwóch kierunkach. Popatrzyłem na kompas, który wskazał, że powinniśmy iść w lewo. Znów żaden oblatywacz nie mógł namierzyć nas z góry.

Dziwiło mnie, że tak wyszukane instalacje obserwacyjne znajdowały się tak blisko portu i mało kto, albo nikt o nich nie wiedział. W końcu, nawet Gytha nie dotarła do informacji o nich podczas przeglądania starych taśm.

— Co to jest? I gdzie się znajdujemy? — zapytał mnie Thad szeptem. Przejście, z którego korzystaliśmy było tak wąskie, że musieliśmy iść jeden za drugim. Thad niemal deptał mi po piętach.

— Jeśli potrafię rozpoznać przeznaczenie tego tunelu, służy on do obserwacji mutantów. A gdzie jesteśmy? Nie wiem, to miejsce nie jest zaznaczone na żadnym planie Rezerwatów.

Doszliśmy do końca tunelu, jednak wiedziałem, jak go otworzyć. Kazałem Thadowi trzymać latarkę, a sam pochyliłem się, by znaleźć zaczep podtrzymujący siatkę. Kiedy znalazłem go i otworzyłem tunel przekonałem się natychmiast, że przejście to nie było używane od bardzo wielu lat. Wejście do niego tak mocno zarosło wszelką roślinnością, że musieliśmy z Thadem sporo się namęczyć, by wreszcie znaleźć się na zewnątrz.

Naszym oczom ukazało się coś, co najmniej chciałem zobaczyć: otwarty teren i na dodatek bagnisty. Porośnięty był trzcinami; niektóre z nich były równie wysokie jak drzewa, pomiędzy których wyszliśmy. Wciąż miały swoje szerokie, letnie korony, niczym wachlarze potrzebne do tego, by łapać każdy podmuch wiatru; zawsze były więc w ruchu, cicho szumiąc i przy każdym gwałtowniejszym podmuchu wiatru opuszczając na ziemię owoce rozwinięte wśród koron.

Poza trzcinami, z bagien wyrastały też groteskowe kwiaty, nieznane w innych częściach Beltane, rozrywane niemal na strzępy, gdyż ptaki i owady składały z ich fragmentów swoje gniazda. Dotykanie ich było wielkim ryzykiem, gdyż niemal w każdym krył się jakiś owad lub insekt, który mógł poczęstować śmiałka żądłem,

nierzadko śmiertelnym.

Przez bagna biegła jednak kamienna ścieżka porośnięta kolorowymi algami i mchem. Po jej bokach na nierozważnych śmiałków oczekiwało błoto otoczone szlamem stawu i wszelkie inne pułapki, jakie tylko można sobie w takim miejscu wyobrazić. Miejsce to tak mało przypominało Beltane, że aż odnosiło się wrażenie, iż przekroczywszy tunel, nagle wchodziło się do zupełnie innego świata.

— Czy będziemy musieli przez to przejść? — zapytał Thad.

Ktoś kiedyś chodził tą drogą, nie bardzo jednak miałem ochotę próbować przejścia nią za przykładem tego kogoś.

Mogliśmy wycofać się i przekonać, dokąd prowadzi drugi tunel, mimo że biegł w zupełnie innym kierunku, niż chcieliśmy iść my.

W chwili, gdy wiatr zadał trochę mocniej do naszych nosów dotarły wstrętne zapachy unoszące się nad bagnami. To ten odór sprawił, że podjąłem decyzję: nie będziemy tędy się przeprawiać. Odwróciłem się, chcąc się wycofać z powrotem do tunelu, kiedy usłyszałem głosy ścigających nas bandytów. A więc nasi prześladowcy odkryli wejście do tunelu i byli już na naszym tropie. Jeżeli teraz cofniemy się, staniemy z nimi twarzą w twarz.

Popatrzyłem teraz na kamienną drogę uważniej niż do tej pory. Uznałem, że w jakimś momencie musi ona dotrzeć do suchego lądu. Nic nie wskazywało na to, że w pewnej chwili skończy się w bagnie, albo wśród trzciny. Poza tym, dopiero teraz dotarło do mnie, że mimo półmroku wyraźnie widzę kamienie, na których powinniśmy stawiać stopy: pokryte były jakimś fosforyzującym materiałem pozwalającym dostrzegać je nawet podczas najciemniejszej nocy.

— Musimy tędy przejść — postanowiłem. I postawiłem pierwszy krok na kamiennej ścieżce.

Wkrótce doszedłem do przekonania, że ci, którzy pójda za nami będą mieli na tej drodze, w ciężkich, metalowych butach, nie lada kłopoty z utrzymaniem się na wytyczonej drodze. Nasze miękkie obuwie doskonale było przystosowane do tej trasy. Wkrótce okazało się, że naszym najtrudniejszym wrogiem jest smród, nie pozwalający normalnie oddychać. Niedługo droga zakręciła w lewo, a trzciny zasłoniły nam widok na wyjście z tunelu.

Ponieważ nasze oczy były dostosowane do patrzenia w półmroku, świecące kamienie były aż nadto dobrymi drogowskazami. Nie włączałem latarki, była mi zresztą niepotrzebna. Przeszliśmy już spory kawał drogi, gdy niespodziewanie

znaleźliśmy się na wyspie położonej wśród bagien. Jej powierzchnia górowała nad nimi tak znacznie, że na zboczu ułożono pięć wielkich kamieni, by ułatwić wspięcie się na nią.

Wysoka wyspa była niemal płaska. Rozrośnięte krzaki i wysoka trawa wskazywały, że wyspy nikt nie odwiedzał przez wiele lat. Na jej środku ustawionych było kilka zmurszałych klatek, takich, jakie widzieliśmy w stacji mutantów; czy oznaczało to, że i tutaj trzymano mutanty przed wypuszczeniem na wolność? Ponieważ wypuszczano je zawsze do środowiska, które miało odpowiadać ich charakterom i zwyczajom, ciarki przebiegły mi po plecach na myśl, jakie musiały to być zwierzęta.

Wyspa ta mogła zarazem być ostatnim punktem skalistej drogi i gdy o tym pomyślałem, zacząłem przeklinać się za głupi wybór. Nie traciłem jednak czasu i czym prędzej rozpocząłem poszukiwania dalszej drogi; w końcu było to ostatnią szansą i dla mnie i dla Thada. Znow znalazłem kamienne schody, jednak kończyły się one w miejscu, które było co najwyżej prowizorycznym lądowiskiem dla oblatywacza lub helikoptera.

Również lądowisko oznaczone było fosforyzującymi kamieniami widocznymi zapewne w ciemności także z powietrza. Nie bardzo potrafiłem sobie wyjaśnić: po co ktokolwiek miałby lądować tutaj w nocy?

Obaj z Thadem przez chwilę nerwowo chodziliśmy po lądowisku. Nie znaleźliśmy drogi, która zaczynałaby się przy którymkolwiek z jego boków. Zdesperowany, w pewnym momencie włączyłem latarkę. Miałem nadzieję, że wyglądając na bagna zobaczą jakąś ciągnącą się przez nie przeprawę.

Po krótkiej obserwacji ujrzałem nitkę suchego gruntu, wznoszącego się ponad błotem, właściwie równie szerokiego jak ten, który był podkładem dla naszej ścieżki. Tutaj nie było jednak kamieni, które ułatwiałyby marsz. Pomyślałem, że skorzystanie z tej drogi ucieczki przed prześladowcami byłoby naprawdę wielkim ryzykiem. Być może zbyt wielkim, nie rokującym szans powodzenia.

Wspięliśmy się z powrotem na wyspę i stanęliśmy obok klatek. Wtedy po raz pierwszy odkąd się tutaj znaleźliśmy ujrzałem małą budowlę, niewiele większą od klatek. Jej ściany pokryte były mchem doskonale ją maskującym.

Drzwi do tego niewielkiego pomieszczenia stały otworem, jednak, zanim przekroczyliśmy próg, musieliśmy przeciąć mnóstwo winorośli zagradzających nam drogę. Znalazszy się we wnętrzu uważnie je obejrzałem. Doszedłem do wniosku, że

miejsce to pełniło kiedyś podobne funkcje, jak stacje w Rezerwatach, jednak zaprojektowano je tylko jako tymczasowe schronienie. Zapewne też nigdy nie miało stałej załogi. Tak jak w górskim schronisku, brakowało tu jakichkolwiek mebli, z wyjątkiem dwóch prowizorycznych prycz, nakrytych jakimiś brudnymi narzutami. Nie muszę dodawać, że wszystko śmierdziało tu odorem dolatującym z bagien.

Thad krzyknął ostrzegawczo i natychmiast ujrzałem, jak strzela z oszałamiacza, tuż ponad moim prawym ramieniem. Po chwili jego latarka wyłowiła z ciemności stworzenie leżące łapami do góry i wymachujące nimi gwałtownie. Trwało to jeszcze kilka sekund i wreszcie, gdy trucizna z oszałamiacza w pełni podziałała, stworzenie zastygło w bezruchu.

Błotny krab! Bardzo nieprzyjemna kreatura. Każdy na Beltane wiedział, że gdy przy ssie się do człowieka trzeba dużej siły by go odczepić, a po przyssawkach i pazurach pozostają głębokie i trudno gojące się rany. Latarka Thada wydobyła z mroku całe gniazdo tych stworzeń. Oświetlone, zaczęły wydawać dzikie piski.

— Precz stąd! — krzyknąłem do Thada.

Jacy jeszcze nieprzyjemni mieszkańcy gnieźdzą się na tej wyspie tego oczywiście nie wiedziałem, nie miałem natomiast zamiaru przekonywać się. Nie mieliśmy wyjścia: musieliśmy wycofać się tam, skąd przybyliśmy. A jednak, kiedy dotarliśmy do zejścia na kamienną ścieżkę, usłyszeliśmy oblatywacz. Ktoś używał z jego pokładu potężnego reflektora, chcąc wytropić nas na trzęsawiskach.

Zawróciłem na wyspę, złapałem latarkę i rzuciłem ją do chaty chcąc, by ci w oblatywaszu odnieśli wrażenie, że ktoś jest w środku.

— Chodź, Thad!

Teraz pobiegliśmy w kierunku lądowiska i wyskoczyliśmy na ledwie widoczną ścieżkę prowadzącą w przeciwnym kierunku niż ten, z którego tu przyszliśmy. Mieliśmy szansę, jeśli nasi prześladowcy prowadzili teraz jedynie obserwację wzrokową. Nie bardzo jednak wierzyłem, że fortuna nadal będzie nam sprzyjać. A jednak, widząc światło na wyspie, być może wylądują i zatrzymają się na niej chociaż na chwilę.

Teraz musieliśmy poruszać się bardzo powoli, a jedynym zmysłem, który był pomocny w wędrówce, był zmysł dotyku. Suchego gruntu pod nogami prawie nie widzieliśmy. W każdej chwili któryś z nas mógł wpaść do trzęsawiska i już nigdy z niego nie wyjść. A jednak pokonaliśmy zaledwie kilkanaście kroków, gdy moje stopy zaczęły pewnie stąpać po twardym i szerokim gruncie. Uciąłem długą trzcinę i

zacząłem posługiwać się nią jako czujką. Okazało się to dobrą metodą i znacznie przyspieszyło marsz. Thad bez słowa szedł za mną.

Usłyszeliśmy za plecami odgłos lądującego oblatywacza, co sprawiło, że obaj odetchnęliśmy z ulgą. Skuszeni światłem latarki, nasi prześladowcy postanowili pewnie przeczesać wyspę, co dawało nam znaczną przewagę. Zanim skończą, będziemy daleko stąd.

W pewnej chwili, wysunąwszy trzcinę, jak to czyniłem co kilka kroków, nie poczułem pod jej czubkiem żadnego oporu. Przerażony, zatrzymałem się i zacząłem machać nią w lewo i w prawo, mając nadzieję, że ta nagła niespodzianka oznacza jedynie zmianę kierunku naszej drogi, a nie pogorszenie się warunków marszu. Tak było rzeczywiście, ponieważ po chwili, po lewej stronie, nieco na ukos, poczułem twardy grunt.

Od tego momentu zawsze działo się tak samo, kiedy droga zmieniała kierunek. Szedłem przed siebie spięty, zdenerwowany, gdyż droga jakby na złość nam prowadziła częstymi i ostrymi zygzakami. Każda zmiana sprawiana, że serce podchodziło mi niemal do gardła; bałem się, że w końcu popełnię jakąś nieodwracalną dla siebie pomyłkę.

Zacząłem dochodzić do wniosku, że droga, którą idziemy, nie jest naturalnym wzniesieniem terenu, lecz swego rodzaju wałem, usypanym ponad bagnami w jakimś ściśle określonym celu. Jej liczne i ostre zakręty sprawiały nieodparte wrażenie, że ich autorką nie jest natura, lecz człowiek. Nadal otaczał nas niemiłosierny smród. Poza tym bagna nie milczały, lecz tętniły życiem tysięcy istot, niekoniecznie nam przyjaznych. Obawiałem się, że w którymś momencie jakieś potężniejsze spośród nich stanie na naszej drodze i będziemy musieli używać siły fizycznej — lub oszałamiaczy — by iść dalej.

W końcu nasza ścieżka zakończyła się nad brzegiem małego jeziora. Usłyszałem głośne westchnienie Thada i po chwili, podobnie jak on, westchnieniem wyraziłem swoje zdumienie.

Ujrzeliśmy przed sobą światła, jednak nie płomienie, albo światła reflektorów, używanych przez oblatywacze. Były to blade pale żywego, a zarazem chłodnego blasku, podobnego w swej barwie do koloru, jaki miały kamienie, wskazujące nam drogę.

Kamienie! Teraz dopiero zauważyłem. Źródłem światła były kamienne filary, nie ustawione w żadnym porządku, ale po prostu, tu i ówdzie, bez żadnej koncepcji.

Pomiędzy tymi filarami, wyrastającymi z ciemnej powierzchni wody, ujrzelśmy pagórki, oblepione błotem i zielskiem.

— Pryszczorogi! — wyszeptał Thad z niedowierzaniem.

Tak, to były pryszczorogi. Jeszcze nigdy nie widziałem tak potężnego ich zgromadzenia w jednym miejscu. Pryszczorogi były stworzeniami lubującymi się raczej w samotności, a najczęściej jedna niewielka rodzina okupowała jeden staw, czy sadzawkę. Tymczasem tutaj naliczyłem ich około dwudziestu.

Nic nie burzyło powierzchni wody. Przyjrzałem się jednemu z pagórków — miał szeroki otwór nieco powyżej poziomu wody — i doszedłem do wniosku, że może być opuszczony. A jednak, tak wiele nor pryszczorogów zgromadzonych w jednym miejscu, pustych, czy też nie, było zjawiskiem zbyt odbiegającym od mojej wiedzy o Beltane i jej mieszkańcach, więc bardzo się zaniepokoiłem. Od najmłodszych lat wpajano mi do głowy, bym nigdy nie przechodził do porządku dziennego nad czymś, co wydaje mi się nienormalne.

Przystanęliśmy nad samym brzegiem, by dokładniej obejrzeć jeden z filarów. Ujrzałem, że rzeczywiście jest to budowla sztuczna, a kamień oblepiony jest tą samą mieszaniną błota i zielska, która tworzyła nory pryszczorogów. A więc to ich robota? Ale po co? Pryszczorogi nie były na tyle inteligentne, by samodzielnie wznieść taki system oświetlenia.

Kamienie były identyczne z tymi, które składały się na drogę, biegnącą na wyspę, o czym przekonałem się wkrótce, gdy udało mi się dotknąć jednego z filarów.

Uważnie obserwując filary, ruszyliśmy w dalszą drogę. Światło dodawało nam otuchy. Chociaż pryszczorogi uwielbiały wodne życie, często opuszczały swoje domostwa, gdyż żywność zdobywały także na terenach położonych wyżej. Zatem musieliśmy spodziewać się, że natkniemy się na któregoś z nich na brzegu jeziora.

Wraz z nastaniem świtu znów znajdowaliśmy się na pewnym, twardym gruncie, pozostawiwszy bagna za plecami. Nie słyszeliśmy już więcej oblatywacza. Droga, która prowadziła nas dotąd, zakończyła się kolejnym lądowiskiem. Zacząłem wypatrywać jakiejś groty, czy innego schroniska. Obaj z Thadem byliśmy śmiertelnie zmęczeni i raczej nie mogliśmy kontynuować naszej wędrówki bez odpoczynku.

— Vere! — zawołał Thad.

Odwrociłem głowę. Thad wskazywał na skalną ścianę, położoną na wprost nas.

— Eeopoes, Vere!

Zobaczyłem go także z dziobem o szerokiej brodzie i z pomarańczowymi, białymi, jaskrawymi piórami. Latał bardzo wysoko i nagle zaczął obniżać swój lot, zmierzając do ściany skalnej. My także ruszyliśmy w tym kierunku. Eeopoes zamieszkuje groty i jaskinie, w nich też zakładając gniazda. Większość życia spędza w ciemności, jednak czasami ukazuje się w świetle dnia, polując na owady. Mieliśmy duże szczęście, że udało się nam go zobaczyć.

Gdyby nie ptak, nigdy nie znaleźlibyśmy groty, ponieważ wejście do niej maskowała wysoka skała. Szczelina, prowadząca do wewnątrz, była tak niewielka, że zdrowo musieliśmy natrudzić się, by mimo wszystko znaleźć się we wnętrzu. Znaleźliśmy dla siebie miejsce, na skale, na której rosły niewiarygodne kwiaty. Wkrótce mieliśmy je ujrzeć...

Grota nie była efektem działania lawy i nie miałem najmniejszego zamiaru wchodzić zbyt głęboko do środka; chciałem schronić się tylko na tyle, by nie dopadła nas pogoń. Ponieważ w środku panował znów półmrok, postanowiliśmy włączyć latarkę.

Grota okazała się schronieniem o kształcie butelki, a wejście do niej było jakby jej szyjką. Okazało się, że znów znaleźliśmy się w przedziwnym miejscu. Mimo że nasza wędrówka przez podziemia krainy lawy powinna była przyzwyczać nas do najróżniejszych podziemnych cudowności, światło latarki ukazało naszym oczom coś całkowicie nowego.

Bezpośrednio z kamiennej podłogi gęsto wyrastały piękne białe i purpurowe kwiaty, sięgające nam mniej więcej do kolan. Wyrastały z siewu rzucanego z góry przez eeopoesy, których przytłumione mormorando rozbrzmiewało nad naszymi głowami echem, zwielokrotnianym przez skalne ściany. Wiele spośród kwiatów dawno już zwiędło, inne walczyły o przeżycie. Thad zebrał kilka ziaren tych dziwnych roślin i gdy podniósł je ponad swoją głowę, eeopoesy, tkwiące pod samym sklepieniem groty poruszyły się niespokojnie.

Usłyszeliśmy kolejny odgłos, tym razem dobiegający z poziomu skalnej podłogi; jakieś zwierzę przestraszyło się nas i pierzchało w panice. Thad poświecił latarką w kąt i ujrzeliśmy drobne stworzonko o grubym futrze i długim, puszystym ogonku. Całe zwierzątko i jego ogonek znikło natychmiast w jakiejś skalnej dziurze, a my zrozumieliśmy, że kilku miejsc w tej jaskini musimy jednak unikać — przede wszystkim tych, gdzie mogliśmy spodziewać się nieprzyjemnego deszczu odchodów znad głów. Gdy wreszcie znaleźliśmy dla siebie miejsce, sięgnęliśmy do zapasów i

trochę zjedliśmy. Wreszcie zająłem się mapą, by zaplanować naszą dalszą podróż.

Oczywiście, na zmianę pełniliśmy wartę. Jeszcze dwukrotnie jedliśmy w tej grocie. Eeopoesy przyzwyczały się do naszej obecności i już wkrótce rozpoczęły swe regularne loty po pożywienie. Według mojego zegarka, w ukryciu spędziliśmy półtora dnia. Miałem nadzieję, że to wystarczy, by zniechęcić naszych tropicieli. Poza tym, pozostawanie tu dłużej też było ryzykiem, gdyż mogli oni skierować się na południe i zaatakować niczego nie spodziewających się Wędrowców w Butte.

Niepokoiliśmy się, gdyż wiedziałem, że Annet wciąż spędza czas w pokoju łączności. Mimo iż nie nadawała żadnych sygnałów, już samo funkcjonowanie urządzeń odbiorczych mogło zwrócić uwagę niepożądanych osób. Ostatnie godziny w grocie były udręką. I ja i Thad bardzo pragnęliśmy jak najszybciej znaleźć się w Butte.

Wreszcie, gdy drugi dzień naszej obecności w grocie dobiegał końca, wyszliśmy na zewnątrz. Nic nie świadczyło, że ktoś śledził nas aż tutaj i aż do tej chwili. Teraz musieliśmy wędrować jedynie przy pomocy kompasu, znów na południowy zachód. Było to trudne, ponieważ czekał nas uciążliwy marsz przez pagórkowate, pofałdowane tereny.

Drogę oświetlał nam jasny księżyc. W przeciwieństwie do wędrowki przez bagna, nie musieliśmy bacznie uważać na każdy krok i maszerowaliśmy teraz w szybszym tempie. Należało jedynie wystrzegać się spotkań z przyszczorogami. Grupa, skupiona w jeziorze, z całą pewnością przechadzała tędy, poszukując jedzenia.

Gdy w końcu natrafiliśmy na „drogę” przyszczorogów, zdumiała mnie jej szerokość i gładkość. Była dość szeroka, by mógł przejechać nią zwykły pojazd naziemny, a poza tym tak wydeptana, że znajdowała się poniżej poziomu otaczającego ją gruntu, sprawiając wrażenie, że jest traktem o ogromnym znaczeniu dla tych stworzeń i to od wielu ich pokoleń.

Oczywiście, wcale nie interesowało mnie, dokąd ona prowadzi. Widząc na niej świeże ślady, miałem ochotę jedynie na to, by znaleźć się jak najdalej od niej.

Przez cały czas obawialiśmy się oblatywacza, jednak, gdy przez długi czas nie docierały do nas żadne sygnały pościgu, trochę się rozluźniliśmy, nie na tyle jednak, by łatwo wpaść w pułapkę, którą ewentualnie by na nas zastawiono.

Nie miałem przy sobie żadnych przyrządów, jednak miałem coś, czym dysponował każdy kandydat na Strażnika, jako tako już wyszkolony — szósty zmysł, ostrzegający przed niebezpieczeństwami. Zatrzymałem się w miejscu, w którym niespodziewanie przyszło nam przeskoczyć małą odległość z jednej skały na drugą,

nad niewielką przepaścią. Wyciągnąłem rękę, by skoku nie oddał również Thad.

Zamiast ruszyć do przodu, nagle zacząłem się cofać, popychając do tyłu również Thada. Nasłuchiwałem, próbując też wyczuć jakikolwiek obcy zapach (choć wąż jest najślabszym z moich zmysłów). Przed nami nie było niczego, co świadczyłoby o niebezpieczeństwie, ja jednak wiedziałem, że czai się ono na nas.

Rzuciłem się szybko w jakieś zagłębienie za najbliższą skałą, zmuszając Thada, by uczynił to samo. Teraz leżeliśmy przez wiele długich chwil. Nic się nie działo.

Nie wiem, jak zorientowali się, że ich pułapka zawiodła. Być może mieli jakieś urządzenia, które pozwoliły im wykryć naszą obecność. Byli uparci. Uparci tak bardzo, że teraz spróbowali uczynić otwarcie to, czego nie osiągnęli, zastawiając pułapkę.

— Wiemy, że tam jesteście.

Był to ten sam głos, który słyszeliśmy w porcie.

— Niczego złego wam nie zrobimy. Potrzebujemy waszej pomocy.

Zawrzyjmy pokój.

Pokój ? Tak, już kiedyś to obiecywali i ludzie z Beltane w to uwierzyli. Teraz nie było mowy o tym, żeby tym bandytom ufać, żeby zawierać z nimi jakiegokolwiek pakt.

— Wy potrzebujecie nas, my potrzebujemy was — kontynuował głos; można było w nim wyczuć jakby nutę desperacji. — Nie mamy broni. Patrzcie...

Nagle ujrzelśmy w świetle księżyca, jak ktoś zrzuca broń z niedalekiej skały. Cztery miotacze zadźwięczały o kamienie i znieruchomiały. Ich kolby lekko odbijały światło księżyca. Cztery groźne, zadające śmierć maszyny.

— Wychodzimy z pustymi rękami. Pragniemy pokoju...

Najpierw ujrzałem ich cienie, a dopiero potem ich samych. Przygotowałem swój oszałamiacz i kątem oka zobaczyłem, że Thad zrobił to samo.

Było ich trzech. Nie widzieliśmy dokładnie ich twarzy, ponieważ księżyc świecił im w plecy. Poruszali się bardzo wolno, jakby każdy krok stanowił dla nich wysiłek. Choć ręce mieli uniesione wysoko ujrzałem, że jeden z nich nagle przystanął i przycisnął dłoń do twarzy. Przypomniałem sobie, jakie jest działanie wirusa i zamarłem w przerażeniu.

— Teraz — wyszeptałem do Thada. — Pełny ładunek. Na nich.

Rozdział siedemnasty

Padli na ziemię, jakby byli kukłami, które przewracają się pod wpływem silnego strumienia wody. Nie byli martwi, jednak na razie nie musieliśmy się ich obawiać.

— Thad. Zostań tutaj! — rozkazałem, ponieważ już chciał ruszyć w kierunku bezwładnych ciał. Nie wiedziałem, w jaki sposób szukać symptomów zarazy, jednak zachowanie tych mężczyzn, desperacja, z jaką nas szukali, było ostrzeżeniem. Uważałem, że jest tego tylko jeden powód: wiedzieli o nas, że jesteśmy mieszkańcami Beltane i mieli nadzieję, że dysponujemy antidotum, które jest w stanie powstrzymać demona, wypuszczonego na świat.

— Zarazić się można tylko od żywych — przypomniałem

Thadowi, kiedy na mnie popatrzył. — Zabierz ich broń i uciekajmy, zanim oni...

W odpowiedzi pokiwał głową i wykonał moje polecenie. Tak jak i ja, starał się przez cały czas przebywać jak najdalej od mężczyzn.

— Oblatywacz — powiedział.

— Tak.

Gdybyśmy mogli znaleźć ich środek transportu i uczynić go naszym, nie tylko pozostawilibyśmy ich zdanych wyłącznie na własne nogi, ale też moglibyśmy znacznie przyśpieszyć nasz własny powrót do Butte. Nie słyszeliśmy, co prawda, tutaj oblatywacza, nie znaczyło to jednak, że nie czeka na ziemi gdzieś w pobliżu, zaczęliśmy więc poszukiwania.

Nie miałem pojęcia na jak długo trucizna z oszałamiacza pozostawi ich nieprzytomnymi. Wszystko zależało od tego, jak silne były ich organizmy. Jednak, dysponując ich własną bronią, byliśmy teraz panami sytuacji. Mieli tylko jedną broń, straszliwą, jednak powinniśmy się liczyć, że, zdesperowani i pozbawieni nadziei użyją jej — wystarczyło, że przeniosą na nas swoją zarazę i będziemy równie martwi jak oni, chociaż wciąż będziemy mogli chodzić, rozmawiać, oddychać.

Razem z Thadem wspięliśmy się na skałę, z której roztaczał się szeroki widok na okolicę. Z tego miejsca rozpocząłem staranny przegląd otaczającego nas obszaru, by wreszcie ujrzeć obiekt poszukiwań na małym lądowisku w pobliżu.

Skupiłem swój wzrok na oblatywaczu. Drzwi do jego kabiny były otwarte, a

obok leżał mężczyzna, z twarzą ukrytą w trawie. Mógł wypaść z maszyny lub przewrócić się, kiedy stał na straży. Byłem już pewien, że cała ekipa z oblatywacza nosiła zarazę. Czy jednak ten właśnie fakt miał nas powstrzymać przed zabraniem maszyny? Posiadanie środka transportu wiele by dla nas znaczyło. Poza tym, pozostawienie go w sytuacji, gdy wróg był w stanie ponownie go wykorzystać, oznaczało ogromne niebezpieczeństwo. Przecież po niedługim locie bandyci mogli zaatakować Butte.

— On jest martwy, prawda? — Thad wskazał na oblatywacz. — Zaraza?

— Chyba tak. Jeżeli ośmielimy się wziąć maszynę...

Nie mieliśmy pojęcia, z jak dużą grupą ludzi musimy się zmierzyć. Przecież w oblatywaczu mogli być jeszcze inni, umierający lub martwi.

Przyglądający się maszynie Thad, nagle zastygł w napięciu, co zaskoczyło mnie. — Co jest?—zapytałem.

— Popatrz tylko na ogon oblatywacza, w tych czerwonych trawach.

Rośliny, które wskazał były bardzo jaskrawe i wyraźnie odznaczały się na tle zieleni. Przez kilka sekund niczego wśród nich nie zauważyłem, tak dobrze maskował się pomiędzy nimi, wykorzystując naturalny wygląd osobników jego gatunku. Po chwili jednak poruszył się i wtedy zobaczyłem wstrętą, zwieńczoną rogami głowę, która z ciekawością przypatrywała się martwemu człowiekowi.

— Pryszczoróg? — zdziwiłem się. Jeszcze nigdy nie widziałem pryszczoroga zachowującego się w taki sposób.

Normalnie pryszczorogi nie były istotami niebezpiecznymi chociaż ich wstrętny wygląd przyprawiał wszystkich o mdłości. Przebywały głównie w wodzie. Miały szerokie pyski, z dużymi otworami na usta i trzy dziwaczne rogi: jeden tam, gdzie człowiek posiadał nos i dwa ponad ciągle wytrzeszczonymi ślepiami. Według naszych standardów były wprost niepospolicie brzydkie. Posiadały także zdolność do zmieniania odcienia skóry, gdy zachodziła potrzeba stawania się mało widocznym. Zasadniczo były nieśmiałymi stworzeniami, najlepiej czującymi się w swych błotach; płochliwymi, chociaż męskie osobniki posiadały pazury, które w pewnych okresach roku wydzielają truciznę. Ich ulubioną metodą walki było rzucanie się na przeciwnika i rozrywanie jego gardła pazurami.

Pryszczoróg, którego teraz widzieliśmy był o wiele większy niż jakikolwiek zauważony dotąd na Beltane. Jego łeb, który trzymał pod kątem prostym w stosunku do przygarbionych ramion — zapewne po to, by lepiej teraz wszystko widzieć

dookoła — był zupełnie inny, niż znane mi pryszczorogi. Był o wiele szerszy i wyższy.

Ruszył do przodu, skacząc w sposób charakterystyczny dla pryszczorogów. Jednym długim skokiem dotarł od ogona oblatywacza, do zwłok. Wówczas pochylił się nad nimi i trzymając łeb bardzo nisko kiwał się z boku na bok. Pryszczoróg albo wąchał martwego człowieka, albo go uważnie oglądał.

Najwyraźniej usatysfakcjonowany wynikami swych oględzin, wyprostował się i z widocznym wysiłkiem opierając przednie łapy o próg, wsunął łeb do wnętrza oblatywacza. Pozostał w tej pozycji przez kilka chwil, wyraźnie widoczny w mojej lornetce, uważnie oglądając wnętrze kabiny. Opadłszy z powrotem na ziemię, ponownie skierował swoją uwagę na człowieka. Jego przednia łapa zawisała nad zwłokami.

— Vere! Patrz, co on robi!

Widziałem to samo, co Thad. Bagienna kreatura trzymała w łapie długi nóż. Światło na moment zamigotało na jego ostrzu. Pryszczoróg najprawdopodobniej zastanawiał się, do czego taki nóż może mu posłużyć. Każdy jego ruch wskazywał, że nie jest to już zwierzę, lecz raczej wybryk natury, obdarzony inteligencją, który znalazł coś i teraz rozmyśla, do czego to coś może mu posłużyć w przyszłości.

— Vere, dlaczego?...

— To mutant.

Tak, to była jedyna logiczna odpowiedź. To, co właśnie zobaczyłem, w zestawieniu z oświetlonym stawem, zamieszkanym przez pryszczorogi, mogło znaczyć tylko jedno. Na Beltane prowadzono eksperymenty, mające mutować nie tylko zwierzęta, sprowadzane z innych światów, ale także te, które żyły tu od wieków. Tylko po co?

Jeszcze raz pryszczoróg przystąpił do obwąchiwania i oglądania zwłok. Nie trwało to już długo. Po chwili z wielkim wysiłkiem wsiadł do oblatywacza. Widok ten był dla mnie tak niecodzienny, że z zapartym tchem oglądałem, co będzie dalej. Pryszczoróg pozbawił mnie jednak widowiska, bo niemal natychmiast, wyraźnie rozczarowany maszyną, wyskoczył z niej. Dwa długie susy wystarczyły mu, by zniknąć w gąszczu. Kierował się w kierunku swych bagien. W pysku niósł ze sobą nóż.

Wykonał jednak za nas bardzo ważną rzecz: sprawdził teren. Jego zachowanie przy oblatywaczu świadczyło, że w kabinie nie ma pasażerów, którymi musielibyśmy

się przejmować. A maszyny tej bardzo potrzebowaliśmy.

Zawiesiwszy na ramionach nasze niewielkie bagaże, zaczęliśmy powoli schodzić w kierunku oblatywacza. Nie śpieszyliśmy się. Gdy dotarliśmy do maszyny, unikaliśmy spoglądania na zwłoki, zdołałem jednak zauważyć, że martwy człowiek ubrany był w coś, co kiedyś musiało być mundurem przestrzennym. Nie sposób było rozpoznać jego szarży.

Thad stanął na czatach, a ja tymczasem poszedłem w ślady przyszczoroga i rozejrzałem się po oblatywaczu. Miał w kabinie sześć miejsc, był więc duży i pochodził z naszego portu. Za przedziałem pasażerskim znajdowała się ładownia z mnóstwem pudeł, jakby ci, którzy lecieli nim jako ostatni, zdążyli jeszcze dokonać grabieży. Sprawdziwszy kabinę, usiadłem na miejscu pilota. Tak, jak sądziłem, przyrządy ustawione były nie do lotu automatycznego, lecz do ręcznego sterowania.

— W porządku — zawołałem Thada do siebie.

Bez słowa posłuchał mnie, wskoczył do środka i zatrzasnął drzwi. Następnie zasiadł w fotelu drugiego pilota. Zacząłem sprawdzać przyrządy kontrolne, mając nadzieję, że nic nie przeszkodzi mi w starcie. Paliwa było bardzo niewiele. Ponieważ nie miałem czasu, by teraz lecieć do portu dla uzupełnienia go, pozostawała mi tylko nadzieja, że wystarczy na lot do Butte.

Nigdy nie uważałem się za eksperta w obsłudze oblatywaczy, nie miałem też wiele doświadczenia z tymi maszynami. W tym okresie na Beltane helikoptery były łatwiejsze w obsłudze. Mimo to, wystartowałem w miarę płynnie. Od razu obrałem kurs na południowy zachód i nadałem maszynie maksymalną szybkość. W trakcie lotu korygowałem ją, ponieważ nie chciałem lecieć zbyt blisko portu; jeżeli ci, którzy nas ścigali, mieli tam jeszcze jakichś kolegów, lepiej było nie zwracać na siebie ich uwagi.

— Vere — Thad przerwał ciszę. — Ten zmutowany przyszczoróg...

— Tak.

— Nigdy nie słyszałem o oficjalnych raportach na temat podobnych eksperymentów.

— Nie.

Jak wiele jeszcze innych, a podobnych sekretów wyjdzie teraz na wierzch? A może podobnych rzeczy nigdy nie notowano w banku pamięci?

— A jeśli okaże się, że Beltane zamieszkują podobne zmutowane stwory, Vere?

— Cóż, chyba musimy przygotować się na trochę niespodzianek.

— Ale nikt spoza planety nam nie pomoże. No i...

— No i będziemy pewnie musieli podzielić Beltane pomiędzy nas a mutanty
— uzupełniłem jego słowa. — Wiele spraw trzeba będzie rozważyć.

— Butte jest na nieużytkach, daleko od Rezerwatu. Czy sądzisz, że znów
wejdziemy do grot? Tamta podziemna baza byłaby dla nas bezpiecznym miejscem.

— Pod warunkiem, że nie zagnieździło się tam dzikie życie w żadnej formie.
Czy pamiętasz grotę lodową? — przypomniałem mu. Miał jednak rację. Lugard i ci
przed nim rozważali ostateczne schronienie się pod ziemią.

— Vere, patrz tam! — Thad wypatrzył jakiś ruch na zewnątrz. Ja sam przez
cały czas wpatrzony byłem w przyrządy kontrolne.

To, co zobaczyliśmy, mogło być, w innych okolicznościach, bardzo
zwyczajnym wydarzeniem o tej porze roku. Oto na polu pracowały lśniące maszyny
do zbierania zbóż, doskonale radząc sobie ze wszystkimi zadaniami. Kto jednak je
zaprogramował? Na dwóch innych polach zboża już nie było. A więc maszyny
pracowały przynajmniej przez jeden dzień, a może nawet przez dwa.

Uchodźcy? Czy pozostał wśród nich przy życiu ktoś, kto przygotował do pracy
roboty rolnicze, tak jak ja sam rozważałem to kilka dni wcześniej? Roboty należało
programować bardzo dokładnie, ponieważ nasze pola nie były zbyt duże i każdy robot
mógł po pewnym czasie wjechać na płot, albo do lasu, o ile nie był odpowiednio
kontrolowany. Te, które widzieliśmy, z pewnością nie pracowały dziś długo, ale za to
pracowały dobrze. A mimo to w pobliżu nie było nikogo, kto nadzorowałby
urządzenia kontrolne. Nikogo nie było też w budynku gospodarczym. A...

— Czarny owies! — zidentyfikowałem odmianę zboża i natychmiast, niemal
odruchowo, skierowałem oblatywacz nad pola, by je okrążył. Czarny owies nie był
przeznaczony do jedzenia przez ludzi. To szorstkie ziarno, które zbierały teraz roboty,
magazynowano, by dokarmiać nim dzikie zwierzęta w Rezerwatach podczas srogich
zim. Dlaczego teraz ktoś uaktywnił roboty, by zbierały je z pól?

Jeden z robotów dotarł do końca pola. Spodziewałem się, że zaraz wejdzie w
płot. Zawsze istniała możliwość, że jakiś dogorywający człowiek uaktywnił maszynę,
nie zdając już sobie sprawy z tego, co robi.

A jednak robot zatrzymał się na skraju pola. Jeszcze raz wykonałem koło,
odnotowując w pamięci, że już dwa rzędy worków czekają na odebranie. Z całą
pewnością było ich jednak znacznie mniej, niż być powinno z powierzchni, na której

żniwa już skończono.

— Ktoś żyje! — krzyknął Thad. — Poszukajmy go, Vere, musimy!

Od pół prowadziła wąska droga, nie docierała ona jednak do żadnej farmy, ani osiedla, lecz do magazynu. A tam nic nie świadczyło o żadnym ruchu, nic nie wskazywało, że ktoś żyje.

Mimo iż bardzo śpieszyliśmy się do Butte, nie mogłem zignorować szansy natknięcia się na żywego człowieka, wylądowałem więc za magazynem, na lądowisku dla oblatywaczy towarowych.

Drzwi do magazynu były szeroko otwarte. W środku — pustka, ani śladu po ziarnie. Zaczęliśmy nawoływać, a kiedy zauważyłem na ścianie mikrofon, również z niego skorzystałem. Bez odpowiedzi.

Gdy zrezygnowani wracaliśmy do oblatywacza, ujrzeliśmy ślady na ziemi. Nie zostawił ich helikopter, ani pojazd naziemny, nie były to też ślady ludzkiego obuwia.

Były to odciski kopyt i to takie, jakie dobrze znałem. Bardzo niedawno, już po wszelkich maszynach i ludziach, którzy tu kiedyś się znajdowali, przeszło tędy wiele siriańskich centaurów. Wszystkie pozostawiły głębokie ślady, co świadczyło, że dźwigały spore ciężary. Kto jednak zaprogramował roboty? Nagle pomyślałem, że wcale nie chcę tego wiedzieć, zapragnąłem znaleźć się z powrotem w Butte, pomiędzy ludźmi, których znałem, na pustkowiu, do którego nie wedrą się żadne dziwaczne kreatury.

Wmawiając sobie, że dość mam sytuacji, w których wyobraźnia podsuwa rozwiązania rodem z najbardziej śmiałych spośród fantastycznych taśm, wskoczyłem do oblatywacza. Startując, przysięgałem sobie, że nic nie zmusi mnie już do odstąpienia od kursu, który prowadził do Butte.

Przelecieliśmy nad wieloma jeszcze polami czekającymi na żniwa. Widzieliśmy wszelkie odmiany zbóż przeznaczonych dla ludzi. Nie pracował na nich żaden robot. Jeszcze miesiąc, a może tylko trzy tygodnie i będzie już za późno, żeby uratować zbiory. Czułem, że dla nas, pozostałych w Butte, będzie to poważny problem. Powinniśmy wszystkie zapasy trzymać na wypadek niebezpieczeństwa i sami przystąpić do upraw.

Ze względu na konieczność ominięcia portu, przelecieliśmy nad dwoma małymi osiedlami: Rivehoime i Peakchax. Żadnego z nich nie zbombardowano, jednak bez wątpienia oba stały się grobami dla swych mieszkańców.

Dochodził zmrok, gdy nadlatywaliśmy nad Butte. Przypuszczając, że Annet

wciąż jeszcze próbuje wychwytywać jakieś sygnały, włączyłem radio pokładowe i zacząłem wywoływać ją słowami, które nie mogły zdradzić nikomu postronnemu naszego faktycznego położenia i miejsca lądowania.

— Tu Vere, tu Vere, nadchodzę. Griss...

Ufając, że zrozumie mój zamiar, nie spodziewałem się żadnej odpowiedzi i przestałem przejmować się radiem, gdy tymczasem usłyszałem po chwili, głośno i wyraźnie:

— „Warunki czerwone, warunki czerwone...”

Natychmiast zażądałem wyjaśnienia:

— Co się stało?

— „Atak mutantów, atak mutantów. Jesteśmy okrążeni przez mutanty.

Trzymaj się z daleka!”

Annet musiała uważać, że idziemy pieszo i łatwo będzie nas zaatakować. Jednak „atak mutantów”? Co to mogło znaczyć? Czy chodziło jej o pryszczoroga, który zabrał nóż od martwego człowieka, a może o centaury i roboty, które nie służyły już ludziom? Co działo się na Beltane?

W przeszłości nie traktowałem poważnie plotek o niezwykłych eksperymentach z mutantami. Informacje o sztucznie wyhodowanych bestiach, o rozwiniętej inteligencji, wysyłanych na wojnę, były zastrzeżone. Jeżeli jednak na Beltane znalazły się, poza wszelką kontrolą, pochodzące z laboratoriów inteligentne istoty, które teraz zechcą tutaj przejąć rolę człowieka? Należałoby je zniszczyć, ale jak?

— Jakie mutanty? — zawołałem do mikrofonu.

— „Jest ich wiele. Nie wiem... Trzymajcie się od nas z daleka...” — usłyszałem natychmiast odpowiedź.

— Mamy oblatywacz. — Skoro nie zagrażali nam uchodźcy, mogłem nie posługiwać się żadnym szyfrem. — Czy możemy wylądować na dachu?

— „Nie! Zaatakują was ungery!”

Thad cicho gwizdnął ze zdziwienia; ja właściwie mogłem jedynie powtórzyć ten gwizd zdziwienia. Ungery były największymi ptakami na Beltane. Unger był na tyle głupi i na tyle wielki, że potrafił nie tylko zaatakować oblatywacz, ale i go zniszczyć. Ataku kilku ptaszysk nie mieliśmy szansy przeżyć. Ale lądowanie w oddali i próba dotarcia do Butte pieszo, a potem przebijanie się przez kordon mutantów i to w sytuacji, gdy brama wejściowa i tak była zamknięta, nie miało żadnego sensu.

Popatrzyłem na broń, którą odebraliśmy uchodźcom. Lasery.

— Będziemy walczyć — powiedziałem do Thada. — Ty będziesz strzelał po swojej stronie, ja po swojej. Jeżeli zajdzie potrzeba, używaj laserów. Musimy się przebić.

Położył sobie laser na kolanach i sprawdził jego mechanizmy. Ja uczyniłem to samo. Była to stosunkowo prosta broń, niewiele bardziej skomplikowana od oszałamiaczy, używanych przez nas na co dzień. Wystarczyło wycelować i przycisnąć język spustowy...

— Mamy broń — powiedziałem do Annet. — Zbliżamy się.

W szybko zapadającym zmroku docieraliśmy do Butte. Ujrzałem światło na dachu Butte, zapalone zapewne jako wskazówka dla nas. Wokół światła krążyły ungerzy, niczym patrol nad Butte. Nie było śladu ludzi na dachu, helikopter, który tam pozostawiliśmy, odsunięty był jednak na bok.

— Tylko dobrze mierz — ostrzegłem Thada.

Odgłos naszego silnika musiał ostrzec ungerzy. Jeden z nich oderwał się z szyku i leciał prosto na nas. Oczekałem, aż znajdzie się w zasięgu mojego lasera i wystrzeliłem. Ujrzałem na niebie płomień i po chwili ptaszysko było już tylko kulą ognia, opadającą szybko w dół.

Ujrzałem ungera, nadlatującego z boku, od strony Thada, jednak byłem pewien, że chłopiec jest już w pogotowiu. Nie pomyliłem się i po chwili kolejny unger został strącony. Zabiliśmy jeszcze sześć, zanim zostawiły nas w spokoju i odleciały. Teraz pozostawiłem naszą obronę w rękach Thada, a sam musiałem wykonać trudny manewr lądowania na dachu Butte. Nie byłem pewien, czy potrafię tego dokonać, jednak żadnego innego miejsca do lądowania nie miałem.

Nadlatywałem trzy razy i nie odważyłem się dotknąć kołami dachu. Dopiero za czwartym razem, zdesperowany, wiedząc, że za chwilę puszcza mi nerwy, opuściłem maszynę na dół.

W to, że wylądowaliśmy szczęśliwie, uwierzyłem dopiero wtedy, gdy uświadomiłem sobie, że dookoła panuje cisza, a oblatywacz stoi bez ruchu. Szybko otworzyłem drzwi i wyskoczyłem na zewnątrz, z laserem w pogotowiu, gotów do odparcia kolejnych ataków. Thad od razu, gdy znalazł się na dachu, przyklęknął i wystrzelił.

Po krótkiej chwili spokoju usłyszeliśmy metaliczny szczęk i coś spadło na dach, niedaleko od helikoptera, lecz bliżej mnie i Thada. Chłopiec skoczył w moim

kierunku. Znalazłszy się przy mnie, wydostał zza paska swoją latarkę i oświetlił to, co spowodowało hałas. Była to strzała ze srebrnego metalu, zabrudzona na czubku jakimś płynem, niczego dobrego nie zwiastującym. Po chwili nadleciały następne; wystrzeliwano je z ziemi, zza murów Butte. Z każdą chwilą opadało ich na dach coraz więcej. Mieliśmy już odciętą drogę do oblatywacza, a wyglądało na to, że nie przebijemy się nie trafieni przez deszcz strzał. Podejrzywałem, że są o wiele groźniejsze, niż na to wyglądają.

— Lasery — powiedziałem do Thada. — Zrób dla mnie drogę. Pal je w powietrzu!

Uczynił, co mu poleciłem, dzięki czemu miałem wąską ścieżkę pod promieniami, na której nie mogło spotkać mnie nic złego. Położyłem dłoń na zwęglonych resztkach ungera i z niego zrobiłem przykrycie dla nas, gdyż musieliśmy jeszcze dobiec do wjazdu. Jeżeli ci, którzy na nas czekali, w odpowiedniej chwili połuznią jego zabezpieczenie, mieliśmy szansę, by schować się cali i zdrowi.

Strzały wciąż spadały. Thad chciał je palić, ale ja zalecałem mu ostrożność. Mogliśmy jeszcze potrzebować ładunków do dalszej walki. Na razie pozostawało nam czekać.

— Co to za mutanty? — zapytał Thad. — Pryszczorogi? Centaury?

— Jakiegokolwiek mutanty. Sprowadzono ich na Beltane aż nadto!

Właśnie, dodałem w duchu, mamy tu teraz wśród nas mnóstwo stworzeń, importowanych z innych światów i żadnej wiedzy, w jakim miejscu banku pamięci znajdują się informacje, które pozwolą nam nauczyć naturę, jak sobie radzić z tym niespodziewanym wrogiem.

Usłyszeliśmy jakiś odgłos, dobiegający z wieży.

— Vere?

— Tutaj! — krzyknąłem.

Zdawało mi się, że droga trwa bardzo długo, zanim wreszcie dotarliśmy do wjazdu, który Emrys, Gytha, Sabian i Annet natychmiast zatrzasnęli za nami i, nawet nie mając czasu na nas spojrzeć, przystąpili do odtwarzania zabezpieczeń, uniemożliwiających jego otwarcie lub wyłamanie od zewnątrz. Wreszcie Annet popatrzyła na mnie i zaczęła wyjaśniać:

— Przystąpili do ataku jakieś trzy godziny temu. Już mieliśmy zamiar pozamykać Butte raz na zawsze.

— Jak to dobrze, że zdążyliśmy. Kto to jest, albo co to jest?

— Nie wiemy, Vere, nie wiemy.. Pokazali się tak nagle. Niektóre z tych stworzeń rozpoznajemy, niektóre nie. To zwierzęta, które nie są zwierzętami. Vere, czy świat zwariował?

— Nie bardziej, niż ludzie, którzy to spowodowali — odparłem. — Jesteśmy sami.

Zrozumiała mnie i jej twarz w jednej chwili jakby się postarzała.

— Czy wszyscy nie żyją?

— Tak. Albo umierają — dodałem, myśląc o uchodźcach.

— Ale jak sobie poradzimy z tymi... — wskazała na ściany Butte i to, co było poza nimi.

No właśnie, jak? W tej chwili nie wiedziałem i nie wiedział tego nikt.

Rozdział osiemnasty

Banda mutantów przybyła do Butte jakby znikąd. O ich liczbie, albo o gatunkach, które składały się na to towarzystwo, mieliśmy podczas oblężenia tylko mgliste pojęcie. Któregoś dnia jednak nie wytrzymałem i poderwałem w niebo oblatywacz, a Thad i Emrys z jego okien potraktowali naszych prześladowców oszałamiaczami. Poza tą jedną walką z ungerami, nie używaliśmy laserów.

Po tym nalocie przez cały dzień nie odnotowaliśmy dookoła Butte żadnego ruchu. Dopiero o świcie ujrzałem ze stanowiska obserwacyjnego w wieży, jak ta dziwaczna armia wycofuje się. Przez kolejne trzy dni nie dowierzaliśmy, że oblężenie jest skończone i że mutanty nie pozostawiły przynajmniej posterunków.

Nie znaleźliśmy powodów tego ataku, chociaż, być może, raz uwolnione spod kontroli człowieka, stworzenia te uważały za konieczność walkę z nim, by już nigdy więcej pod jego kontrolą się nie znaleźć. Jak dowiedziały się o naszym pobycie w Butte — nie mieliśmy pojęcia. Gytha sugerowała, że któryś spośród uwolnionych przez nas ze stacji w Rezerwacie, podążył za nami przez góry. To jednak świadczyłoby, że mutanty są już w pewnym stopniu zorganizowane. Postanowiłem jednak nie wierzyć w to tak długo, jak długo będę miał co do tego chociażby najmniejsze wątpliwości.

Przez jakiś czas spekulowaliśmy, że może dowodzi nimi jakiś człowiek, może Strażnik, który przetrwał zarazę i oszalał, jednak Annet twierdziła, że aż do przylotu ungerów każdy z nich przynajmniej raz wspiął się na dach i na pewno nie było między nimi żadnego człowieka.

W każdym razie atak ten pozostał dla nas tajemnicą taką samą jak zagadka zbombardowania Kynvet i wywołania na Beltane zarazy.

Wiedzieliśmy, że wraz z odparciem ataku mutantów, uzyskaliśmy na Beltane najsilniejszą pozycję, jaką mogliśmy, dla zachowania naszego gatunku. Być może fakt, że stanęliśmy wobec strasznej groźby z ich strony był dla nas ocaleniem, ponieważ od razu przystąpiliśmy do wzmacniania naszej kryjówki, a bezustanna, ciężka praca sprawiła, że spaliśmy długo i mocno, bez koszmarów.

Oblatywacz był naszym podstawowym środkiem lokomocji. Nie ośmielaliśmy się poruszać po planecie na ziemi. Chociaż nie widywaliśmy już żadnych mutantów, ani nie byliśmy przez nie atakowani, w każdej sytuacji zachowywaliśmy maksymalną

ostrożność.

Nie odbywaliśmy z Thadem żadnej wspólnej podróży, na wypadek, gdyby w drodze wydarzyło się jakieś nieszczęście. Jeden z pilotów musiał przecież pozostać przy życiu. Wkrótce Thad dorównał mi we wszystkim, a okazał się o wiele lepszy w pilotowaniu i utrzymaniu na chodzie naszej cennej maszyny. Na zmianę wylatywaliśmy na loty rozpoznawcze, ale już nigdy nie natrafiliśmy na uchodźców, albo jakichkolwiek mieszkańców Beltane, którzy przeżyliby katastrofę. Sklep z częściami zamiennymi w porcie był głównym celem wizyt Thada. Zabierał ze sobą Emrysa, który pełnił funkcję wartownika, kiedy on sam ładował do oblatywacza narzędzia i części. Zgromadził ich w końcu w Butte tyle, jak mnie zapewnił, że mogło wystarczyć na utrzymanie maszyny przez wiele lat, o ile nie wydarzy się jakiś wypadek.

Gytha, Sabian i ja wybraliśmy się dwukrotnie na farmy i uruchomiliśmy dwa roboty rolnicze, pozwalając im pracować w nocy; pora dnia nie miała dla nich żadnego znaczenia. Powracaliśmy o świcie i ładowaliśmy zbiory do oblatywacza, pod strażą i zawsze z najwyższą czujnością. Widzieliśmy w akcji i inne roboty, więc byliśmy już pewni, że to mutanty programują je do ich zadań. Te jednak pracowały w dzień, zbiory sprzątane były natomiast w nocy. A więc, mutanty odwróciły nasz porządek, pewnie dlatego, że część z nich była istotami nocnymi.

Zaczęliśmy natrafiać na oznaki ich organizacji wewnętrznej. Odkryliśmy, iż jej wprowadzanie i podtrzymywanie było krwawym dziełem. Któregoś dnia poleciliśmy do sadu po jabłka i odkryliśmy, że nie zjawiliśmy się tutaj jako pierwsi. Ziemia pokryta była odciskami kopyt centaurów, ale oprócz tego widniały na niej ślady łap, jakich nie widziałem do tej pory, poza terenami wokół Butte po oblężeniu. Były tu także ślady krwi, jeszcze nie zakrzepłej. Nie było zwłok.

Po ujrzaniu tych znaków wzrosła moja niewielka nadzieja. Jeśli nasi wrogowie wszczęli wojnę we własnym gronie, my sami znajdowaliśmy siew mniejszym niebezpieczeństwie. Są zapewne bardziej zajęci wewnętrznymi swarami niż nami.

Trzykrotnie powracałem do portu i próbowałem odtworzyć coś z tamtejszych zapisów. Docierałem do różnych taśm, ale były to zaledwie małe fragmenty. Gytha, którą zabierałem w te wyprawy ze względu na jej wieloletnie zainteresowanie taśmami, radziła sobie niewiele lepiej. Udało się nam jednak przenieść niewielki odtwarzacz do oblatywacza i razem ze wszelkimi taśmami zabraliśmy go do Butte i zainstalowaliśmy, połączony go nawet z ekranem komunikacyjnym. Próbowaliśmy

ogarnąć umysłami, jaką wiedzę mamy w rękach. Jednak wiele zapisów było po prostu zbyt specjalistycznych i do niczego nam się nie przydawały.

To właśnie wtedy rozpocząłem ten zapis niezbyt odległej przeszłości, by kiedyś można go było dodać do historii Beltane. Wciąż jednak obawiałem się, że w mojej wiedzy są zbyt wielkie luki i zacząłem poszukiwać nowych informacji, które zresztą powinny przydać się nam wszystkim w przyszłości.

Mogliśmy przetransportować do Butte urządzenia do opieki medycznej i taśmy informacyjne z biblioteki medycznej. Nikt z nas nie potrafił jednak obsługiwać skomplikowanych urządzeń diagnostycznych i chirurgicznych, utraciliśmy więc wiedzę o opiece zdrowotnej, zgromadzoną na przestrzeni wielu wieków.

Najniższe pomieszczenia w Butte zapakowane zostały najróżniejszymi materiałami i przedmiotami z portu i innych osiedli, które uznaliśmy za przydatne. Na razie nie segregowaliśmy ich; przywoziliśmy wszystko, co nosiło jakieś znamiona użyteczności i było na tyle małe, by zmieściło się na pokład oblatywacza.

Rozpoczęła się pora jesiennych deszczy, zalewających wodą nawet krainę lawy, która przez większość roku była pustynią. Były tak gwałtowne, że musieliśmy nawet ściągnąć z dachu helikopter i oblatywacz, starannie przykrywając je płachtami piasty, która chroniła maszyny w podziemnym magazynie. Wtedy zabraliśmy się za segregowanie naszych zdobyczy, oddzielając te, z których będziemy mogli korzystać później i te, które mogą przydać się natychmiast.

Kilkakrotnie dochodziło do kłótni, kiedy mieliśmy różne zdania na temat wykorzystania zgromadzonych rzeczy, jednak wkrótce stwierdziliśmy, że kłótnie są bez sensu, gdy dysponujemy takim nadmiarem wszelkich dóbr.

Zapragnąłem znów wejść do grot Lugarda. Nie tylko dlatego, że w podziemnym schronisku znajdowało się tam mnóstwo zapasów, ale też dlatego, że groty moglibyśmy wykorzystać w potrzebie jako miejsce ucieczki. Poza tym, znajdowała się tam grota lodowa, w której moglibyśmy znaleźć o wiele większe cuda niż pręt, jakim zniszczyłem podziemne potwory. Jednak dotarcie do podziemi sprawiało na razie wrażenie szaleństwa, niepotrzebnego narażania się na niebezpieczeństwa.

Zaczęliśmy wdrażać program badawczy, nakładając na każdego spośród nas zadanie nauczania się tak wiele, jak był w stanie, w określonej specjalności. Oprócz tego wszyscy musieliśmy wbijać sobie do głów ogólne informacje, potrzebne do przetrwania.

Wtedy dopiero dotarło do nas (mówiąc „nas”, mam na myśli Annet i siebie), że znajdujemy się w gromadzie dzieci, których przodkowie od wielu wieków byli specjalistami, pracującymi raczej przy pomocy umysłów niż siły fizycznej. Pierwsi osadnicy zostali przywiezieni na Beltane ze względu na ich wiedzę i chociaż ich potomkowie nie posiadli tego doświadczenia, jakie oni sami zdobywali w innych światach, odziedziczyli po nich dociekliwe umysły, nakazujące im uczyć się i na każdym kroku poszukiwać wiedzy i nowych informacji.

Thad wybrał jako swoją dziedzinę wszelkie nauki techniczne i potraktował swoje badania bardzo starannie, gdy tymczasem we wszystkim naśladował go Emrys, pragnący w tej samej dziedzinie osiągnąć równie głęboką wiedzę. Obaj często schodzili do magazynów Butte i rozkładali, a następnie składali maszyny, poznając zasady ich budowy i działania.

Dziedziną Annet stała się biologia. Zgromadziła i przeczytała wszystkie taśmy, które, jak sądziłem, mogły przynieść jakieś informacje o mutantach. Spędzała nad nimi każdą wolną chwilę. Tymczasem Gytha, którą zawsze bardziej interesowały informacje ogólne niż szczegółowe, została naszą bibliotekarką i archiwistką.

Ku mojemu zdumieniu, Pritha zajęła się medycyną. Sabiana zafascynowała roboty i ich szybka i efektywna praca podczas żniw. Pragnął dowiedzieć się jak najwięcej o rolnictwie.

Ifors nie wykazywał żadnych szczegółowych zainteresowań, jednak często widziałem go przy odtwarzaczu. Taśmy, które wybierał, zawierały materiały z tak szerokiego zakresu, że pomyślałem, iż podąży ścieżką Gythy. Dinan również nie podjął żadnego szczegółowego wyboru, jednak studiował uważnie wszystko, co trafiło mu w ręce.

Nie wspominałem wcześniej o Dagny, bo była naszym najważniejszym i przedłużającym się utrapieniem. W czasie jesiennych deszczów stan jej zdrowia uległ dalszej poprawie. Pritha i Annet spędzały z nią całe godziny, jednak jej częste i niezrozumiałe ataki zubożenia i dziwnej śpiączki mogłyby doprowadzić do desperacji mniej cierpliwych opiekunów. Odnosiliśmy wrażenie, jakby jakieś ważne funkcje jej umysłu dochodziły do głosu tylko w niektórych okresach. Nie sądzę, by w pełni była świadoma, co się dookoła niej działo i dlaczego życie toczy się za ścianami Butte, a nie w jej własnym domu. Nic ją nie interesowało, co dla Annet było najbardziej złowieszczy symptom choroby.

W miarę jak postępowała dżdżysta jesień, coraz silniejsza była jej angina i

spędzała większość czasu w łóżku, na przemian kaszląc i śpiąc. Miała bardzo słaby apetyt. Bywały chwile, kiedy trzeba było karmić ją łyżeczką po łyżeczce, a ona i tak uparcie odwracała od niej głowę, zanim Annet czy Pritha zdołały wsunąć jej do ust chociażby połowę, przeznaczonej dla niej na dany posiłek porcji.

W każdym pomieszczeniu funkcjonowało ogrzewanie, jednak mimo że pracowaliśmy z Thadem niemal bez przerwy nad jego utrzymaniem, nie byliśmy w stanie utrzymać ciepłoty w Butte w coraz chłodniejsze dni, kiedy jesienne deszcze powoli przechodziły w lodowate deszcze ze śniegiem, a potem już w śnieg. Dagny spędzała teraz cały czas w łóżku i zauważałem, że okresy, kiedy przesiadywała, nie śpiąc, z poduszką pod plecami, stają się z każdym dniem coraz krótsze i rzadsze.

Dręczyła nas myśl, że dysponujemy wiedzą, która jest w stanie ją uratować, nie potrafimy jednak jej wykorzystać. Niestety, mogliśmy jedynie być dla niej czuli i opiekuńczy do ostatniego dnia.

Nadszedł on przed pierwszym dniem zimy. Pewnego poranka podniosła się z łóżka; dawna, wesoła Dagny. Dinan spędził z nią wówczas mnóstwo czasu, jednak w końcu poszedł do Annet, nie wiedząc jak zareagować na prośbę siostry, która zapragnęła udać się do domu i pytała, gdzie są jej rodzice. Po naradzie z Annet odparł jej, że rodzice wyjechali w podróż do jakiegoś odległego laboratorium i to na jakiś czas dziewczynkę uspokoiło. Niedługo jednak znów zapragnęła zobaczyć się z rodzicami.

Dinan, pamiętając, jak pod wpływem jej nacisku poszedł razem z nią do groty lodowej, był przerażony zachowaniem siostry. Gdy sprawę przejęła wreszcie Annet, ujrzała Dagny, siedzącą na skraju łóżka, owiniętą w koc, gotową do drogi. Jej nadejście trochę uspokoiło dziewczynkę, która wreszcie zgodziła się odpocząć w łóżku, zjadłszy specjalną rację leczniczą.

Od tego momentu Dagny już tylko gasła. Wkrótce zapadła w głęboki sen, z którego nigdy już się nie obudziła. Złożyliśmy ją do wiecznego odpoczynku tak, jak Lugarda, gdyż ziemia skuta była lodem. Tym razem użyłem lasera i wryłem w skałę jej imię i datę; niedokładne, gdyż wszyscy straciliśmy poczucie czasu i nie mierzyliśmy już upływających dni, ani nawet tygodni, lecz pory roku.

W ten sposób utraciliśmy drugą osobę w naszej kompanii. A była to grupka tak mała, że mimo iż Dagny tak naprawdę trwała w samotności już od wielu miesięcy, po jej śmierci powstała pustka, której nie sposób było wypełnić. Annet, Thad, Gytha i ja z mozołem staraliśmy się zająć czymś młodsze dzieci, by jak najmniej myślały o tej

śmierci.

Urządziliśmy obchody pierwszego dnia zimy, starając się, w miarę naszych możliwości, by wypadły one rzeczywiście tego właśnie dnia. Mieliśmy nadzieję, że dzieci nie będą porównywać naszej zabawy z imprezą, jaką miały przed rokiem. Annet przygotowała wspaniały obiad, używając nawet artykułów spoza Beltane, które przez cały czas głęboko chowała przed wszystkimi. Po posiłku Gytha podeszła do mnie, z małym pakunkiem w rękach.

Gdy go otworzyłem, ujrzałem fujkę — nie taką, jaką miał Lugard, z pewnością nie było w niej nic z magii instrumentu kapitana. A jednak ujrzałem pełne oczekiwania spojrzenie w oczach Gythy.

Tak więc ja, który dawno temu, podczas szczęśliwych dni, przygrywałem sobie na różnych instrumentach, jednak nie zagrałem już na żadnym od chwili, gdy usłyszałem muzykę Lugarda, uniosłem fujarkę do ust, początkowo bardzo nieśmiało, gdyż tak niewiele o niej wiedziałem. Jednak po chwili zacząłem przypominać sobie, nuta po nucie, jedną z pieśni Wędrowców.

Najpierw grałem z ogromnym trudem, a potem z coraz większą łatwością. Annet zaczęła nawet śpiewać i po chwili dołączyli do niej pozostali. Wkrótce byli głośniejsi od mojej fujarki, co z pewnością muzyce wyszło jedynie na dobre. Kiedy skończyli, Gytha powiedziała:

— Dość pieśni. Vere, czekamy teraz na samą melodię.

I zacząłem grać kolejne nutki, te, które pamiętałem z dawnych ognisk, kiedy jako pilny student byłem kandydatem na Strażnika, a nie rozbitkiem w martwym świecie. Grałem długo, każdą melodię od początku do końca, a dzieci słuchały z uwagą, jakby muzyka mogła okazać się kluczem do lepszych dni, jakby pozwalała zapominać o naszej ponurej sytuacji.

Po pierwszym dniu zimy chłód zaczął narastać. Drżeliśmy i kuliliśmy się przy grzejnikach, bardzo rzadko wychylając nosy z Butte, mimo że czasami nad osadą jasno świeciło słońce, zachęcając do zimowych spacerów.

Chociaż Butte oznaczało bezpieczeństwo, coraz silniej odzywała się w mojej głowie myśl, że po zimie powinniśmy się stąd wynieść. Nie bardzo chciałem wracać do jakiegokolwiek z osiedli. Przyłgnęły do nich przecież wspomnienia, wciąż wzbudzające żal nad zniszczonym życiem. Uznałem, że powinniśmy rozważyć zbudowanie własnego, nowego osiedla, niedaleko portu. W końcu, jeżeli powojenny chaos nie okaże się tak długi i trwały, jak przewidywał Lugard i ktoś zainteresuje się

Beltane, statek wyląduje właśnie w porcie.

Jeżeli ci, którzy wylądują, natkną się tylko na zgliszcza i bez powodzenia przeszukają kilka najbliższych osiedli, prawdopodobnie nie zadadzą sobie trudu szukania niedobitków na terenach pustynnych, szczególnie w krainie lawy. Postawiłem tę sprawę podczas jednej z naszych cotygodniowych narad. Po długiej dyskusji uznaliśmy, że żaden z budynków portowych, bez napraw, którym nie byliśmy w stanie podołać, nie mógł stać się tak bezpiecznym jak Butte. Gdybyśmy spróbowali dokonywać jakichś napraw, pewnie zajęłoby nam to więcej niż jeden rok. A jednak, musieliśmy przecież siać i zbierać plony — nalegał Sabian, popierając mnie z energią, o jaką dotąd go nie podejrzewałem. Mimo że nie mogliśmy uprawiać, nawet przy pomocy robotów, wszystkich pól, które wykorzystywano do tej pory, mieliśmy obowiązek zasiać i zebrać jak najwięcej — żywność była w naszej sytuacji zasadniczym zagadnieniem. A to powinno skłonić nas do przeniesienia się bliżej pól.

Pola, które mogły wzbudzić nasze zainteresowanie, leżały bliżej portu niż leżało Butte. Roboty, gdy je zaprogramujemy, będą za nas wykonywać prace polowe: dla nas pozostałoby jedynie zadanie zbierania plonów. Nie zapomnieliśmy w naszych rozważaniach i o mutantach. Chociaż jedynymi dowodami, że wciąż się nami interesują, były ich ślady w śniegu, szeroko okrążające Butte (a nie mogliśmy być, w gruncie rzeczy, pewni, że są to ślady mutantów, a nie innych zwierząt), nie należało odcinać się od naszej fortecy, gdyż w każdej chwili mogła okazać się potrzebna.

Zadecydowaliśmy w końcu, że polecę do portu i zapoznam się z możliwościami zaadoptowania dla naszych potrzeb jednego z mniejszych budynków, które nie uległy zniszczeniu. Emrys miał lecieć ze mną i utrzymywać oblatywacz w powietrzu, gdy będę pracował, aby nie narazić na niebezpieczeństwo utraty naszej najcenniejszej maszyny.

Wyruszyliśmy bardzo wcześnie rano w dniu, który zapowiadał doskonałą pogodę. Od dwóch dni wiały nawet cieplejsze wiatry. Śnieg w górach krainy lawy zaczynał topnieć. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek wrócę do suchych grot tej krainy — w ciągu najbliższych lat nie zanosiło się na to.

W porcie, jeden ze statków wciąż tkwił z dziobem, utkwionym w niebo, jednak ten bardziej skorodowany przewrócił się, niszcząc spory fragment magazynu. Żadne ślady nie naruszały nieskazitelnej bieli okolicznych pól i cichych ulic.

Zatoczyliśmy nad portem koło i wybraliśmy jeden z małych domków na uboczu, ten, w którym za dobrych dni mieszkał komendant portu. Zbudowano go

równoległe z portem, był solidnie skonstruowany, a podstawowym jego budulcem był gruby kamień. Uznaliśmy ten dom niemal za równie bezpieczną fortecę jak Butte.

Po wylądowaniu wysiadłem z kabiny, a Emrys natychmiast wznosił oblatywacz w powietrze. Miał czekać, krążąc nad portem, dopóki nie zakończę przeglądania wybranego domu.

Niewiele potrzebowałem czasu, by dojść do wniosku, że dom komendanta doskonale nadaje się do naszych celów. Szczęśliwie nikt nie mieszkał w nim od czasu opuszczenia go przez ostatniego dowódcę, tak że nikt w jego wnętrzu nie umarł. Mogliśmy, tak jak w Butte, zablokować niższe drzwi i okna, a potem przygotować wyciągane schody, za pomocą których moglibyśmy opuszczać się na ziemię ze strychu. Przygotowania budynku mogły zabrać i cały rok, jednak gra warta była świeczki.

Emrys wylądował o wyznaczonym czasie. Był bardzo podekscytowany.

— Vere, na północy jest miasto!

Miasto? Uchodźcy? Albo mieszkańcy, którzy opuścili swe wcześniejsze domostwa na Beltane?

— Pokaż mi — zażądałem. Posłusznie wystartował i skierował oblatywacz ku miastu.

Rzeczywiście, było to miasto, o ile można to słowo użyć wobec skupiska prymitywnych chat. Pomyślałem, że obecnie na Beltane ta nazwa jest jednak dla nich odpowiednia. Miasto miało swoich mieszkańców; widzieliśmy, jak wylewają się strumieniami ze swoich domostw, kiedy usłyszeli silnik maszyny.

— W górę i odlatujemy! — zawołałem.

Jego reakcja na mój rozkaz szczęśliwie była natychmiastowa. Ratując się błyskawiczną ucieczką przed atakami ungerów, uniknęliśmy kolejnej walki z nimi.

— To były... mutanty — powiedział Emrys, zaskoczony, kiedy nie groziło nam już żadne niebezpieczeństwo. — Ale skąd oni mają domy?

Co się wydarzyło w tych eksperymentalnych laboratoriach? Przecież podczas tych kilku sekund, podczas których krążyliśmy nad chatami, naliczyłem ich przynajmniej trzy gatunki — trzy gatunki mutantów, żyjących najwyraźniej razem, i to w dobrej komitywie. Niesłychane. A ile takich miejsc istniało jeszcze na planecie?

Poza tym, mimo iż byłem już pewien, że to centaury przygotowały ostatniego lata roboty do pracy, przecież nie były one w stanie, ze względu na budowę swych ciał, obsługiwać żadnych środków transportu. Z ulgą stwierdziłem, że z pewnością też

nie potrafią dogonić naszego oblatywacza.

Niestety, odkrycie tego osiedla w pobliżu portu zniweczyło nasze plany, by tam się przenieść. Mogliśmy jedynie pozostawić w porcie jakąś wiadomość i mieć nadzieję, że ktoś, kto kiedyś tu wyląduje, natrafi na nią. Doprowadziłem do tego, że tak właśnie postąpiliśmy — nie dlatego, że miałem nadzieję na takie lądowanie, lecz dlatego, że było to aktem umocnienia naszej wiary w życie poza Beltane i to życie naszego własnego rodzaju.

Tak więc, żyjemy obecnie w fortecy i nigdy nie opuszczamy jej bez broni. Zachowujemy znane nam fragmenty tradycji ludzkiej cywilizacji i uczymy się jej dorobku, kiedy tylko mamy na to czas. Pieczołowicie chronimy maszyny, wiedząc aż za dobrze, że żadna z nich i tak nas nie przetrwa.

Mijają właśnie trzy lata od dnia, w którym poszliśmy za Mrocznym Muzykantem do otchłani jego grot, które okazały się schronieniem, ratującym życie. Dwa lata temu Annet i ja, przed obliczem całej naszej gromadki, przysięgliśmy sobie wierność na całe życie. Ostatniej wiosny, kiedy śniegi zalegały jeszcze na Beltane, urodził się nasz syn, Griss, pierwszy z generacji, która nie pozna gwiazd, o ile nie wydarzy się cud.

Nikogo już nie straciliśmy, chociaż podczas ostatnich żniw Sabian i Emrys z trudem przetrwali atak mutantów. Tym razem były to tylko kamiwory jednego gatunku.

Gytha ma nadzieję, że któregoś dnia będziemy mogli ułożyć nasze stosunki na pokojowej stopie z przynajmniej kilkoma gatunkami mutantów. Uważa uwolnienie ich przez nas, gdy głodowały w klatkach na stacji, za początek tego procesu i zamierza wkrótce powrócić tam przez góry, by porozumieć się z ystrobenami. Na razie jednak nasza rada nie udziela jej na to zgody. Gdyby zginął następny członek naszej grupki, znaleźlibyśmy się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Mutanty z koloni przy porcie radzą sobie coraz lepiej. Programują roboty i zbierają plony z kilku pól. Na nalegania Annet i Gythy, w geście przyjaźni wobec tych najbardziej pracowitych mutantów, Thad i ja poleciliśmy kiedyś na jedno z ich pól i naprawiliśmy zepsutego robota. Zostawiliśmy im nawet trochę żywności, jednak nie doczekaliśmy się żadnej przyjaznej reakcji z ich strony.

Wciąż nas uważnie obserwują, szpiegują, a my nigdy i nigdzie nie chodzimy w pojedynkę. W razie potrzeby, używamy przeciwko nim oszałamiacze, nigdy jednak nie zabijając tych stworzeń.

Thad i ja spędziliśmy kilka długich dni w porcie, instalując sygnały, które zostaną nadane w wypadku lądowania jakiegoś statku. Przewrócony statek rdzewieje, natomiast ten drugi wciąż mierzy dziobem w niebo. Gdybyśmy potrafili, wylecielibyśmy nim z Beltane — ale dokąd?

Odnosimy wrażenie, że przepowiednia Lugarda o końcu gwiazdnej cywilizacji sprawdza się. Od czasu, gdy wylądowały tu statki z uchodźcami, nikt nie odwiedził Bekane. I nie wierzę, że nastąpi to wkrótce; może na początku nowej ery, kiedy gdzieś, na jakiejś odległej planecie, jakaś rasa ponownie wyrwie się z własnej atmosfery i poleci zdobywać przestrzeń.

Jeżeli ci ludzie ponownie odkryją Beltane, mamy nadzieję, iż znajdą ten zapis, wraz z innymi, które pozostały po naszej cywilizacji. Dowiedzą się wtedy, jak skończył się dla nas jeden świat i zaczął następny.

Taki jest koniec mojej opowieści. Ustaliliśmy, że kontynuować ją będzie Gytha. Jutro umieszczę tę taśmę w banku danych, w porcie.

Znów jest czas zbiorów. Obserwujemy pola mutantów, czasem im pomagamy, mając nadzieję na przełom i przyjaźń. Jeżeli to nie nastąpi, nasza przyszłość przyjmie barwy tak ciemne, jak ciemne są barwy grot, przez które wędrowaliśmy. Wówczas znaleźliśmy dostęp do otwartej przestrzeni i światła. Obecnie niemal każdego dnia zadajemy sobie to samo pytanie: jak będzie tym razem?